

NIEPEŁNOPRAWNI
Protesty, władza
i polityka życia

GMINY, NIE SEJM
Opozycja zaczyna
się u podstaw

GŁOS LUDU
Czego nie słyszą
księża i biskupi

ŚWIAT SIĘ SZCZEPI
Odporni będą wszyscy
albo nikt

KOLEKCJONER
Gdy obsesja
to przyjemność

Kraków 14 lutego 2021 nr 7 (3736)

cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

AGATA BUZEK Jak mieć jasność

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425





**Dla osób
z autyzmem**

KRS 0000 115 868



Fundacja Wspólnota Nadziei
www.farma.org.pl

KS. ADAM

Boniecki: Synod, szable i argumenty

OJCIEC WIESŁAW DAWIDOWSKI, PROWINCJAŁ zakonu augustianów, znany czytelnikom „Tygodnika”, przedstawia w tym numerze rzeczową charakterystykę problemów, z którymi zmagają się Kościoły w Polsce. Wskazuje też drogę wychodzenia z kryzysu.

Czytamy: „Od czego jednak zacząć na polskim poletku? Nadzieję dostrzegam w obrazie Kościoła słuchającego, przywołanym na ostatnim konsystorzu. Nie chodzi jednak o łaskawe zezwolenie pasterzy Kościoła, aby świeccy wypowiedzieli swoje opinie. Świeccy już się wypowiadają, jedni rozsądnie, drudzy gwałtownie. Jedni z perspektywy odpowiedzialności za słowo, drudzy z perspektywy przemocy. W grę wchodzi synod plenarny Kościoła w Polsce, gdzie pierwszym i podstawowym aktem byłby trudny akt wysłuchania wielu osób”.

Nie tylko o. Dawidowski wiąże nadzieję z synodem plenarnym. Ta idea, jeszcze nieśmiała, pojawia się wśród biskupów. Czy zainteresuje świeckich? W dyskusji nad przygotowywanym właśnie Kongresem Katoliczek i Katolików na pytanie o ewentualny udział w nim biskupów odpowiedź brzmiała: tak – pod warunkiem, że będzie to udział na równych prawach z innymi.

Prawda, prestiż biskupów podupadł. Ale boję się sytuacji, w której świeccy zaczną kontestować biskupów na wzór ruchu Wir sind Kirche, bo byłoby to lustrzanym odbiciem opisywanej przez o. Dawidowskiego głuchoty duchownych na głos świeckich. Nie wyobrażam sobie odnowy Kościoła poza biskupami – dlatego wierzę w pomysł na synod. Ale przygotowany tak, żeby głos niebiskupiej mniejszości został usłyszany i miał wpływ na decyzje. Przecież wszystkim chodzi o wspólne dobro. O dobro wspólnoty.

To ważne, bo synod, według prawa kanonicznego, posiada „władzę rządzenia, zwłaszcza ustawodawczą”, by „zachowując zawsze prawo powszechne Kościoła – mógł podejmować decyzje w tym, co wydaje się odpowiednie dla wzrostu wiary, ukierunkowania wspólnej działalności pasterskiej, poprawy obyczajów, zachowania, wprowadzenia lub strzeżenia jednokowej dyscypliny kościelnej”. A więc – władzę wprowadze-



nia realnych zmian (po akceptacji Stolicy Apostolskiej).

Przygotowanie synodu tak, żeby wszystkim zapewnić równe prawo głosu i wpływu – na tym przecież polega wspólnota – jest ważne, bo przepisy kanoniczne decydującą rolę na synodzie dają biskupom i, w pewnym stopniu, duchownym: zwołuje go Konferencja Episkopatu za aprobatą Rzymu, to ona wybiera przewodniczą-

cego (tu również trzeba aprobaty Stolicy Apostolskiej), ustala regulamin prac i tematy do rozważenia. Decydujący głos na synodzie mają biskupi: diecezjalni, koadiutorzy, pomocniczy i inni biskupi tytularni – oraz biskupi emeryci, choć ci mogą, ale nie muszą być zaproszeni.

W synodzie powinni uczestniczyć – z głosem doradczym – wikariusze generalni i wikariusze biskupi, wyżsi przełożeni instytutów zakonnych oraz stowarzyszeń życia apostołskiego, wybrani rektorzy wyższych seminariów duchownych, rektorzy uniwersytetów kościelnych i katolickich, dziekani wydziałów teologii i prawa kanonicznego uniwersytetów mających siedzibę na danym terytorium. Według przepisów „zwykli” księża oraz inni wierni mogą, lecz nie muszą być na synod wezwani, tylko z głosem doradczym i do tego w liczbie nieprzekraczającej połowy razem wziętych biskupów, przełożonych zakonnych, rektorów, dziekanów i rektorów seminariów duchownych.

Jeśli uczestnikom będzie chodziło o dobro wspólne i jeśli dla wszystkich będzie się liczyła nie liczba szabel, ale siła argumentów, to ten nasz synod rozpocznie się od dwóch gestów dobrej woli: ze strony biskupów – deklaracji realnego otwarcia na głos świeckich, a ze strony świeckich – woli rozmowy z biskupami mimo zawodu, zranienia i odrzucenia.

Wierzę, że polski synod plenarny „Kościoła słuchającego” to dla nas szansa. Bo jak napisał papież Franciszek: „Kościół w defensywie, który przestaje słuchać, nie pozwala na podawanie niczego w wątpliwość, traci młodość i zamienia się w muzeum” („Christus vivit”, 41).

Na tyle dobrej woli chyba jeszcze będzie nas stać? ©P

Nie masz czasu czytać? Słuchaj!

W nowym cyklu „**Tygodnik**” na ucho co tydzień 5 wybranych tekstów z bieżącego wydania – do odsłuchania w dowolnym czasie, miejscu i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteiki z GooglePlay lub AppStore

i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów – dla nowych abonentów 14 dni gratis!



22 Polityka, czyli to, co realne**JAROSŁAW FLIS**

Opozycja, zamiast bezsilnie atakować PiS w Sejmie, powinna pokazywać własne dokonania w regionach.

**32 Kot Eliota****O. WIESŁAW DAWIDOWSKI**

Biskupi i księża utracili zdolność słuchania świeckich. Jej przywrócenie jest jedynym ratunkiem dla Kościoła.

**57 Koszty wampiryzmu****MARTA ALICJA TRZECIAK**

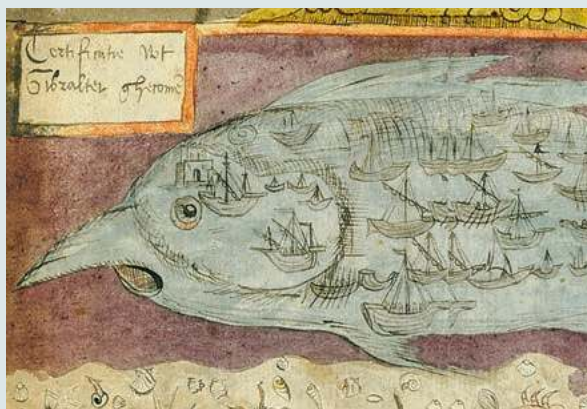
Tylko kilka gatunków ptaków i ssaków żywi się krwią innych zwierząt. Dlaczego?

**48 Gry szczepionką****MARCIN ŻYŁA**

W walce o zrównoważony dostęp do szczepień przeciw COVID-19 na świecie stawka jest wysoka. Kolejna pandemia jest bowiem kwestią czasu.

64 Cała ta jasność**ROZMOWA Z AGATĄ BUZEK, AKTORKĄ:**

W chorobie doświadczałam momentów załamania, a mimo to widzę tam światło. Rodzice nie karmili mnie lękiem, karmili mnie nadzieją.

**78 Zbiera mi się****ROZMOWA Z EDWARDEM BROOKE-HITCHINGIEM, PISARZEM I KOLEKCJONEREM:**

Za popęd do kolekcjonerstwa odpowiada określona część mózgu, której nie da się wyłączyć.

6 Duszpasterstwo we mgle
MACIEJ MÜLLER

7-11 Obraz tygodnia

19 Tygodnik czytelników

20-21 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

■ ■ **KRAJ**

22 Polityka, czyli to, co realne
JAROSŁAW FLIS

26 Wdepnij w ten pedał
MAREK RABIJ: *Etyczna moda, nieetyczne szwalnie*

28 Psychiatria bez kłódki
ROZMOWA Z RYSZARDEM
IZDEBSKIM, PSYCHOLOGIEM,
o opiece nad dziećmi

■ ■ **WIARA**

32 Kot Eliota
O. WIESŁAW DAWIDOWSKI

36 Wystarczy jedna rękawiczka
ROZMOWA
Z KS. WŁODZIMIERZEM
SKOCZNYM *o stylu*
abp. Józefa Życińskiego

38 Teolog przyszłości
CEZARY KOŚCIELNIK:
Romano Guardini,
wizjoner od papieży

■ ■ **ŚWIAT**

42 Berlin traci kontrolę
ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA:
Także Niemców epidemia
niecierpliwi

45 Musimy dodać ludziom odwagi
ROZMOWA Z BURMISTRZEM
ROSTOCKU

46 Manaus traci oddech
MAGDALENA BARTCZAK
Z SANTIAGO DE CHILE:
COVID-19 uderza w Amazonię

TEMAT TYGODNIKA



12 Życie trudne, życie piękne
WOJCIECH BONOWICZ

Osoby z niepełnosprawnością intelektualną
stały się kartą przetargową w konflikcie
o przepisy aborcyjne. Ale w ich sytuacji
niewiele to zmieniło.

16 Szkoła rodziców
ROZMOWA Z MARTĄ BERGIER,
MATKĄ 20-LETNIEJ MARII Z ZESPOŁEM DOWNA:
Moja córka jest już dorosła.
Wkrótce skończy szkołę, a ja znowu będę
musiała zdobyć informację,
co jej przysługuje, a co nie.

■ **FELIETONY** ■

31 DOROTA MASŁOWSKA 41 ZUZANNA RADZIK
55 ANDRZEJ STASIUK

76 JAN KLATA 77 PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: Agata Buzek
FOTOGRAFIA: Weronika Kosińska
Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

48 Gry szczepionką
MARCIN ŻYŁA

51 Oferta Johnsa
PATRYCJA BUKALSKA Z LONDYNU

52 Najmłodsze obywatelki w Europie
AGNIESZKA KAMIŃSKA
Z ZURYCHU *o walce Szwajcarów*
o równouprawnienie

■ ■ **NAUKA**

57 Koszty wampiryzmu
MARTA ALICJA TRZECIAK
o pożyczkach zwierząt z picia krwi

■ ■ **HISTORIA**

60 Żywoć Polaka austriackiego
WALDEMAR ŁAZUGA
o Ludwiku Čwiklińskim,
naszym człowieku w Wiedniu

■ ■ **KULTURA**

64 Cała ta jasność
ROZMOWA Z AGATĄ BUZEK,
AKTORKĄ

69 Czas marzycieli
DOROTA KOZIŃSKA:
w operze francuskiej
rzadzi Polka

72 Detektyw w ogniu kontrowersji
JAKUB MAJMUREK
o serialu „Cormoran Strike”

74 Uroda zmierzchu
ANITA PIOTROWSKA *o filmie*
„Wykopaliska” Simona Stone’a

76 Kronika odchodzenia
LEKTOR o „Dzienniku 1977-1989”
Sándora Márai’ego

■ ■ **ZMYSŁY**

78 Zbiera mi się
ROZMOWA Z EDWARDEM
BROOKE-HITCHINGIEM,
PISARZEM I KOLEKCJONEREM

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **17 mgnień Rosji**

W cieniu wydarzeń związanych z wyrokiem na Aleksieja Nawalnego rozgrywa się dramat młodego matematyka Azata Miftachowa – pisze **ANNA ŁABUSZEWSKA**
www.tygodnikpowszechny.pl/blogi

➔ **Szerpowie. Życie w cieniu gór [Podkast Powszechny]**

Ludzie, których wprowadzili na szczyt, stają się bohaterami. Sam Szerpa wraca do swojej chaty i dalej nie ma pieniędzy, by wykształcić swoje dzieci. To budzi złość – opowiada **KRZYSZTOFOWI STOREMU** alpinistka i reżyserka **ELIZA KUBARSKA** powszech.net/podkast

➔

WOŚ SIĘ JEŻY wolność równość ekonomia

Co czwartek na TygodnikPowszechny.pl

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

DUSZPASTERSTWO WE MGLE

Refleksja Komisji Episkopatu ds. Duszpasterstwa nad stanem Kościoła pokazuje, że polskie duchowieństwo nie myśli o przyszłości, tylko tęskni do stanu przed pandemią.

MACIEJ MÜLLER

NIE DOŚĆ MAMY W KOŚCIELE POLSKIM problemów z laicyzacją życia religijnego, dechrystianizacją kultury, postępującym permissywnym moralnym i ideologią gender, to jeszcze pandemia przyniosła „odizolowanie od sakramentów świętych i rozbitcie wspólnoty kościelnej”. To cytat z wydanej przez Komisję Duszpasterstwa KEP publikacji „Duszpasterstwo w czasie pandemii”. Jej autorzy szukają sposobu, by czas trwającej nadal pandemii „stał się szansą duszpasterską – jak to ujął we wstępie abp Wiktor Skworec.

Co najmocniej niepokoi duchownych? Fakt, że koronawirus odebrał wiernym moż-

liwość zwyczajnego „chodzenia do kościoła”. Obawiają się, że uczestnictwo w internetowych transmisjach pozostanie stałym zwyczajem części wiernych. Czują, że tracą z nimi kontakt, i nie potrafią ukoić ich lęków wynikających z odłączenia od sakramentów. Od troski niedługa jednak droga do zarzutów: oto wierni „dziwnie posłusznie zgadzają się na ograniczenia w praktykach religijnych”. A przecież w czasie wielkich epidemii średniowiecznych „świadek wiary, powierzenie się Bogu i determinacja wiernych były większe, nawet za cenę zachorowania i śmierci”. Na tym tle nie zaskakuje niedawny wy-

*Po mszy w kościele
Świętej Rodziny.
Lublin,
27 grudnia 2020 r.*

wiad abp. Stanisława Gądeckiego, w którym dziwił się, że ludzie robią zakupy i jeżdżą autobusami, ale w życiu religijnym korzystają z dyspensy (choć wiadomo, że koronawirus najlepiej przenosi się w niewietrzonych pomieszczeniach).

W publikacji wyróżnia się rozdział autorstwa ks. Przemysława Sawy. Autor przyznaje, że „w zwyczajnym duszpasterstwie przed pandemią praktycznie nikt nie wprowadzał ludzi” w takie tematy, jak komunizm duchowa, co teraz okazałoby się bezcenne. Ubolewa nad magicznym podejściem do religii, rodzajem poglądy, że hostia i namaszczone ręce kapłańskie nie roznoszą patogenu. Krytykuje straszenie katastroficznymi wizjami kary Bożej za grzechy lub zaprzeczanie pandemii. Dostaje się kaznodziejom „często rozmijającym się z obowiązującymi praktykami Kościoła bądź zmierzającymi na obrzeża zdrowej teologii” (wymienieni są m.in. ks. Roman Kneblewski, ks. Piotr Glas i ks. Paweł Murziński).

Ks. Sawa w przeciwieństwie do większości współautorów nie skupia się na narzekaniu i dostrzega m.in., że w pandemii rośnie grono osób szukających dróg do Boga np. przez medytację. Podkreśla, że „niezbędna jest zmiana języka, uwzględnianie mentalności ludzi i postawa dialogiczna. Sam zaś przekaz winien być zaproszeniem, a nie narzucaniem chrześcijańskiej wizji”. Przy tym „brakuje odpowiedniego wsłuchiwanie się w głos ludzi, ich myślenie i oczekiwanie”, a „nie znając tego głosu, Kościół nie może stworzyć odpowiedniej i rozważanej strategii”.

I tu leży sedno problemu z szukaniem duszpasterskich ścieżek przez komisję KEP. W spisie treści od góry do dołu figurują duchowni. Komisja nie zaprosiła do dyskusji samych zainteresowanych. Zamiast tego próbuje „wmyślać się” w ich potrzeby. Perspektywa zza biurka nie pozwoliła autorom dostrzec, że dla uratowania duszpasterstwa nie wystarczy rozmowa o technikaliach. Przeciwnie na pandemię nałożyły się kolejne rozdziały kryzysu Kościoła związanego z nadużyciami seksualnymi księży oraz oburzenie nieskrywanym poparciem hierarchii dla działań PiS.

Nie ulega wątpliwości, że po pandemii nastąpi czas wielkiego „sprawdzam”, kiedy przyjdzie policzyć się w kościołach. ©P

Mnożenie chaosu, dzielenie nauczycieli

SĄ NIBY O KROK od chwili, na którą czekają 11 miesięcy – bezpieczeństwa w miejscu pracy, które od marca 2020 r. kojarzy się głównie z rozsądnikiem koronawirusa. Z początkiem tygodnia ruszyły zapisy na szczepienia przeciw COVID-19 dla pracowników szkół. Problem w tym, że wykluczają dwie ważne grupy.

– Pracownicy obsługi, jak woźni, konserwatorzy, osoby sprząające, obsługa kuchni mają kontakt nie tylko z jedną klasą, ale ze wszystkimi dziećmi w szkole. Ich szczepienie nie dotyczy. Czują się pokrzywdzeni, rozczarowani. Mówią: „jesteśmy ci gorsi” – relacjonuje w rozmowie z „Tygodnikiem” rzeczniczka Związku Nauczycielstwa Polskiego Magdalena Kaszulanis.

To nie koniec podziałów: ten najbardziej kontrowersyjny dotyczy wieku nauczycieli. Dostępny obecnie preparat – przeznaczony m.in. właśnie dla pedagogów – to ten firmy AstraZeneca, nieprzebadany jednak w najstarszej czynnej zawodowo grupie wiekowej. To oznacza, że najstarsi, a więc też najbardziej narażeni na ciężki przebieg choroby pedagodzy zostaną zaszczepieni najwcześ-

niej w kwietniu, bo właśnie wtedy będą dostępne dwa pozostałe preparaty – dla grupy 60-70 lat.

„Czuję się upokorzona i usunięta poza nawias tylko dlatego, że urodziłam się trzy miesiące wcześniej” – napisała niedawno do ZNP jedna z nauczycielek, która jesienią ubiegłego roku skończyła 60. rok życia. Dawała, że nie odeszła we wrześniu na emeryturę tylko dlatego, że prosili ją o to rodzice dzieci. – Jesienią mieliśmy falę odejść z obawy przed epidemią, teraz grozi nam coś podobnego – ostrzega rzeczniczka ZNP. – Pamiętajmy, że duża część spośród tych najstarszych nauczycieli, jak pedagogzy przedszkolni czy ci uczący w klasach I-III, pracuje już stacjonarnie, narażając swoje zdrowie i życie. Boją się, a rząd im mówi: dla was szczepionki nie ma.

Tymczasem nadal nie wiadomo, kiedy wszystkie dzieci wrócą do szkół. Rząd nie wyklucza, że nastąpi to jeszcze w lutym. A Magdalena Kaszulanis zwraca uwagę, że władze podały już wiele kryteriów podjęcia takiej decyzji: to m.in. wyniki rozpoczętej właśnie drugiej edycji badań przesiewowych nauczycieli czy codzienna sytuacja epidemiczna. – Wśród tych ważnych kryteriów – puentuje rzeczniczka ZNP – nie ma najwyraźniej bezpieczeństwa pracowników.

©© PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Problemy z otyłością i wrażliwością

EWELINA BURDA



31 PROC. CHŁOPCÓW I 20 PROC. DZIEWCZYNEK w Polsce ma nadwagę. Z otyłością zmagają się 13 proc. chłopców i 5 proc. dziewczynek – podaje NFZ.

Problem wśród dzieci i młodzieży narasta. Czy i jak przyspieszył podczas pandemii – można się jedynie domyślać, nie pojawiły się jeszcze dane. Ostatnio powrócił do dyskusji po słowach ministra edukacji Przemysława Czarnka, które padły na antenie TVP Info: „Niestety ta krzywa otyłości wśród dzieci, zwłaszcza [z klas] 1-3 niestety, zwłaszcza wśród dziewcząt, zdaniem specjalistów z Akademii Wychowania Fizycznego (...) ta krzywa bardzo szybko rośnie”. Minister mówił o nowych programach wspierających aktywność fizyczną i zajęciach pozalekcyjnych, które będą „zwłaszcza skierowane do dziewcząt, bo tu jest większy problem”, dodając, że dziś większość takich zajęć jest przygotowywana dla chłopców.

Tuż obok problemu otyłości dzieci i młodzieży stoi drugi, nie mniej poważny: co drugi nastolatek w Polsce nie akceptuje swojego ciała. Zdecydowanie częściej dotyczy to dziewczynek – podaje UNICEF w raporcie o jakości życia dzieci z 2020 roku. Wzmocnienie stereotypów dotyczących płci w kontekście wagi, z powołaniem się na badania, które – jak się później okazało – dotyczą tylko jednego regionu, to skrajna nieodpowiedzialność.

Gdy burza wokół słów ministra już cichła, zadeklarował, że „da dobry przykład młodzieży i schudnie 5 kg do końca Wielkiego Postu”. Po raz kolejny pokazując, jak nie powinno się rozmawiać o ciele. Dbanie o zdrowie i prawidłową wagę nie powinno mieć nic wspólnego z wyścigiem na czas i sztywno ustalonymi liczbami. Bo fatfobia i presja dotycząca określonego wyglądu często potęgują zaburzenia odżywiania i mogą być równie niebezpieczne jak otyłość. ©©

KRAJ W SKRÓCIE



JAKUB KAMIŃSKI / EAST NEWS

CZAS NA ZIMĘ

W całym kraju trwają silne opady śniegu powodujące trudne warunki drogowe i opóźnienia w funkcjonowaniu komunikacji publicznej.

CZAS NA ZMIANY

Kłopoty komunikacyjne mają również politycy. KO wezwała ugrupowania opozycyjne do utworzenia „Koalicji 276” (tyle głosów potrzeba do odrzucenia prezydenckiego weta), ale na razie odpowiedź potencjalnych sojuszników jest sceptyczna: lewica ma pretensje do KO o wykorzystanie w czasie konferencji jej loga, a Szymon Hołownia komentuje: „Trudno mówić o poważnym związku, gdy dowiadujesz się o nim z YouTube’a”.

CZAS NA LECZENIE

Media doniosły o pożarze w działającym mimo rządowych zakazów luksusowym hotelu w Łukaszewie-Zdroju: podczas ewakuacji gości okazało się, że jednym z nich jest sędzia TK Krystyna Pawłowicz. Sędzia przekonuje, że wszystko odbywało się zgodnie z prawem, bo przebywała w hotelu na pobycie leczniczym.

CZAS NA ODWYK

O pobycie leczniczym marzy niejeden z nas. Zwłaszcza w kontekście informacji opublikowanych przez „Rzeczpospolitą”, z których wynika, że w pandemii o wiele więcej pijemy. Wydatki Polaków na alkohol – zwłaszcza na whisky, wino i rum – wyniosły w 2020 r. niemal 40 mld zł.

Kaczyński wydał wyrok na Gowina

ANDRZEJ STANKIEWICZ



KONFLIKT W POROZUMIENIU TLI SIĘ CO NAJMNIEJ od wiosny minionego roku. Gowin sprzeciwił się, gdy PiS zamierzał przeprowadzić wybory prezydenckie podczas pierwszego uderzenia koronawirusa. Kaczyński próbował mu wtedy odebrać ludzi, ale się nie udało – za Gowinem stanęła większość z 18 posłów jego partii. Wybory zostały przesunięte, ale wtedy właśnie zapadł wyrok na Gowina.

Teraz Kaczyński, wykorzystując polityków Porozumienia przeciągniętych na stronę PiS przy okazji walki o wybory, wygenerował potężny konflikt wewnętrzny. Wiceszef partii Adam Bielan – od zawsze człowiek Kaczyńskiego – sięgnął po proceduralne triki, by zakwestionować prezesurę Gowina. Cichy konflikt obu polityków trwa od miesięcy i objął wszystkie główne struktury. Były wzajemne zawieszania się i odwoływania, a skończyło się na wymianie zamków w partyjnej siedzibie i teoriach głoszonych przez Bielana, że to on jest szefem Porozumienia.

Bielan jest człowiekiem cienia, w polityce interesują go jedynie sute diety z Parlamentu Europejskiego. Gowin w kolejnych wyborach mu ich nie da, może je dostać tylko od Kaczyńskiego.

Dla prezesa PiS wasal Bielan jako szef Porozumienia to wariant wymarzony – Gowin stał się hamulcowym najbardziej kontrowersyjnych pomysłów PiS. W dodatku w razie chęci wymiany premiera mógłby stawiać opór. Bezpośrednim pretekstem do rozprawy z Gowinem były plotki, że odnowił swe kontakty z Donaldem Tuskiem. To wpisuje się w lansowaną przez Bielana wersję o jego konszachtach z opozycją.

Kaczyński nie zaangażował się bezpośrednio w starcie. Ale wysłał jasny sygnał. Do Rady Mediów Narodowych wpłynął wniosek o powołanie do zarządu TVP Wojciecha Kasprowskiego, byłego szefa biura Bielana. Prezes PiS pokazał ludziom Porozumienia, kto im może dać realne frukty. Mimo to przegrał. Zdecydowana większość parlamentarzystów Porozumienia znów stanęła po stronie Gowina. Z partii wyrzuceni zostali Bielan i Kamil Bortniczuk, przejęty przez PiS już wiosną. To jednak nie kończy wojny. Nie ma znaczenia, że Bielan z Bortniczukiem nie uznają wykluczenia. Znaczenie ma to, że Kaczyński na pewno uderzy znowu. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.



ARKADIUSZ ŁYŚŃ / MATERIAŁY PRASOWE

Kandydatka lipa

PRZYSADZISTA, NIETYPOWA – wyróżnia się w krajobrazie. Koronę ma tak rozległą, że najniższe gałęzie niemal sięgają ziemi. Lipa drobnolistna rosnąca na skraju Dulczy Wielkiej (woj. podkarpackie) jest już zwyciężczynią krajowej edycji plebiscytu na Drzewo Roku, a teraz stoi przed szansą na zdobycie tytułu europejskiego. To nie konkurs piękności – zastrzegają organizatorzy – ważna jest opowieść. Tę podpowiada stojąca nieopodal drzewa kapliczka św. Jana Nepomucena, patrona powodźników. To od niego lipa miała wziąć swoje imię i moce, chroniąc przez ostatnie 150 lat, wspólnie ze świętym, dobytek mieszkańców wsi przed wylewającą tu rzeczką Jamnicą. Głosowanie na stronie treeoftheyear.org trwa do końca lutego. © P (MO)

Ludnościowy krach, czyli jak znika Płock

TAKIEGO MIESIĄCA nie było od dekad: w grudniu ub. roku narodziło się 25,8 tys. dzieci, najmniej w miesięcznym ujęciu od 2002 r. A grudzień był pierwszym miesiącem, na którego bilans mogła wpłynąć epidemia – od marca 2020 zdążyło však upłynąć 9 miesięcy.

Zły pod tym względem był cały rok: Polsce ubyło ok. 115 tys. ludzi, czyli mniej więcej tyle, ile populacja średniej wielkości miasta, np. Płocka. Przyczyny są dwie: ok. 70 tys. epidemicznych zgonów (część to pokłosie zapaści w ochronie zdrowia) i fatalne wskaźniki urodzeń. Narodziło się 355 tys. dzieci – najmniej od 2004 r.

Nie lepiej rysuje się przyszłość: do powiększonej epidemią sumy lęków, które nie sprzyjają decyzjom o posiadaniu dzieci, doszło zaostrzenie prawa aborcyjnego. © P (PW)



MICHAEL PROBST / AP / EAST NEWS

SKRAJNE ZJAWISKA POGODOWE. Masy lodowatego powietrza z północy zderzyły się w minionych dniach nad Niemcami z masami ciepłego powietrza z południa. Skutkowało to różnicą temperatur nawet do 25 stopni między północno-środkowymi regionami kraju, gdzie obfite opady śniegu zablokowały autostrady, a południem, gdzie deszcze i odwilż doprowadziły do powodzi. Na zdjęciu: okolice miasteczka Nidderau w Hesji, 3 lutego 2021 r. ©

Wyspy żegnają kapitana Toma

BRYTYJSKI WETERAN II wojny światowej Tom Moore zmarł 2 lutego w wieku 100 lat. Kapitan Tom – jak go nazwano – stał się sławny wiosną 2020 r., gdy zebrał dla brytyjskiej służby zdrowia prawie 33 mln funtów. Świat pogrążył się wtedy w pandemii, a Moore postawił przed sobą wyzwanie: w ciągu miesiąca pozostającego do setnych urodzin sto razy obejrzeć swój ogród. Miał nadzieję, że uda mu się w ten sposób zebrać tysiąc funtów, którymi chciał wesprzeć publiczną służbę zdrowia. Szybko okazało się, że może liczyć na znacznie, znacznie więcej. Gdy w marynarce z licznymi medalami, wspierając się na chodziku, kończył swoje ostatnie okrażenie, towarzyszyła mu honorowa asysta wojskowa i uwaga



EDDIE KEIGH / EAST NEWS

mediów na całym świecie. Moore został ulubieńcem kraju, ucieleśnieniem brytyjskich wartości i niezłomności ducha, a także symbolem optymizmu i nadziei, że – jak mówił – „jutro będzie dobry dzień” (to także tytuł jego autobiografii). W uznaniu dla jego zasług królowa nadała mu tytuł szlachecki – dzień, gdy spotkał Elżbietę II w Windsorze, był zdaniem rodziny Moore’a jednym z najwspanialszych w jego życiu. W styczniu kapitan Tom trafił do szpitala z zapaleniem płuc, co uniemożliwiło zastrzeżenie go na COVID-19; później stwierdzono też zakażenie koronawirusem. Jego odejście Brytyjczycy przyjęli z powszechnym smutkiem, kondolencje przesłała królowa, a flagę nad siedzibą premiera na Downing Street opuszczono do połowy masztu. „Był najlepszym z nas” – powiedział arcybiskup Canterbury Justin Welby.

© PATRYCJA BUKALSKA z Londynu

LICZBA TYGODNIA

1 650 000 000

Tyle podróży kolejną odbędą Chińczycy w związku z zaczynającymi się 12 lutego obchodami tamtejszego Nowego Roku. Liczba podróży, jak szacuje ministerstwo transportu, będzie o połowę mniejsza od rekordu z 2019 r. – głównie z powodu apelu partii o niewstrzymywanie produkcji na czas święta. Władze szacują, że taka przerwa zmniejszyłaby chiński PKB w lutym o 1,5-2 proc.

Lekcje chłosty



ANNA ŁABUSZEWSKA

POWRÓT OPOZYCYJNISTY ALEKSIEJA NAWALNEGO do Rosji zbudził Kreml. Zagrożenie ze strony nowych sił władze uznały za poważne. Putin sięgnął po przemoc, aby uciszyć protesty, które przetoczyły się przez cały kraj, i uruchomił posłuszną maszynę sądową w celu pozbycia się kłopotliwego rywala z gry o tron: 2 lutego sąd przychylił się do wniosku Federalnej Służby Więziennictwa o zamianę Nawalnemu wyroku 3,5 roku w zawieszeniu na realną odsiadkę, w związku z rzekomym naruszeniem przez niego procedur. Sąd wykonał polityczne zamówienie Kremla: Nawalny pozostanie do rozpatrzenia apelacji w areszcie, a potem trafi do łagru na 2 lata i 8 miesięcy. W dniu rozprawy okolice sądu były obstawione przez wzmocnione oddziały prewencji, które miały nie dopuścić do gromadzenia się zwolenników Nawalnego. Po ogłoszeniu wyroku na ulice Moskwy i Petersburga spontanicznie wyszli demonstranci. Zostali spalowani i rozpędzeni, zatrzymano co najmniej 1400 osób.

Kolejna odsłona chłosty odbyła się 5 lutego: Nawalny stanął przed sądem oskarżony o zniesławienie weterana. Tę sprawę uszyto na podstawie krytyki, jaką opozycjonista wygłosił wobec osób biorących udział w materiale agitacyjnym wzywającym do głosowania na poprawki do konstytucji (dające m.in. Putinowi możliwość dalszego sprawowania urzędu). Weteran poczuł się rzekomo urażony. Rozprawę przerwano, ciąg dalszy wkrótce. W prokremlowskich mediach, które do niedawna nie dostrzegały Nawalnego i nawet nie wypowiadały jego nazwiska, zaczęła się nagonka na „pozbawionego czci i wiary antybohatera” obrażającego weteranów.

O wolność dla Nawalnego miał się upomnieć szef unijnej dyplomacji Josep Borrell – przyjechał m.in. w tym celu do Moskwy. Naiwnie liczył na dialog, ale się przeliczył. Rosyjski MSZ i jemu urządził pokaz chłosty: padły słowa, że Unia jako partner zawodzi, wprowadza bezprawne sankcje, bezpodstawnie krytykuje. Równolegle ogłoszono wydalanie trojga dyplomatów (ze Szwecji, Niemiec i Polski) za „nieliczący ze statusem dyplomaty udział w protestach” (choć byli oni tylko obserwatorami). To jasny sygnał: Putin skupiony jest na scenie wewnętrznej i jest gotów poświęcić relacje z Zachodem w imię obrony swej władzy.

©

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

DOWARTOŚCIOWANIE PRZYJAŹNI

Franciszek postanowił, że 29 lipca będzie w liturgii poświęcony wspomnieniu świętych Marty, Marii i Łazarza – przyjaciół Jezusa. W dekrecie Kongregacji ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów podkreślono gościnność okazywaną Jezusowi przez biblijne rodzeństwo i zaznaczono, że udało się rozwiązać tradycyjną niepewność co do tożsamości Marii łączonej z innymi postaciami z Ewangelii.

POCHWAŁA ORKIESTRY

„Jako duchowni pracujący w różnych środowiskach pragniemy wyrazić szczerą wdzięczność panu Jerzemu Owsiakowi i wszystkim osobom zaangażowanym w Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy za ich pracę i entuzjazm” – napisała grupa 43 księży i zakonników. Duchowni, których duża część podczas ubiegłorocznych jesiennych protestów podpisała „Apel zwykłych księży” piętnujący nadużycia polityków i grzechy Kościoła, tym razem sprzeciwiają się dyskredytowaniu największej polskiej akcji charytatywnej.

NAGRODZENIE ODWAGI

„Za wagę i odwagę postawy i słowa w nauczaniu, w publicystyce, w poezji – i w życiu” – tak Polski PEN Club uzasadniał przyznanie Nagrody im. Pruszyńskich ks. prof. Alfredowi Markowi Wierzbickiemu, profesorowi etyki KUL.



MARCIN ŻYŁA

opowie o nierównym dostępie do szczepionek na świecie (czytaj tekst na s. 48) Agnieszce Lichnerowicz w „Światopoglądzie” Radia TOK FM, w środę 10 lutego o godz. 16.00.
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

Czas na konstruktywną dyskusję o kryzysie

ARTUR SPORNIAK



WYGLĄDA TO NA SYTUACJĘ PATOWĄ. OBECNY kryzys Kościoła jest przede wszystkim kryzysem władzy będącej poza skuteczną kontrolą i z silnymi mechanizmami antyreformatorskimi. Ale podobny kryzys Kościół przeżywał w czasach przedsoborowych. W dusznej klerykalnej atmosferze pierwszej połowy XX wieku i przy niesprzyjających warunkach powstawały oddolne ruchy świeckich i duchownych – jak ruch liturgiczny czy eklezjalny – które były źródłem nowego myślenia i powoli zmieniały klimat w Kościele, aż sytuacja dojrzała do systemowych zmian. Ten przykład pokazuje, że inicjatywy oddolne mają sens. Po protestach czas na tworzenie twórczego fermentu.

W polskim Kościele są już pierwsze jego sygnały. Właśnie ukonstytuowało się ciekawe forum dyskusyjne: Kongres Katoliczek i Katolików. Dość niezwykła dynamika tej inicjatywy (ewangeliczna?) oraz świadectwa rozsądku wróżą jej na razie dobrze.

Początek był niespodziewany: we wrześniu w katedrze w Osnabrück za zgodą miejscowego biskupa homilię podczas niedzielnej mszy głosiła kobieta. Na uczestniczącym w tej mszy krakowskim prawniku prof. Fryderyku Zollu ta nietypowa sytuacja zrobiła duże wrażenie. W krótkim felietonie zadał on pytanie: dlaczego tak jawna niesprawiedliwość (że kobiety nie mają głosu podczas liturgii) nie robi na nas wrażenia? Pytanie wywołało reakcję, której zasięg zaskoczył pytającego. W dyskusję zaczęły się włączać coraz to nowe osoby z różnych środowisk, m.in. z Klubów „Tygodnika Powszechnego” i sygnatariuszy październikowego „Apelu zwykłych księży”.

Statut Kongresu deklaruje: „Pragniemy, aby naszą postawę wyróżniały odpowiedzialność i krytyczna lojalność wobec wspólnoty Kościoła, której jesteśmy częścią”. Tworzone są dyskusyjne o palących problemach grupy, do których zaproszeni są wszyscy zainteresowani. Łada moment powstanie strona Kongresu, a o inicjatywie powiadomiony został m.in. prymas Polski. © P

O mediach katolickich

NIE DOLEWANIE OLIWY DO OGANIA, tylko promowanie jedności, która nie musi być jednolitością: niech będzie różnorodność, ale „z tym samym sercem” – tak Franciszek widzi rolę mediów katolickich. Zapytali go o to dziennikarze CNS, którzy na stulecie tej związanej z episkopatem USA agencji informacyjnej zostali przyjęci przez papieża. Media katolickie w Stanach Zjednoczonych, tak jak społeczeństwo, są silnie spolaryzowane. Zadaniem katolików jest „szukanie sposobów na to, aby ludzie ze sobą rozmawiali, wspólnie myśleli i szukali ścieżki braterstwa”, gdyż „Kościół podzielony nie jest Kościołem”.

Franciszek przestrzegł dziennikarzy przed popadaniem w cztery grzechy: dezinformowania lub pokazywania tylko części danej historii; „oszczerstwa, które jest ciężkim grzechem, bo niszczy reputację drugiego” poprzez kłamstwo; zniesławienia, które pociąga za sobą publikację czegoś z czyjejś przeszłości, „nawet jeśli zmienił swoje życie”; i „koprofilię”, którą opisał jako „miłość do brudu”, ponieważ „skandal się sprzedaje”. © P ASK

W Watykanie pękł szklany sufit



SIOSTRY KSAWERIANKI

BĘDZIE PIERWSZĄ KOBIETĄ z prawem głosu na synodzie biskupów. Być może nie jedyną. Papież Franciszek mianował s. Nathalie Becquart, ksaweriankę, na podsekretarza w synodalnym sekretariacie, który nadzoruje przygotowania i czuwa nad sprawnym przebiegiem biskupich obrad.

Francuska zakonnica ma 52 lata, do zakonu wstąpiła po ukończeniu studiów z przedsiębiorczości, później studiowała filozofię, teologię i socjologię. Była dyrektorką ds. ewangelizacji młodzieży przy Konferencji Episkopatu Francji oraz konsultorką synodalnego sekretariatu, w którym teraz obejmie funkcję podsekretarza. Tym samym na kolejnych obradach (najbliższe w październiku przyszłego roku) będzie jej przysługiwało prawo głosu, na równi z pozostałymi ojcami synodalnymi, o co od kilku lat zabiegały ruchy kobiece w Kościele. Drzwi zostały uchylone.

Drugim podsekretarzem został o. Luis Marín de San Martín, augustinianin, profesor teologii dogmatycznej i duchowości. Jak mówi kard. Mario Grech, szef sekretariatu, te nominacje pokazują, jak ważną rolę w synodalnym Kościele ma pełnić równość i różnorodność – płci, duchowości i zakonnych charyzmatów. © P EA



Beskidy: dlaczego z wież widać inne wieże

KILKANAŚCIE GMIN województwa małopolskiego połączyło siły, aby wybudować dziewięć wież widokowych na szczytach Beskidu Wyspowego. W ramach projektu mają też powstać baczki, wiaty oraz nowe parkingi. Wszystko po to, aby, jak uzasadniają autorzy, zwiększyć dostępność tego regionu, położonego godzinę jazdy od Krakowa i dotąd, w drodze do parków narodowych Gorców czy Pienin, często przez turystów omijanego.

Wieża widokowa buduje się w górach od lat, jednak ostatnio, m.in. dzięki dotacjom unijnym, coraz częściej – w tempie przypominającym to, z jakim w latach 90. przybywało przekazników telefonii komórkowej. Dla samorządów są łatwym sposobem zwiększenia atrakcyjności regionu. To prawda: gdyby nie one, z wielu zalesionych szczytów widać byłoby tylko drzewa. Rzecz w tym, że wieże powstają i tam, gdzie widok, choćby częściowy, już jest (projekt „Beskidzkie Wyspy” zakłada m.in. budowę na odkrytym szczycie Cwilina). Wejście na niektóre z tych istniejących – jak na Mogielicy (na zdj.), gdzie konstrukcję z drewnianych drabin ma zastąpić nowa, stalowa – wymaga i tak odporności na ekspozycję, trudno więc mówić o „zwiększaniu dostępności”. A sam Beskid Wyspowy, o czym zresztą mówi jego nazwa, składa się głównie z izolowanych masywów, z których panoram nie zasłaniają długie pasma – znad przećciniek, z polan czy wysokich przełęczy dojrzeć można całkiem sporo.

To więcej niż lokalny czy „branżowy” turystyczny dylemat. Jeśli trend stawiania wież widokowych utrzyma się długo, za jakiś czas, oprócz samych gór, z ich platform będzie można głównie dostrzec inne wieże.

© P MARCIN ŻYŁA

KULTURA W SKRÓCIE

ZŁOTO WARLIKOWSKIEGO

Reżyser teatralny, a także założyciel i dyrektor artystyczny Nowego Teatru w Warszawie Krzysztof Warlikowski został wyróżniony za całokształt twórczości Złotym Lwem przez Radę Dyrektorów weneckiego Biennale. Wręczenie nagrody odbędzie się w lipcu.

KRÓTKIE FILMY Z NAGRODAMI

Krótkometrażowy film „Play” Piotra Sułkowskiego z Joanną Kulig i Adamem Woronowiczem w rolach głównych zdobył Główną Nagrodę Jury na Story Image Film Festival w Londynie. Z kolei na 32. Trieste Film Festival za najlepszy krótki metraż uznano obraz Damiana Kocura „Dalej jest dzień”, doceniony już m.in. na 60. Krakowskim Festiwalu Filmowym oraz 45. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni.

WATTS U SZUMOWSKIEJ

Naomi Watts zagra w najnowszym filmie Małgorzaty Szumowskiej „Infinite Storm”. Dwukrotnie nominowana do Oscara, znana z dzieł Davida Lyncha i Alejandra Gonzáleza Inárritu aktorka wcieli się w rolę pielęgniarki i przewodniczki górskiej, która w trakcie samotnej wspinaczki, mierząc się z burzą śnieżną, rusza na pomoc nieznanemu.



MARTA ALICJA TRZECIAK

opowie Grzegorzowi Chłascie o ewolucji wampiryzmu (czytaj tekst na s. 57) w środę 10 lutego o g. 7.30. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl Warszawa 101 FM Ostrów Maz. 87,6 FM Radom 89,1 FM Ostrołęka 100,8 FM Płock 101,9 FM Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie

Czwarta w kolejce do szczepienia

ŁUKASZ LAMŻA



WŚRODĘ 3 LUTEGO EUROPEJSKA AGENCJA Leków (EMA) rozpoczęła procedurę kontrolną poprzedzającą dopuszczenie do obrotu kolejnej szczepionki przeciwko COVID-19, wyprodukowanej przez firmę Novavax. Gdyby EMA wydała opinię pozytywną, szczepionka ta stałaby się czwartą potencjalnie dostępną dla Polaków. Co ciekawe, reprezentuje ona już trzecią odmianę szczepionki (Novavax stworzyło produkt, w którym znajdują się białka koronawirusa zanurzone w nanocząsteczce lipidowej), po szczepionkach mRNA od Pfizera i Moderny oraz szczepionce wektorowej od duetu AstraZeneca-Uniwersytet Oksfordzki. To dobra wiadomość, ponieważ pokazuje, że w walce z pandemią sprawdzają się rozmaite strategie. Jest to szczególnie istotne ze względu na trwające obecnie prace nad „dogonieniem” mutacji koronawirusa: każda metoda to osobny front badań i eksperymentów.

Rynek szczepionek staje się coraz bardziej zatłoczony, a producenci prześcigają się w zapewnianiu rządów i obywateli, że ich produkty są skuteczne i bezpieczne, oni sami zaś są w stanie dostarczyć miliony obiecanych dawek. Z problemem wizerunkowym zmagają się wciąż duet AstraZeneca-Oksford. W trzecim tygodniu stycznia w związku z problemami w belgijskiej fabryce produkującej szczepionki dla AstraZeneki przedstawiciele tej firmy ogłosili, że będą w stanie dostarczyć w pierwszym kwartale tego roku krajom Unii Europejskiej zaledwie 31 mln dawek, zamiast ustalonych 56,3 mln. Po pierwszej rundzie negocjacji przedstawiciele zadeklarowali częściowe wywiązanie się z obietnic.

Równolegle w opublikowanym 29 stycznia komunikacie o dopuszczeniu szczepionki AstraZeneki do obrotu agencja EMA stwierdziła, że w badaniach klinicznych nie brało udziału wystarczająco dużo osób w wieku powyżej 55 lat, aby poprawnie oszacować jej skuteczność w tej grupie wiekowej. Opublikowany 1 lutego przez „The Lancet” raport z badań nie rozwiewa tych wątpliwości. Ze względu jednak na zadowalający poziom bezpieczeństwa i zachęcające wyniki badania poziomów przeciwciał szczepionkę AstraZeneki dopuszczono również dla najstarszej grupy wiekowej.

© P

TEMAT
TYGODNIKA

ŻYCIE TRUDNE, ŻYCIE PIĘKNE

Osoby z niepełnosprawnością intelektualną stały się kartą przetargową w konflikcie o przepisy aborcyjne. Ale w ich sytuacji niewiele to zmieniło. Wciąż nie ma formacji, która chciałaby prowadzić prawdziwą politykę życia.

WOJCIECH BONOWICZ





OD PRZESZŁO 30 LAT MOJE ŻYCIE JEST ZWIĄZANE Z OSOBAMI z zespołem Downa oraz porażeniem mózgowym. Niektóre z nich poznałem, kiedy były małymi dziećmi. Dziś są moimi przyjaciółkami i przyjaciółmi, dorosłymi, choć nie w pełni samodzielnymi. Mają, oczywiście, imiona. Nie podaję ich tylko dlatego, że same imiona, bez zdjęć i historii, niewiele by wam powiedziały.

W relacjach z nimi staram się nie być zanedo „profesjonalny”. Nie jestem ekspertem ani od medycyny, ani od polityki społecznej. Nie uciekam od wiedzy – ona jest niezbędna – ale staram się, żeby pierwszeństwo miała jednak przyjaźń. Uważam, że tylko w ten sposób mogą się rozwijać i poczuć docenieni. Zbyt często są obiektem takich czy innych zabiegów: organizuje się „dla nich” pomoc, otwiera się „dla nich” ośrodki, przygotowuje „dla nich” paczki świąteczne. Rzadko bywają podziwiani za to, kim są i co mają do zaoferowania innym.

Jeszcze się nie spotkaliśmy

Oczywiście to, że działa się „dla nich”, samo w sobie jest cenne. Osoby w ich sytuacji nie poradziłyby sobie z wieloma wyzwaniami. W ciągu tych trzech dekad zaszła pod tym względem rewolucja. Dziś na ulicy, przynajmniej w wielkim mieście, widok osoby z zespołem Downa nie jest żadną sensacją. Oswajamy się też powoli z innymi rodzajami niepełnosprawności intelektualnej. Mamy ośrodki wczesnej interwencji, lepsze szkoły specjalne, coraz więcej warsztatów czy placówek dziennego pobytu, turnusy rehabilitacyjne, specjalne lekcje w muzeach. Z etapu izolacji przeszliśmy do akceptacji czy umiarkowanej integracji.

Ale ciągle daleko nam do kolejnego kroku: pełnej integracji, a potem inkluzji, włączenia. Nadal traktujemy osoby z niepełnosprawnością intelektualną bardziej jako problem, z którym coś trzeba zrobić, niż jako osoby, które nie tylko mają takie same prawa jak my, ale w ogóle są do nas podobne. Widzimy niepełnosprawnych ludzi, nie widzimy natomiast niepełnosprawnego społeczeństwa, jakie tworzymy. Owszem, ta perspektywa też się zmienia, choćby pod wpływem takich programów telewizyjnych jak „Spotkajmy się” czy „Down the Road”. Jednak – mimo ogromnej pracy, jaką wykonano – osoby z niepełnosprawnością intelektualną nadal często odbierają z zewnątrz ten sam sygnał: byłoby lepiej, żebyś się nie urodził... Choćby pośrednio – czasem wystarczy czyjeś zafrasowane spojrzenie, prychnięcie zniecierpliwionego klienta w sklepie, skarga matki, która nie może czegoś załatwić w urzędzie albo u lekarza, czy fakt, że ręka niepełnosprawnego wyciągnięta na powitanie zawisła w powietrzu.

Nie piszę o moich wyobrażeniach – piszę o tym, co widziałem na własne oczy i co usłyszałem od moich niepełnosprawnych znajomych lub ich rodziców. Najczęściej matek. To, co się dzieje w ostatnich miesiącach, raz jeszcze

Scena ze spektaklu warszawskiego Teatru 21 pt. „Klauni, czyli o rodzinie. Odcinek 3” w reż. Justyny Sobczyk. Od lewej: Magdalena Świątkowska, Piotr Swend, Michał Pęszyński. 17 grudnia 2015 r.

→ przypomniawszy nam, że w Polsce opieka nad ludźmi niesamodzielnymi to głównie sprawa kobiet. Znam wiele wspianych rodzin, w których mężczyźni dzielą obowiązki z kobietami, ale statystyka jest nieubłagana: kiedy rodzi się dziecko z niepełnosprawnością intelektualną, większość mężczyzn wcześniej czy później znika. Co więcej – otoczenie ani nie osądza ich surowo, ani nie próbuje pomóc im zmierzyć się z nową sytuacją. Nieestety, często także nie mobilizuje się, by wesprzeć opuszczoną matkę. Usprawiedliwieniem jest myśl, że zajmie się tym pomoc społeczna, nikt jednak nie sprawdzi, jak ona w praktyce wygląda. Wiele z historii, których teraz przychodzi nam wysłuchać, to opowieści o samotności, desperacji i determinacji kobiet.

Cztery kryzysy

Chociaż tak długo towarzyszę osobom z niepełnosprawnością intelektualną i ich rodzinom, to jednak nie mogę powiedzieć z pełnym przekonaniem, że wiem, jakie to życie. Nigdy nie mieszkałem z taką osobą dłużej niż dwa tygodnie. Jestem tylko przyjacielem-wolontariuszem – a to zupełnie inna odpowiedzialność i inny punkt widzenia. Cieszę się, że pod wpływem protestów na ulicach w mediach zaczyna się pojawiać więcej konkretnych opowieści. Mówić powinni przede wszystkim rodzice i same osoby z niepełnosprawnością. Jeżeli ośmielam się zabierać głos, to jedynie dlatego, że przez lata słuchałem tego, co mają do powiedzenia.

Rodzice, którzy decydują się na przyjęcie takiego dziecka, przechodzą zwykle przez cztery kryzysy. Pierwszy pojawia się w momencie, kiedy lekarze – czy to przed, czy już po narodzinach – rozpoznają upośledzenie. Jest to moment, kiedy trzeba się pożegnać z wcześniejszymi wyobrażeniami o ojcostwie czy macierzyństwie i zbudować nową wizję. Bardzo ważne jest, jak zachowują się ludzie, którzy wtedy są w pobliżu, zarówno pracownicy medyczni i społeczni, jak rodzina i przyjaciele. Postawa otwarta na przyjęcie nowego wyzwania nie bierze się znikąd: jest kształtowana przez rozpowszechnione sposoby myślenia, wyznawaną hierarchię wartości, mity i stereotypy. Jedne ją wzmacniają, inne osłabiają.

Drugi kryzys przychodzi w momencie dojrzwania. Tu znów – coś się rozpada

Rola państwa nie jest
zastawianie pułapek
na ludzi i przymuszanie
do heroizmu, ale tworzenie
warunków, w których
**wybory heroiczne
będą możliwe.**

i musi zostać zbudowane na nowo. Pojawia się kwestia miłości, posiadania rodziny, seksu. Niektóre rodziny radzą sobie w ten sposób, że starają się infantylizować swoje dzieci, co w przypadku osób z zespołem Downa często się udaje, ale w przypadku innych niepełnosprawnych intelektualnie rodzi kolejne problemy. Nieuchronną reakcją jest bunt przeciwko rodzicom, który czasem przybiera formę agresji, a czasem depresji. Rodzicom pomagają szkoły, ale też nie wszędzie, bo nie wszystkie stać na zatrudnienie dodatkowych psychologów.

„W życiu jej tam nie poślę”

Trzeci kryzys pojawia się, kiedy się okazuje, że szkoła nie trwa wiecznie. W Polsce uczennice i uczniowie szkół specjalnych muszą je opuścić, kiedy ukończą 25 lat. Co mogą robić później? Są warsztaty terapii zajęciowej, które teoretycznie w ciągu następnych trzech lat powinny przygotować ich do wejścia na rynek pracy. Tyle że dla znakomitej większości osób z niepełnosprawnością intelektualną nikt żadnych miejsc pracy nie przewiduje. Także edukacja ma charakter raczej ogólny i nie przygotowuje do jakiegokolwiek zawodu, nawet tych, którzy pracę podjąć by mogli. Są na świecie państwa, gdzie takie osoby są zatrudnione w sklepach, firmach sprzątających, a nawet urzędach. Niektóre kończą wyższe uczelnie, inne pracują jako modele. U nas temat dopiero raczkuje.

Mój przyjaciel widział w Holandii następujący obrazek: pod przystanek autobusowy podjechał samochód, z którego wypadła grupa downów w kombinezonach. W krótkim czasie wiata została namydlona, a następnie splukana i oczyszczona do sucha. Pracownicy mieli przy tym świetną zabawę. „Czemu by u nas

czegoś takiego nie zrobić?”, zapytałem. „Człowieku, przecież by mnie zjedli, że biedne dzieci wykorzystuję”, usłyszałem w odpowiedzi.

Co zostaje, skoro nie ma pracy? Szukanie jakiegokolwiek miejsca, w którym syn czy córka choć przez kilka godzin w ciągu dnia będzie mógł spędzić czas z kimś innym niż własną matką. Kombinowanie, jak zatrzymać kogoś na warsztatach terapii zajęciowej na kilka kolejnych lat. Liczenie na Caritas albo inną fundację, że w okolicy stworzy nową placówkę, bo dotychczasowe są już przepełnione.

Jest wreszcie czwarty kryzys – może najtrudniejszy. „Żeby umarło przede mną” – taki tytuł nosi poruszająca książka Jacka Hołuba, zbierająca opowieści matek niepełnosprawnych dzieci. Część rodziców to właśnie słyszy na początku jako pociechę: „Na szczęście nie będzie żyło długo...”. Ale miłość i medycyna działają cuda, a życie osób z niepełnosprawnością intelektualną – tak jak i nas wszystkich – znacznie się wydłuża. (Jednego z moich znajomych z zespołem Downa zawieziono na pogotowie z podejrzeniem zawału serca. Lekarz nie chciał się podjąć operacji, nie wierzył, że pacjent ma ponad 60 lat. Według jego wiedzy nie powinien dożyć tego wieku).

Rodzice czując, że słabną, zaczynają rozglądać się za miejscem dla swoich coraz starszych dzieci. Miejsca niby są, ale... Do tych, które wydają się odpowiednie, na ogół jest kolejka. Inne śnią się rodzicom po nocach: „W życiu jej tam nie poślę. To już lepiej...”, mówi zdenerwowana matka, a ja nie dopytuję, bo doskonale wiem, co chciałaby powiedzieć.

Obok nas

Przez politykę życia rozumiem taką politykę, która nie sprowadza się do głosowania „za życiem”, ale stara się przede wszystkim budować „środowisko życia”. Polityki takiej nie tworzy się hasłami, nawet najszlachetniejszymi, ale daleko-wzrocznymi decyzjami, dotyczącymi w dodatku bardzo różnych sfer.

Sprawdźcie, proszę, jak często temat niepełnosprawności intelektualnej pojawia się w mediach, szczególnie publicznych, za które państwo ponosi odpowiedzialność. Czy waszym dzieciom w szkołach ktoś mówił – i pokazał – jak traktować takich rówieśników? Czy w ogóle przyszło wam do głowy, że wasz syn lub

córka mogłoby mieć taką przyjaciółkę lub przyjaciela? Zaskakują was niepełnosprawni artyści, którzy od czasu do czasu migną wam w programie telewizyjnym? Dlaczego nie zaprosicie ich nigdy, żeby uświetnili jakąś imprezę w waszej firmie? A tak w ogóle – pracuje w niej jakiś niepełnosprawny? Wyobrażacie sobie, że osoba z zespołem Downa mogłaby być waszą koleżanką czy kolegą z pracy?

Media, edukacja, polityka społeczna, kultura, służba zdrowia. W każdej z tych sfer jest wciąż tyle do zrobienia – i, niestety, nie da się tego zrobić bez państwa. Państwo musi po prostu w życie zainwestować, i to nie w tym sensie, w jakim na ogół się to rozumie. Polityka życia to, po pierwsze, profesjonalna pomoc na różnych jego etapach, a po drugie – troska o tło społeczne, o kontekst, o klimat. Jeżeli każde życie jest wartością, to jak wartość musi być potraktowane: musi się nie tylko urodzić, ale też rozwinąć, mieć swoje miejsce w społeczeństwie, móc liczyć na wsparcie, gdy przyjdzie kryzys. O to wszystko jest dziś bardzo trudno, nawet tym, u których niepełnosprawność intelektualną diagnozuje się jako „lekką” lub „umiarkowaną”. Cóż dopiero mówić o sytuacji tych, których niepełnosprawność jest głębsza.

Problem tła

Rolą państwa nie jest zastawianie pułapek na ludzi i przymuszanie do heroizmu, ale tworzenie warunków, w których wybory heroiczne będą możliwe. Konieczność stworzenia w Polsce lepszego systemu wspomagania osób z rozmaitymi niepełnosprawnościami i ich rodzin jest oczywista, ale kolejne rządy się z tym nie spieszą. W 2018 r., kiedy w Sejmie trwał protest osób niepełnosprawnych i ich opiekunów, ze strony rządowej słyhać było nawet, że taki system już, już zostałby przedstawiony, gdyby w pracach nie przeszkodził... protestujący.

Czy w jakimś państwie na świecie dokonała się pełna integracja, system wsparcia działa, jak należy, a społeczne tło jest dla ludzi z niepełnosprawnością intelektualną przyjazne? Niestety, nie. Ale wiele państw – jak Izrael czy duża część państw Europy Zachodniej – zmierza w tym kierunku. Kiedy przychodzi kryzys, one także dokonują cięć w polityce socjalnej, ale co innego ciąć z dużego kawałka materiału, a co innego, gdy kawałek od początku jest za mały. Państwo

Jeżeli każde życie jest wartością, to jak wartość musi być traktowane: musi się nie tylko urodzić, ale też rozwinąć, mieć miejsce w społeczeństwie, **móc liczyć na wsparcie, gdy przyjdzie kryzys.**

polskie w wielu sytuacjach stawia nas w pozycji petentów, którzy muszą dobijać się o swoje. Przykład? Większość z nas nieustannie dokupuje usługi medyczne, które powinny być dostępne w ramach ubezpieczenia zdrowotnego. Jeśli całe społeczeństwo jest w sytuacji petentów, dla rodzin osób z niepełnosprawnością intelektualną oznacza to jeszcze większe bariery i komplikacje. Cóż z tego, że wpisać się do ustawy takie czy inne przywileje (ułatwiony dostęp do lekarza czy rehabilitacji), skoro w praktyce nie można z nich skorzystać? We Francji czy Niemczech sytuacja jest o niebo lepsza.

Wszędzie natomiast istnieje problem tła. Jeden z francuskich socjologów zwrócił mi przed laty uwagę na ciekawe dane: w miarę jak rośnie społeczna akceptacja osób z zespołem Downa i innymi rodzajami niepełnosprawności intelektualnej, rośnie też liczba aborcji dokonywanych po rozpoznaniu, że dziecko może się urodzić niepełnosprawne. Jak rozwiązać ten paradoks? Moim zdaniem rozwiązaniem nie jest zaostrenie prawa, lecz praca nad tłem. Tu otwiera się ogromne pole działania dla kultury. Ucieszyło mnie, kiedy jeden z Paszportów „Polityki” za ubiegły rok trafił do Teatru 21, którego aktorami są głównie osoby z zespołem Downa i autyzmem. W Krakowie od lat działa Teatr Exit, który z niepełnosprawnymi artystami przygotowuje poruszające spektakle inspirowane historiami biblijnymi. Takich inicjatyw jest w Polsce niemało, ale bardzo niewiele z nich udaje się przedostać do głównego nurtu.

Otwiera się tu także pole dla Kościoła. Prowadzi on wiele placówek, w których osoby z niepełnosprawnością intelektualną mogą znaleźć schronienie, a z czasem dom. Równocześnie w postawie wielu

polskich katolików, nie tylko duchownych, jest jakiś rodzaj niekonsekwencji: za radykalizmem języka nieczęsto podąża radykalizm świadectwa. (Charakterystyczne jest zresztą, że ci nieliczni, którzy dają świadectwo, na ogół nie posługują się językiem radykalnym). Język moralnego szantażu, piętnowania, straszenia „cywilizacją śmierci” i „inwazją lewactwa” wciąż ma swoich zwolenników, ale rośnie liczba tych, którzy nie mogą go już słuchać. Kościołowi w Polsce potrzebna jest głęboka rewizja – zarówno dotycząca języka, jak i miejsca osób z niepełnosprawnością intelektualną we wspólnocie.

Po pierwsze rodzice

Piszę o kryzysach i problemach, a właściwie powinienem pisać o miłości. Nie byłoby przecież kryzysów, gdyby nie miłość. Nawet najlepsze państwo opiekuńcze, choćby nie wiadomo jak sprawne, nie zastąpi kochających rodziców. To dlatego trzeba przede wszystkim słuchać uważnie ich głosów. Ich opowieści mówią o tym, co trudne, i o tym, co piękne. Są matki, które bardzo cierpią, i powinniśmy wysłuchać opowieści o ich cierpieniu, żeby lepiej zrozumieć, co należałoby zmienić, także w sobie, w swojej własnej głowie. Są też matki i ojcowie, od których usłyszymy, że nie chcieliby dla siebie innego życia, a ich dzieci dały im szczęście. Tylko słuchając, jesteśmy w stanie zrobić kolejny krok na drodze do dojrzałego społeczeństwa. Najgorzej jest, kiedy społeczeństwo utrzymuje się w stanie niedojrzałości, a miłość i cierpienie są wykorzystywane do rozgrywek politycznych.

I jeszcze jedno: pisząc o osobach z niepełnosprawnością intelektualną, często czuję, że popełniam jakiś nietakt. Jakkolwiek bym próbował, ostatecznie każdy tekst skupia uwagę czytających przede wszystkim na wyzwaniach, z którymi trzeba się uporać. A w konsekwencji – mimo iż bardzo nie chcę tego robić – umacnia taką wizję, w której samo istnienie tych osób jest i zawsze będzie problemem. A to nieprawda. To my jesteśmy problemem, nie one.

© WOJCIECH BONOWICZ

Bardzo dziękuję wszystkim, którzy zgodzili się ze mną porozmawiać, kiedy przygotowywałem ten artykuł. Szczególnie dziękuję Mai Jaworskiej, dyrektor Fundacji Anny Dymnej „Mimo Wszystko”.



JACEK TARAN

Marta Bergier z córką Marią, Kraków, 7 lutego 2021 r.

Szkoła rodziców

MARTA BERGIER, MATKA 20-LETNIEJ MARI Z ZESPOŁEM DOWNA:

Moja córka jest już dorosła. Wkrótce skończy szkołę, a ja znowu będę musiała się dowiedzieć, co jej przysługuje, a co nie.

MAŁGORZATA NOCŨN:

Jak zapamiętała Pani dzień narodzin Marysi?

MARTA BERGIER: Podczas pierwszych skurczy jej serce przestawało sobie radzić. Podjęto decyzję o cięciu cesarskim. Tata wziął córkę na ręce. Ja też ją przytuliłam. Miała na głowie czarnego, śmiesznego irokeza, otworzyła oczy. Badanie neonatologiczne wykazało, że ma niedrożny przewód pokarmowy, potrzebna była

natychmiastowa operacja. Pielęgniarka wwozila do sali inkubator, powiedziała, że mogą pożegnać córeczkę przed transportem do specjalistycznego szpitala, w którym odbędzie się zabieg.

Marysia urodziła się w szpitalu uniwersyteckim w Kolonii. O tym, że ma zespół Downa, dowiedzieliśmy się w trzydziestym szóstym tygodniu ciąży. Podczas USG wykryto wadę serca, zastanawiano się, czy jest to wada izolowana, czy może

mieć związek z wadą genetyczną. Wykonano badanie wód płodowych, potwierdziła się wstępna diagnoza: trisomia 21.

Czyli zespół Downa.

Teraz, po 20 latach, wciąż najważniejsze jest dla mnie, w jaki sposób powiedziano nam o jej chorobie. Rozmawiał z nami genetyk i kardiolog. Ta chwila miała w sobie piękno: mówili, że dziecko będzie potrzebowało naszej pomocy, że na świecie pojawi się dziewczynka, którą trzeba się zaopiekować. „Państwo jako rodzina na pewno sobie z tym poradzicie” – usłyszeliśmy.

Dzięki odpowiedniemu tonowi rozmowy poczuliśmy, że mamy przed sobą odpowiedzialne zadanie. Jesteśmy wdzięczni, że nasze rodzicielstwo miało taki początek. Musieliśmy nakreślić plan pomocy Marysi, lekarze zapewnili nas, że będzie objęta specjalistyczną opieką,

a kiedy podrośnie, zostanie poddana operacji serca. Marysia czekała na nią rok, gdyż dziecko, które ma przejść zabieg kardiochirurgiczny, powinno mieć odpowiednią wagę. Przez ten czas córka częściowo przebywała w szpitalu, częściowo w domu. Zapewniano jej rehabilitację, dbano o jej rozwój. Uczono mnie, jak ją masować i jak się z nią bawić, by stymulować rozwój.

Wysłuchałam wielu wspomnień rodziców, którzy w Polsce dowiedzieli się, że oczekują chorego dziecka. Mówiono o tej sytuacji mniej więcej tak: „W państwa życiu wydarzyła się tragedia”; „Mają państwo duży problem”. Towarzyszyło temu poczucie wstydu, przemilczenia.

Kiedy Marysia miała półtora roku, wrócili Państwo do Polski.

I znaleźliśmy się w innym świecie. W Niemczech otrzymaliśmy specjalny dokument: „paszport osoby z niepełnosprawnością”. Niestety, w Polsce musieliśmy powtórzyć badanie kariotypu Marysi, by „udowodnić”, że ma zespół Downa. Tak jakby ta wada mogła nagle zniknąć. Później każdego roku musiałam stawiać z córką przed specjalną komisją, która orzekała, że Marysia jest dzieckiem z niepełnosprawnością. Wymagało to kilkutygodniowych przygotowań: wizyt u specjalistów, kompletowania zaświadczeń, wypełniania formularzy. Udowadniałam, że moje dziecko potrzebuje dodatkowego wsparcia.

Na szczęście dziś są już w Polsce ośrodki realizujące program tzw. wczesnego wspomagania rozwoju. Dwadzieścia lat temu wszystkiego szukaliśmy na własną rękę: fizjoterapeuty, logopedy. Sami decydowaliśmy, jaką metodą Marysia ma być rehabilitowana i w której terapii ma uczestniczyć.

Moja córka jest już dorosła. Wkrótce skończy szkołę, a ja znów będę musiała zdobyć informacje, co jej przysługuje, a co nie. Kolejny raz poruszam się w gąszczu przepisów i zasad. W Polsce nie stworzono systemu, który pomagałby rodzicom w opiece nad dzieckiem z niepełnosprawnością. To rodzice walczą z systemem.

Podobnie jest z edukacją.

Brakuje systemu, który umożliwiłby prawdziwą integrację dzieci z niepełnosprawnościami i dzieci zdrowych. My mieliśmy szczęście: Marysia trafiła do

przedszkola integracyjnego prowadzonego przy Krakowskim Ośrodku Rehabilitacji Wieku Rozwojowego. Takie miejsca najczęściej tworzą pasjonaci. Przenoszą wzorce sprawdzone na Zachodzie. W naszym przedszkolu korzystano z doświadczenia monachijskiego. Było to wtedy jedyne miejsce w Krakowie, gdzie pracowano z dziećmi zdrowymi i z niepełnosprawnościami w systemie Montessori, który kładzie nacisk na naukę samodzielności i rozwijanie kompetencji społecznych.

I rzeczywiście: dzieci zdrowe i z niepełnosprawnościami wspólnie się uczyły i bawiły. Marysia mogła rozwijać swój potencjał. Po skończeniu przedszkola poszła do szkoły Montessori, i tym razem także była to pierwsza tego typu placówka w mieście – również niepubliczna i stworzona przez organizację pozarządową. Miała założenie inkluzywne – czyli włączania osób z niepełnosprawnościami i trudnościami w życie społeczności szkolnej. To doświadczenie udowodniło nam, że dzieci bardzo zdolne i te mające trudności w nauce mogą kształcić się razem. Trzeba im tylko stworzyć odpowiednią przestrzeń.

A w praktyce, jak to się robi?

U nas każdy mógł uczyć się na takim poziomie i w takim tempie, na które go było stać. Dzieci wspólnie przygotowywały śniadania, jeździły na wycieczki, pomagały sobie w nauce, realizowały projekty. Każdy był traktowany indywidualnie.

Dzieci uczyły się w jednej grupie. Każdemu uczniowi stawiano wymagania. Dzieci nie oceniają i nie porównują się nawzajem – uczą się tego niestety od dorosłych. Młodzi ludzie rozumieją, że ktoś chodzi z pomocą balkonika i trzeba na niego poczekać. Mają świadomość, że ktoś czegoś może nie rozumieć. Dobrze się czują, kiedy mówi się im: „Ty świetnie piszesz”, „A ty potrafisz śpiewać”. To jest sytuacja prawdziwa, ktoś jest słabszy, a ktoś silniejszy i dzięki temu mogą sobie pomagać i czerpać z tej różnorodności.

W Polsce szkolnictwo wyklucza. Wykorzystuje tylko część umiejętności uczniów. Rozwija sferę poznawczą, społeczną nie. Zdrowe dziecko funkcjonuje z dziećmi podobnymi do niego, dzieci słabsze fizycznie i intelektualnie są wykluczane. Brakuje przestrzeni, w której jest się razem, darząc się nawzajem szacun-

kunkiem. A my pokazujemy młodym ludziom – już w przedszkolu i szkole – że nie tworzymy społeczeństwa. Dlatego na dalszym etapie życia ludzi z niepełnosprawnościami po prostu nie dostrzegamy.

Brakuje kultury wspólnego funkcjonowania. Tematowi niepełnosprawności towarzyszą dwa rodzaje narracji. Pierwsza z dominującym poczuciem tragedii, druga infantylizująca, traktuje się w niej niepełnosprawnych jak duże dzieci.

Rodzice dzieci z niepełnosprawnościami boją się tej chwili: kończy się szkoła.

Po skończeniu szkoły osoba z niepełnosprawnością potrzebuje pracy, miejsca zamieszkania. Chce mieć przestrzeń do rozwijania swoich zainteresowań i spędzania wolnego czasu. W Polsce nie stworzono ani systemu mieszkalnictwa, ani programu aktywizacji zawodowej dla takich osób. Buduje się pojedyncze domy, ale zajmują się tym fundacje czy stowarzyszenia, nie państwo. Ludzie z niepełnosprawnościami mieszkają w nich sami, odwiedzają ich asystenci, pomagają im w załatwieniu różnych spraw, np. w urzędach.

Wejście na rynek pracy osoby z niepełnosprawnością intelektualną, a więc mającą szczególne potrzeby dotyczące np. czasu pracy, jest bardzo trudne. Nie ma spójnego i skutecznego systemu, który wspierałby zatrudnienie na wolnym rynku. Jeśli takie inicjatywy są podejmowane, mają oddolny charakter. Są działania organizacji pozarządowych, często inicjowane przez rodziców dzieci z niepełnosprawnościami, pedagogów czy terapeutów. Zdobywają granty, realizują projekty dofinansowujące trenerów pracy i asystentów, zakładają przedsiębiorstwa społeczne – np. Społeczna 21 w Krakowie. W ramach tego projektu ludzie z zespołem Downa m.in. smażą i sprzedają frytki. Ale jeśli na podobne projekty zabraknie pieniędzy, trzeba będzie zawiesić działalność, a tym samym wsparcie dla konkretnych osób.

Rodzice dzieci z niepełnosprawnościami wciąż do czegoś dążą: by dziecko zrobiło pierwszy krok, nauczyło się mówić, czytać, pisać. To duży wysiłek. Wiele dzieci – ogromną pracą i dzięki zaangażowaniu pedagogów – osiąga bardzo dużo. Ale po skończeniu szkoły nie wiadomo, jak ma wyglądać ich życie, co mają robić. Wiele z nich mogłoby pracować. ➔



Na placu zabaw na Bielanych, Kraków, 7 lutego 2021 r.

JACEK TARAN

→ W dużych miastach są pojedyncze kawiarnie dające zatrudnienie takim osobom, ale nie spotykamy ich w sklepie, bibliotece czy w innym miejscu, w którym mogłyby znaleźć zatrudnienie.

Marysia lubi tańczyć.

Dzieci z niepełnosprawnościami mają różne zainteresowania: muzyczne, plastyczne, ale nie ma przestrzeni, która pozwalałaby im je rozwijać. W szkole jest matematyka, chemia. Lektury na niewyobrażalnym dla takiego dziecka poziomie abstrakcji.

Podam przykład. Szukając szkoły ponadpodstawowej dla Marysi, dowiedziałam się o istnieniu liceum integracyjnego z klasą taneczną. Pomyślałam, że to coś dla mojej córki: pasjonuje się tańcem, ale z przedmiotami abstrakcyjnymi ma ogromny kłopot. Okazało się jednak, że do klasy tanecznej dostają się tylko „najlepsi” uczniowie.

Marysia mogła rozwijać swoją pasję, ponieważ w wieku siedmiu lat trafiła do Staramiejskiego Centrum Kultury Młodzieży. Zajęcia z tańca współczesnego dla

MARTA BERGIER:

Teraz córka mówi o sobie Maria. Marzy o znalezieniu pracy, chce się wyprowadzić. Mówi: „Będę was do siebie zapraszać”.

dzieci prowadziła Marta Pietruszka. Zdecydowała się przyjąć dziewczynkę z niepełnosprawnością do swojej grupy. Zdziałał więc „czynnik ludzki”, przez wiele lat nie spotykałam tam innych dzieci z zespołem Downa, chyba że na zajęciach organizowanych przez trzeci sektor, przewidzianych dla osób z niepełnosprawnościami. Na początku podczas zajęć siedziałam w kącie i obserwowałam Marysię. Chciałam, żeby pani Marta miała wsparcie. Chciałam jej pomóc porozumieć się z moją córką i się z nią poznać. Po pewnym czasie mogłam opuścić

salę. Marysia przeszła do grupy zaawansowanej. Tańczy w grupie młodzieżowej, uczestniczy w tworzeniu choreografii. Odnosi w tańcu sukcesy.

Mówi Pani, że Marysia miała szczęście. Polega ono chyba przede wszystkim na tym, że mieszkają Państwo w dużym mieście.

Po pierwsze, mamy dzięki temu dostęp do ośrodków terapeutycznych i edukacyjnych, których w mniejszych miejscowościach po prostu nie ma. Po drugie, przez większość lat Marysia kształciła się w placówkach niepublicznych, których jest niewiele i które są płatne, więc nie są powszechnie dostępne. Poza tym mam poczucie, że trafiłam na wielu życzliwych ludzi, wspaniałych terapeutów i pedagogów, którzy ogromnym nakładem pracy pomogli mojej córce w rozwoju i wspierali nas jako rodziców.

W trakcie jej edukacji, kiedy potrzebowałam, bym poświęciła jej więcej czasu, zawieszałam aktywność zawodową. Tak było na przykład, kiedy szła do szkoły – pomagałam jej nauczyć się czytać i pisać, woziłam na zajęcia. Znam rodziny, w których matki muszą pracować na ich utrzymanie. Nie mogą poświęcić swoim dzieciom tyle czasu, ile by chciały. Dziecko trzeba zawozić, przywozić, ćwiczyć z nim.

Kiedy pobiera się zasiłek pielęgnacyjny w wysokości niecałych dwóch tysięcy złotych, trzeba zrezygnować z pracy. Nie można jej podjąć w niższym wymiarze godzin, który pozwoliłby i na pomoc dziecku, i na aktywność zawodową matek. To bardzo smutne i wykluczające dzieci oraz ich rodziców.

A o czym marzy Marysia?

Mówi teraz o sobie Maria. Marzy o znalezieniu pracy, chce się wyprowadzić od nas. Mówi: „Będę was do siebie zapraszać”. Chce mieć chłopaka. W pracy chciałaby pomagać dzieciom lub osobom starszym. Myśli też o pracy w księgarniokawiarni. Kocha taniec i chciałaby móc dalej rozwijać tę pasję.

Co ja jej mówię? Postaramy się, bardzo się postaramy. Chciałabym dotrzymać słowa.

© Rozmawiała MAŁGORZATA NOCUN

MARTA BERGIER jest nauczycielką, z wykształcenia muzykolożką. Mama Marii i Zosi.



„TP” 4 / 2021

Solidarność z cierpiącym

Do artykułu Józefa Majewskiego o sensie cierpienia chciałabym dołączyć kilka myśli. Jest oczywiście, że próby tłumaczenia racjonalno-psychologicznego tego najtrudniejszego ludzkiego doświadczenia (że „może stanowić przestrożę”; że „uszlachetnia”; że „pozwala docenić dobro” i inne przytaczane przez autora) nie zadowolają, nie tłumaczą jego istoty, nie wyjaśniają tego ogromu (nadmiaru) cierpienia, zwłaszcza cierpienia ludzi niewinnych, dzieci. Myślę, że naprawdę jedynie chrześcijaństwo

pozwala zrozumieć tajemnicę cierpienia, a może tylko przybliżyć się do jej zrozumienia. Tylko perspektywa zbawczej Misji Chrystusa, podjętej przez Mękę Krzyża dla ratowania świata, odkrywa najgłębszy sens cierpienia. Bóg wszedł w świat rozdarty przez zło i naznaczony cierpieniem po grzechu, będącym konsekwencją wolności człowieka. Przyjął najcięższy ludzki los i odtąd jest z tymi (i w tych), którzy cierpią. Na pytanie, gdzie był Bóg w Oświęcimiu i gułagach, odpowiedź brzmi: w gazowanych i poniżanych. I w dziele ratowania świata przez cierpienie uczniowie Chrystusa mogą uczestniczyć oddając to, co jest ich najbardziej własne – cierpienie. Wszystko inne, co posiadają, jest darem otrzymanym. Może to jest ta „solidarność z cierpiącymi”, o której mowa jest w końcowej części artykułu o Hiobie, tylko pojmowana bardziej mistycznie.

RENATA GRZEGORCZYKOWA

„TP” 5 / 2021

Dziedziczka traumy

Dziękuję za poruszający dodatek „Oczami dzieci. Auschwitz, Majdanek, Łódź – koszmar nie mija”. Pomyślałam, że może warto byłoby kontynuować wątek zapomnianego, dziecięcego obozu koncentracyjnego na ul. Przemysławowej w Łodzi, poprzez oddanie głosu krakowskiej dziennikarce Urszuli Sochackiej. Błazej Torzański w zamieszczonym we wspomnianym dodatku wywiadzie nawiązał do przypadkowego odkrycia Sochackiej podczas porządkowania rzeczy po zmarłym ojcu. Odkąd dziesięć lat temu dowiedziała się o jego obozowej przeszłości, upamiętnia dziecięce ofiary obozu. Rekonstruuje fakty, wnika w głębokie, emocjonalne konsekwencje przetrwania u Ocalałych. W dokumentalnym filmie „Nie wolno się brzydko bawić” słychać jej „dwugłos”:

perspektywę profesjonalnej dziennikarki-dokumentalistki i gęstą od niewypowiadalnych emocji perspektywę „dziedziczki” traumy drugiego pokolenia. Obóz stał się motywem przewodnim jej intelektualnych dociekań i symbolicznego jednania się z ojcem. Podobnie jak Mikołaj Grynberg, żyje obozem opisując perspektywę ocalałych dzieci. Rezultatem wieloletniej, opartej na więzi współpracy z panią Genowefą Kowalczuk, są spisane przez Urszulę Sochacką obozowe wspomnienia byłej więźniarki z ul. Przemysławowej: „Eee... tam, takiego obozu nie było”. Aktualnie Urszula Sochacka realizuje dwa projekty związane z obozem na Przemysławowej. Jestem przekonana, że efekty jej pracy i zaangażowania mogą stanowić cenne źródło informacji i dalszych inspiracji tym ważnym zagadnieniem.

BEATA NINARD

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego, nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabin, Mariusz Sepioto, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błaziejowska, Tomasz Fiatkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioto, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurzikowska, Maja Kuczyńska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Kłata, Andrzej Stasiuk, Jacek Podsiadło, Dorota Mastowska, Zuzanna Radzik, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Dragula, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucy, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszałka, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocza-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Stawek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szmer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczyńska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski



REKLAMA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz: Prorokini



Z PRZODU SPIENIONE FALE, Z TYŁU RYDWANY faraona – jak w potrzasku? Tak mogą się czuć Izraelici zbliżający się do Morza Sotwia. Nie bez wahania stawiają pierwszy krok w odmętach i morze się rozstępuje, a oni przechodzą między ścianami wodnymi niby kanałem rodnym. Od bandy zbiegłych niewolników do ludu Izraela – grupowe doświadczenie graniczne daje im nową tożsamość. Na drugim brzegu intonują dziękczynną pieśń.

Pieśń Morza, ów hymn pochwalny, stanowi integralną część codziennej modlitwy porannej. Dzięki temu nietrudno jest wypełniać przykazanie, by pamiętać dzień wyjścia z Egiptu przez wszystkie dni naszego życia. Hebraista – uzbrojony w „mędrca szkiełko i oko” – dorzuci nam jeszcze, że hymny bitewne w Biblii to jedno z najstarszych przykładów poezji hebrajskiej.

Pieśni wojenne wychodzą czasem z ust biblijnych bohaterów. Przewodząca Izraelowi w epoce sędziów Debora wzywa swojego generała Baraka do walki z Kananejczykami. Barak wyraża życzenie, by Debora poszła wraz z nim na wojnę, a ona lojalnie go ostrzega, że wówczas zwycięstwo zostanie przypisane kobiecie. Barak najwidoczniej nie ma z tym problemu. Generał wrogiej armii, Sisera, wymyka się Izraelitom z rąk i szuka schronienia u przyjaznego ludu Kenitów. Jael, żona Kenity, uspiwszy generała, wbija mu palik od namiotu w ciemię. Debora i Barak wysławiają w swojej pieśni m.in. odważny czyn Jael, cytują też domniemany zwycięski refren matki Sisery. Inne fragmenty z Księgi Sędziów i Księgi Samuela zaświadcza, że kobiety śpiewają i tańczą, gdy mężczyźni wracają „z tarczą” do domu (np. 1 Sam 18, 6-7; Sdz 11, 34). Metafory militarne wplata też w swoją modlitwę Anna (hebr. Chana), matka proroka Samuela, za formę – niekoniecznie za treść – stawiana przez rabinów w Talmudzie innym modlącym się za wzór.

Śpiew, gra na instrumentach, taniec – domena kobiet – czyż nie przywodzą na myśl starożytnej rekonstrukcji bitwy? A jeśli pomyślimy w kategoriach bardziej współczesnych, powiedzmy: chasydzkich – czy to nie forma modlitwy? Po Pieśni Morza, śpiewanej przez „Mojżesza i Izraelitów razem z nim”, mamy jeszcze fragment, który już nie wszedł do codziennej liturgii (Wj 15, 20-21). Prorokini Miriam śpiewa, prowadząc wśród tańców grające na bębenkach kobiety. Rozbrzmiewają pierwsze takty znanego nam hymnu – Miriam jest więc co najmniej jego współautorką, jeśli nie autorką. Należy jednak wysunąć na pierwszy plan mężczyznę? Oj, Miriam, gorzkie (hebr. *mar*) dla ciebie jest to doświadczenie znad morza (hebr. *jam*). Czy „prorokini” to tytuł adekwatny w tym momencie? Może jedyny do zaakceptowania, bo uświęcony tradycją (Hulda, zob. 2 Krl 22, 14). Akolitat tak, kapłaństwo nie. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Podaj rękę



PRZEMÓWIŁ BÓG DO MOJŻESZA I AARONA: „Człowiek dotknięty trędą będzie nosił podarte ubranie, włosy będzie miał w nieładzie, zasłoni sobie brodę i będzie wołał: »Nieczysty! Nieczysty!«. Przez cały czas trwania tej choroby będzie nieczysty. Będzie mieszkał sam, za obozem”.

Trąd w znaczeniu biblijnym nie oznacza choroby Hansena, ale wszelkie zmiany pojawiające się zarówno na ludzkiej skórze, jak i na ubraniach czy ścianach pomieszczeń. O tym, jak te zmiany kwalifikować, decydowali kapłani, ale nie w celach medycznych. Chodziło o wykluczenie chorego ze społeczności ludzi zdrowych i zgromadzeń kultycznych. Ogłoszenie kogoś nieczystym nie oznaczało, że ten człowiek jest moralnie podejrzany. Prawo Starego Testamentu nie łączy choroby z grzechem, choć Księga Hioba zdaje się to sugerować. Takiemu powiązaniu sprzeciwia się również Chrystus. Znosi też obowiązek oddzielania chorych od zdrowych, rytualnie czystych od nieczystych.

Pewnego razu Jezus i apostołowie spotkali człowieka „niewidomego od urodzenia. Uczniowie zapytali Go: »Rabbi, kto popełnił grzech, że człowiek ten urodził się niewidomy: on sam czy jego rodzice?«. Jezus im odpowiedział: »Ani on nie zgrzeszył, ani jego rodzice, lecz stało się tak, aby w nim ukazały się dzieła Boże«”. Innym razem, kiedy do Jezusa podszedł „trędowaty, upadł na kolana i prosił: »Jeżeli chcesz, możesz mnie oczyścić«. Ulitował się, wyciągnął rękę, dotknął go i powiedział: »Chcę, bądź oczyszczony«. I natychmiast trąd ustąpił. Został oczyszczony”. Jezus dopuszcza do siebie człowieka, który nie miał prawa do Niego podejść, następnie go „dotyka”, i tym samym łamie Prawo.

W tym tygodniu rozpoczynamy Wielki Post. Do kościołów „na popiołek” ruszą tłumy. Niektórych pewnie oburzą zmiany w sposobie sprawowania tego obrzędu. Ale zamiast płonąć świętym gniewem, spróbujmy tę nowość potraktować jako zachętę do przyjrzenia się tym, których przez całe wieki, na mocy prawa kościelnego, uważaliśmy za na swój sposób nieczystych – i wyrzucaliśmy z Kościoła.

Pod koniec stycznia Franciszek mówił do sędziów Roty Rzymskiej: „Jak wytłumaczyć dzieciom, że – na przykład – ich matka, porzucona przez ojca i często niechętną nawiązać kolejnej więzi małżeńskiej, przyjmuje z nimi niedzielą Eucharystię, podczas gdy ojciec, pozostający w konkubinacie lub oczekujący na stwierdzenie nieważności małżeństwa, nie może przystąpić do stołu eucharystycznego?”

Często stwierdzenie nieważności małżeństwa jest postrzegane jako zimny akt prawny. Ale tak nie jest i tak nie może być. Wyrok sądu kościelnego nie może uchylić się od pamięci o blaskach i cieniach, które naznaczyły życie nie tylko obojga małżonków, ale także ich dzieci”. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Sens istnieje

*Uważna trzeźwość
jest składową
ciągłej modlitwy.
A modlitwa jest składową
uważnej trzeźwości
umysłu.*

HEZYCHIUSZ Z SYNAJU



*Poniżej siebie dusza,
gdy swego działania
i pragnienia nie kieruje
ku żadnemu celowi,
lecz czyni wszystko
bez rozwagi i uwagi.*

MAREK AURELIUSZ



Wybrał PIOTR SIKORA



OSTATNIO LITURGIA przyniosła nam Ewangelię o śmierci Jana Chrzciciela (Mk 6, 17-29). Już samo to sformułowanie „Ewangelia [Dobra Nowina] o śmierci Jana Chrzciciela” wydaje się trudne do akceptacji. A jeśli jeszcze pomyśleć o bezpośrednich przyczynach tego wydarzenia... „Największy spośród narodzonych z niewiasty” (por. Łk 7, 28) zostaje zabity wskutek przysięgi danej po pijanemu przez władcę uwiedzionego tańcem młodej dziewczyny, brutalnie zgorszonej przez własną matkę. Chce się krzyknąć: gdzie jest sens?

Sens pojawia się w dwóch kontekstach. Pierwszym, najbliższym (Mk 6, 14-16), jest pytanie o Jezusa. Kim On jest? Jedni mówią: „To Elias”; inni: „Prorok”, może nawet „któryś z dawnych proroków powstały z martwych”. Herod mówi: „To Jan!”. W każdym razie los Jana jest wpisany w pytanie o Jezusa. Mocno ufam, że tak samo jest z moim losem, i z losem każdego z Was. Nasze życie i śmierć tłumaczą się przez odniesienie do Jezusa. Z tego odniesienia czerpią swój sens. To Jezus – a nie Herod, tym bardziej nie Herodiada czy Salome – przez swoje życie i śmierć nadaje znaczenie naszemu życiu i umieraniu.

I kontekst drugi. W Markowym zapisie Ewangelii narracja o męczeństwie Jana umieszczona została między dwoma wydarzeniami, które stanowią dla niej ramy. Poprzedza ją fragment o rozesłaniu Dwunastu (Mk 6, 7-13): Jezus po raz pierwszy posyła swoich uczniów z misją ewange-

lizacyjną. Klamrę zamykającą stanowi opis powrotu uczniów z misji: „Apostołowie zebrali się u Jezusa i opowiedzieli Mu wszystko, co zdziałali i nauczali”. Misja okazała się skuteczna; apostołowie wracają z niej pełni radości i zdumienia. Owoce najwyraźniej przerosły ich oczekiwania.

Skąd się wzięły? Marek zdaje się sugerować odpowiedź: „Z zasiewu krwi Jana Chrzciciela!” – tak jak kilka chrześcijańskich pokoleń później objaśniał to Tertulian: „Krew męczenników jest zasiewem nowych chrześcijan”. Patrzymy na przedwczesną i wręcz bezsensowną śmierć Jana. Pytamy: co zostanie z podjętej przez niego misji? I przegapiamy najważniejszą paschalną regułę owocowania: ziarno, które obumiera, rodzi plon.

Ile sensu, i ile nadziei kryje się w tym kontekście! Ile także realistycznego (tzn. ewangelicznego) spojrzenia na własną pracę. Oto przynosi wielkie owoce – czy na pewno dlatego, że jesteś genialny i wyjątkowy; i że „potrafisz”? A może dlatego, że obok właśnie ktoś cierpi – może umiera – dla Chrystusa, i jego krew oddana z miłością owocuje w Twoim działaniu? I odwrotnie. Nic ci nie wychodzi? Przy całym swoim trudzie zostałeś sponiewierany – to znaczy, że nie było sensu się „szarpać”? „Próżno się trudziłeś, na darmo i na nic zużyłeś swe siły?” (por. Iz 49, 4). A może jednak twój trud i twoje odrzucenie nie są daremne? Może właśnie owocują inaczej i w innym miejscu.

Św. Janie Chrzcicielu, módl się za nami!

©

CZYTANIA LITURGICZNE (14 – 21 II)

6. niedziela zwykła: Kpł 13, 1-2. 45-46; Ps 32;
1 Kor 10, 31 – 11, 1; Mk 1, 40-45;
Poniedziałek: Rdz 4, 1-15. 25; Ps 50; Mk 8, 11-13;
Wtorek: Rdz 6, 5-8. 7, 1-5. 10; Ps 29; Mk 8, 14-21;
Środa Popielcowa: Jł 2, 12-18; Ps 51;
2 Kor 5, 20 – 6, 3; Mt 6, 1-6. 16-18;

Czwartek: Pwt 30, 15-20; Ps 1;
Łk 9, 22-25;
Piątek: Iz 58, 1-9a; Ps 51; Mt 9, 14-15;
Sobota: Iz 58, 9b-14; Ps 86; Łk 5, 27-32;
1. niedziela Wielkiego Postu: Rdz 9, 8-15; Ps 25;
1 P 3, 18-22; Mk 1, 12-15.

POLITYKA, CZYLI TO, CO REALNE

Liderzy opozycji, zamiast bezsilnie atakować PiS na konferencjach w Sejmie, powinni pokazywać, co robią jej ludzie u władzy na poziomie lokalnym.

Tam, gdzie nie brakuje działań łagodzących skutki pandemii.

JAROSŁAW FLIS

OCIEPLENIE KLIMATU PRZYNOSI NAM pogodę na sterydach. Zmiana nie polega na tym, że pogoda jest taka jak dawniej, jedynie trochę cieplejsza – nasilają się za to ekstremalne zjawiska. Jesteśmy tego świadkami także tej zimy. Podobnie dzieje się z przegrzaną polityką – w ostatnich tygodniach, czy nawet miesiącach, mieliśmy do czynienia z zamrożeniami i rozgorączkowaniem, przeplatającymi się wzajemnie skokami temperatury.

Kwintesencją tego jest sytuacja po publikacji werdyktu Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji. Panuje całkowite zamieszanie i brak jedności co do aktualnego stanu prawnego, społecznych realiów i dalszego działania. Dotyczy to zarówno obozu rządzącego, jak i opozycji. W tym pierwszym są tacy, którzy uważają, że odnieśli sukces, zamykając największą furtkę do legalnej aborcji. Są też tacy, którzy mówią, że werdykt otworzył drugą furtkę, w zasadzie tej samej wielkości. Jeszcze inni sądzą, że pierwsza furtka została tylko chwilowo zamknięta i w zasadzie trzeba by ją trochę uchylić. Nikt

nie wie, jak będzie wyglądała praktyka społeczna, i tym bardziej nie jest oczywiste, co ma robić w tej sprawie opozycja. Różnice dotyczą zarówno pożądanego stanu, jak i akceptowalnych dróg dojścia do niego.

W mediach pojawiają się za to diagnozy sugerujące, że cała ta sprawa jest przełomem, który zmieni realia społeczne czy polityczne w Polsce. Jeśli spojrzeć na wyniki sondaży, trudno dostrzec tutaj zmiany potwierdzające tę retorykę. Nic nie wskazuje, by liderki ogólnopolskiego Strajku Kobiet były w stanie stworzyć alternatywny ruch polityczny. Lewica, która utożsamia się z ich poglądami i podejściem, pomimo aktywności wcale nie poprawia notowań. Platforma, której przynajmniej część próbuje wpisać się w ten nurt, wyraźnie słabnie, zamiast rosnąć. Jeśli ktoś w ogóle rośnie, to partia Szymona Hołowni.

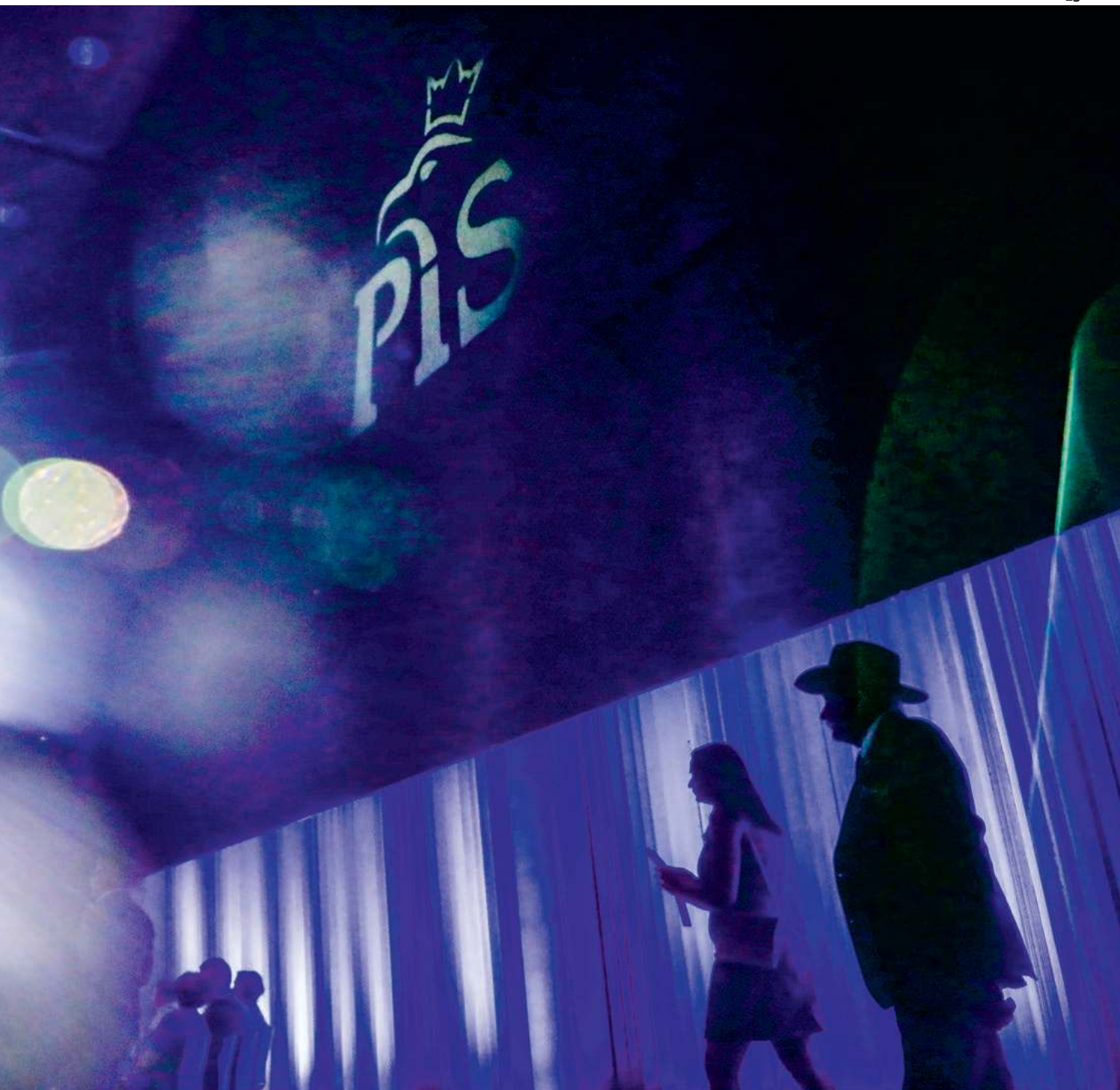
Rozluźnienie z Kościołem

Można to rozumieć tak, że zmiany w postawach społecznych wynikają raczej ze zmęczenia konfliktem. Liczni są prze-



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

ciwnicy wykreślania z menu rozwiązania kompromisowego i pozostawienia tylko dwóch radykalnych alternatyw – zaostrzenia ustawy i pełnej swobody aborcji. Niezależnie od konkretnych postulatów ograniczenia mniej lub bardziej formalnej pozycji Kościoła w Polsce, jakie zgłosił ostatnio Hołownia, jego sukcesy sondażowe wskazują, że ta grupa, która jest w stanie przechylić szalę wyniku wy-



„Myśląc Polska” – konwencja programowa Prawa i Sprawiedliwości. Międzynarodowe Centrum Kongresowe w Katowicach, lipiec 2019 r.

borów, opowiada się raczej za życzliwym rozluźnieniem więzi niż za dramatycznym zerwaniem.

Sceptyczne podejście do oczekiwań na przełom podpowiada także doświadczenie. Przełomów obwieszczanych przez zawodowych komentatorów przeżyliśmy w ubiegłych latach kilka, poczynając od katastrofy smoleńskiej, przez ACTA czy śmierć prezydenta Adamowicza. Być

może oczekiwania przełomu wynikają z potrzeb dziennikarzy i publicystów, którzy koniecznie chcą obwieścić coś dramatycznego. Dla wielu jest to też oczekiwanie na jeźdźca na białym koniu, który „zmieni reguły gry” – choć doświadczenie podpowiada, że reguły znacznie łatwiej zepsuć niż naprawić.

Kolejnym natrętnym motywem jest narzekanie na opozycję. Na to, że nie jest

w stanie, nawet w sytuacji wybuchu potężnych emocji społecznych, doprowadzić tu i teraz do radykalnej zmiany politycznej. Istotną rolę odgrywają uczestnicy życia publicznego, którzy przeżyli osobistą przemianę, porzucając niegdysiejszy konserwatyzm i przechodząc na pozycję zgoła przeciwną. Niewiele jednak wskazuje, by ogół społeczeństwa był równie skłonny do takich przemian.

→

→ Mieści się w tym również brak zrozumienia, że opozycja to ludzie reprezentujący szeroki wachlarz poglądów. Wielu komentatorów wołałoby, żeby został on zawężony (a do tego idealnie odpowiadał ich poglądom).

Narzekać na opozycję wynika również z braku cierpliwości. Z przekonania, że nic nie robi, aby powstrzymać PiS tu i teraz. Wszystkie takie apele składają przede wszystkim do nerwowych ruchów. W sytuacji, w której obóz rządzący zachowuje elementarną spójność, ma większość parlamentarną oraz prezydenta, brakuje możliwości powstrzymania go przed działaniami mieszczącymi się w zakresie kompetencji instytucji wyłanianych w wyborach; ich paraliż byłby naruszeniem demokratycznych standardów.

Teoretycznie możliwe są jakieś działania w ramach obyczajów parlamentarnych, ale stałe popędzanie prowadzi najczęściej do rozwiązań przeciwnie skutecznych. Najlepszym przykładem jest to, że każdy kryzys polityczny pojawiający się po stronie rządzących skutkuje tym, że PO składa wnioski o wotum nieufności, który natychmiast ponownie cementuje spójność obozu władzy, ułatwiając wyjście z kryzysu.

Gdzie opozycja naprawdę rządzi

Całe to rozgorączkowanie kontrastuje z zamrożeniem przez pandemię życia społecznego. Dziś jednak nie jest to już dobrowolny paraliż z wiosny, obecna sytuacja budzi znacznie więcej wątpliwości. Wiele indywidualnych i zbiorowych akcji próbuje złagodzić skutki nieszczęść i utrapień, które pandemia sprowadza na ludzi i społeczeństwo. Liderzy opozycji powinni pokazywać, co robią jej ludzie tam, gdzie znajdują się u władzy. A przecież na poziomie lokalnym, gdzie nie brakuje działań łagodzących skutki pandemii, opozycja ma kilkakrotnie większy udział we władzy niż partia rządząca.

Zakres rzeczywistych decyzji będących w rękach opozycji jest tam nieskończenie większy niż to, co mogą robić panowie Budka, Zandberg czy Kosiniak-Kamysz w kuluarach sejmowych – czyli konferencje prasowe, obnażanie i piętnowanie. Każdy z wójtów może podejmować realne działania i wiemy, że np. przełamywanie wykluczenia cyfrowego uczniów przez bezpośrednie wsparcie jest prowadzone właśnie w mniejszych gmi-

nach – tam, gdzie możliwości działania społeczności są wbrew pozorom większe.

Sytuacja samorządów jest o tyle trudna, że zarówno sytuacja gospodarcza, jak i decyzje podejmowane w minionych latach przez rządzących mocno podważyły ich pozycję. Formalnie rzecz biorąc, rządzący podejmują kroki mające to rekompensować, ale na przykładzie podziału środków z drugiej transzy Rządowego Funduszu Inicjatyw Lokalnych widać, że kroki te są skrajnie skażone partyjniactwem i partykularyzmem. Nieliczne samorządy, w których u władzy są ludzie z obozu rządowego, otrzymują pomoc dziesięciokrotnie większą; gminy, w których zwyciężyli kandydaci opozycji parlamentarnej, są często z niej wykluczane.

Klientelizm, który nie jest bynajmniej wynalazkiem PiS, został teraz spotęgowany i jest równie bezczelny, jak zaprzeczenia ministrów Gowina czy Budy co do jego występowania. Jest to kolejne źródło napięć równie zbędnych, co szkodliwych. Wieloletnie badania polityki na wszystkich możliwych szczeblach pokazują, że takie faworyzowanie swoich jest źle odbierane przez kluczowych wyborców i przy kolejnym głosowaniu przynosi raczej szkody niż korzyści.

Widoczne są także podziały i brak zaufania wśród ogółu samorządowców: nawet jeśli większość wsparcia trafia do swoich, to przecież nie do wszystkich... Najważniejsze i podstawowe napięcie dotyczy jednak relacji rząd–samorządowcy. A chodzi o olbrzymią część klasy politycznej, rzesze aktywnych obywateli – czy to zajmujących stanowiska pochodzące z wyboru, czy pracujących jako urzędnicy. Stronniczość przy podziale środków uderza najmocniej właśnie w nich, obnażając hipokryzję PiS, dla którego nie liczy się ani ogół Polaków, ani nawet własny elektorat, tylko swój aparat.

Obóz rządzący wierzy, że nachalny przekaz publicznej telewizji jest w stanie zniwelować takie straty. Do tego dojsz ma jeszcze jedno narzędzie politycznej perswazji – zakupiona przez Orlen prasa regionalna. Jednak przy wszystkich nadziejach po stronie rządzących i obawach po stronie opozycji również do tego tematu trzeba podejść bez paniki.

Więcej tego samego

Cyniczna skuteczność nadużyć władzy opiera się zawsze na przekonaniu o jej trwałości. Ta zaś jest stale podważana na

wielu różnych frontach. Najlepszym przykładem następny kryzys, wywołany przez rządzących w Krajowej Radzie Sądowniczej: spór o założenie małej konfitury rozciąga wokół obozu władzy nieprzyjemne wonie. Kolejne kryzysy szczepionkowe też nie pasują do obrazu walki dobra ze złem, który próbowano stworzyć przy okazji pierwszego z nich – szczepienia celebrytów na Warszawskim Uniwersytecie Medycznym. Ujawnianie co chwilę przypadki posłów, starostów czy rodzin polityków partii rządzącej pokazują, że obrazek nie jest taki prosty.

Wydaje się, że istotna część polityków i aktywistów PiS żyje we własnej rzeczywistości, traktując serio przekaz TVP i codzienne kazania braci Karnowskich. Warto je śledzić, bo wydają się być obowiązującym wyznaniem wiary własnego obozu. Wedle nich rządzący to jedyni sprawiedliwi, którzy walczą z szerokim frontem wrogów wyjątkowo podłych, a na dodatek wyjątkowo głupich – zwłaszcza na tle prezesa, który potrafi ich zawsze ograć. Równocześnie wedle tego przekazu wrogowie są akurat na tyle inteligentni, by ograć każdego symetryście i zmienić go w pożytecznego idiotę, który osłabia obóz jedynego „dobra”.

Realia są jednak takie, że w ciągu ostatnich 15 miesięcy rząd stracił jedną trzecią wyborców. Średnia ostatnich sondaży jest o 15 punktów procentowych niższa od tych sprzed ostatnich wyborów parlamentarnych. Obóz rządzący stracił przy tym nie tylko wyborców, ale i przekonanie, co robić dalej. Ma oczywiście dwie stałe i proste wskazówki, które mogą zwalniać z niepokoju o przyszłość, a nawet z myślenia. Po pierwsze: robimy to, co do tej pory, bo przecież wyborcy wcześniej nas za to nagrodzili – choć sytuacja cały czas się zmienia, a wyborcy bardzo rzadko nagradzają dwa razy za to samo. Wskazówka druga: robimy to, czego chce prezes, bo dalej ufamy temu, kto wie lepiej.

Tyle tylko, że akurat w minionym roku prezes zaliczył pasmo porażek. Najnowszym przypadkiem – co nie znaczy, że ostatnim – jest sprawa aborcji. Problem nie został wcale przecięty ostatnim werdyktem Trybunału, pozostaje krwawiącą raną – nie tylko w społeczeństwie, ale i w samym obozie rządzącym. A inne porażki? Choćby „piątka dla zwierząt”, która miała być *wunderwaffe* służącą pozyskaniu młodych wyborców.

Zagubieni w kuluarach

Wszystkie te sprawy podważyły wiarygodność rządu w czasach, w których bez tego i tak miałyby wiele problemów. Widać je nawet w kraju tak nieskorym do niekontrolowanych wybuchów emocji, jak Holandia. A przecież miniony rok to też seria chaotycznych obostrzeń i polużeń podejmowanych w walce z pandemią. W takiej sytuacji wszystkie przegrane konflikty, te stare i te nowe, stanowią dodatkowe brzemienie dla polskiego państwa. Spalone mosty utrudniają budowanie porozumień i wychwytywanie nieuchronnych błędów.

Klimat zmienia się także w sprawach międzynarodowych. Unia Europejska ma nowe problemy, związane z pandemią i szczepieniami, ale w ostatnich tygodniach ubył jej dwa stare. Nic nie wskazuje na to, aby brexit okazał się sukcesem zachęcającym potencjalnych naśladowców Wielkiej Brytanii. Podobnie z Trumpem – jego prezydentura zakończyła się nie tylko porażką, ale i żenującym widowiskiem na Kapitolu. A brytyjscy konserwatyści i Donald Trump należeli do grona najpotężniejszych sojuszników PiS.

Opowieści o tworzeniu alternatywy względem unijnych trendów mogłyby być punktem wyjścia do dyskusji, gdyby nie to, że znów są całkowicie oderwane od realiów. Jedyną partią wchodzącą w skład krajowego rządu, która w Parlamencie Europejskim zasiada w tym samym klubie co PiS, jest średniej wielkości partia z Łotwy. Reszta tej frakcji to marginalne w swoich krajach ugrupowania opozycyjne – trudno z takimi partnerami budować jakąkolwiek przyszłość. Można co najwyżej występować jako pionek Orbána. Lecz i tu zaszła zmiana, bo zjednoczona węgierska opozycja zrównała się w sondażach z Fideszem i pod znakiem zapytania staje nie tylko jego dalsza hegemonia, ale nawet utrzymanie się u władzy po wyborach, które o rok poprzeczają nasze.

Przekonanie polskiego obozu władzy, że jakoś to będzie, utwierdzają wyniki krajowych sondaży, gdyż podziały opozycyjne sprawiają, że PiS ciągle jest na czele – nawet jeśli od poparcia, które dawałoby szansę na samodzielne rządy, dzieli je w tym momencie sporo punktów procentowych. Ponieważ jednak chętnych do współrządzenia z Jarosławem Kaczyńskim nie widać, oznacza to tyle, że gdyby

Najważniejsze dziś napięcie dotyczy relacji rząd–samorządowcy.

A chodzi o rzesze aktywnych obywateli. Stronniczość przy podziale środków uderza najmocniej właśnie w nich, obnażając hipokryzję PiS, dla którego nie liczy się ogół Polaków tylko własny aparat.

wybory odbyły się w najbliższą niedzielę, straciłby władzę.

Takie sondaże, podobnie jak nasz umiarkowanie nagradzający jedność system wyborczy, sprawiają, że opozycja nie odczuwa presji na zjednoczenie takiej jak węgierska i może zająć się wewnętrznymi podchodami. Hołownia zabiega o swój klub parlamentarny, choć wiadomo – sądząc po Petru, Kukizie czy Palikocie – że w parlamentarnych kuluarach łatwiej się zagubić niż rozwinąć skrzydła. Wypada mieć nadzieję, że ma inne pomysły niż ściąganie do swojej partii drugoczy trzecioplanowych postaci z klubów opozycyjnych, z czego nie wynika nic poza zwiększeniem napięć w relacjach z potencjalnymi partnerami. Te zaś i tak narastają, gdy Lewica licytuje się ze Strajkiem Kobiet na ideową jednoznaczność. Wszyscy chcieliby oskubać PO, gdy ta próbuje ustalić wewnętrzny układ sił.

Spór o strategię, gdy poszczególne nurty opozycji różnią się stawianymi sobie celami, jest nieunikniony. Ale spory o taktykę przypominają dzielenie skóry na niedźwiedziu. Tak duża liczba opozycyjnych podmiotów o rozchwianej tożsamości sprawia, że nie da się prowadzić racjonalnej gry ze skrzydłami albo w dobrego i złego gline.

Być jak oni!

Jarosław Kaczyński swoimi błędami i agresywną taktyką konsekwentnie

osłabił stronnictwo opiekuńczego konserwatyzmu. To jednak nie jest największe brzemienie, jakie zrzucił na barki polskiej polityki. Gorzej, że u swoich przeciwników zaszczerpił marzenie, by zostać kimś takim jak on. Wszechmocnym, zdolnym do każdego manewru, mogącym robić, co się chce. A to zgubne złudzenie.

Po pierwsze, władza Kaczyńskiego jest mocno przereklamowana. Można wymienić wiele spraw, których w ciągu minionych pięciu lat nie tylko nie rozwiązał, ale nawet nie tknął. Te zaś, które tknął, są raczej rozgrzebane niż rozwiązane. Jedyne, co mu rzeczywiście wychodzi, to destrukcyjne rozróby.

Widać, że swoboda decyzji i brak potrzeby konsultacji – skutkujące niezdolnością do realnego uzgodnienia stanowiska z innymi – są czymś, co nie przybliża do realnej, pozytywnej zmiany społecznej. Obiecuje wyjątkowe zyski, lecz częściej prowadzi do strat. Potwierdzają to wyniki badań prowadzonych przez socjologa Ireneusza Sadowskiego w podlaskich gminach – niepodważalne polityczne przywództwo zwiększa ryzyko porażki całej politycznej wspólnoty. Nawet jeśli zagorzali aktywiści i wyborcy, żyjący w swoich bańkach informacyjnych, tak wyobrażają sobie szczęście – że gdy wygramy, to zrobimy wszystko, a nawet gdy przegrywamy, to nie rezygnujemy z niczego – prawdziwa polityka wymaga ustaleń, co jest realne.

Być może najważniejszym polem dla opozycji byłoby obecnie zacieśnienie kontaktu pomiędzy liderami parlamentarnymi a tymi, którzy na co dzień mają doświadczenie w rządzeniu w swoich miastach, powiatach i gminach. Oni choć raz zdołali potwierdzić swoje zdolności, utrzymując się przy władzy w kolejnej kadencji. Dzięki temu możliwe byłoby lepsze zrozumienie sztuki, jaką jest wybór z dostępnych możliwości jak największej puli spraw możliwych do pogodzenia. Decyzja, o co warto zabiegać, a co trzeba odpuścić. Jak nie mnożyć sobie wrogów ponad potrzebę, ale jednocześnie podejmować takie działania, dzięki którym ludzie poczują, że warto udzielić im poparcia.

Pozostało 30 miesięcy do kolejnych wyborów. To na pewno jest jakiś program, który dałoby się w tym czasie zrealizować.

© JAROSŁAW FLIS



Kraków, listopad 2020 r.

Wdepnij w ten pedał

MAREK RABIJ

Na hali mróz aż włazi pod paznokcie. Założony rankiem pampers musi wystarczyć na kilkanaście godzin pracy. Oto rzeczywistość „etycznej mody” w polskich szwalniach.

ZZA SIATKOWEGO OGRODZENIA w oknach widać jedynie paski wiszących pod sufitem jarzeniówek, które wypełniają halę zimnym światłem. Zawinięte w szaliki, skulone od mrozu sylwetki kolejnych kobiet szybko znikają w drzwiach budynku, mijając bez słowa dwie koleżanki, które opodal wejścia dopalają nerwowo papierosa. Za czternaście minut wybijie szósta i szwalnię wypełni miarowy stukot maszyn do szycia.

Maria szczerze nie znosi ostatnich spokojnych chwil przed rozpoczęciem pracy. – Jest jak u dentysty, człowiek wie, że za chwilę będzie bolało, ale wiadomo, że jeśli się wyjdzie, to będzie tylko gorzej. Wieczorem po pracy ręce mi się trzęsą. Palce robią się zeszytyniałe, jak od trzymania lodu. W przedramię łapią skurcze. Lekarka powiedziała, że organizm tak odre-

agowuje i że to od siedzenia przez wiele godzin w tej samej pozycji i tych samych ruchów. Plus stres, bo zmianowe drażnią za byle drobiazg.

Gdy o siódmej rano 71-letnia mama Marii wejdzie do sypialni wnuczki, żeby zbudzić ją i odprowadzić do szkoły, siedząca od godziny przy maszynie kobieta będzie miała za sobą pierwsze 530 mankietów doszytych do koszul, które właśnie powstają w szwalni na parterze szarego biurowca z lat 70. w jednej z podłózkowych miejscowości.

530 mankietów w godzinę. Prawie dzień na minutę. Niespełna siedem sekund na jeden. Dobrze, że mięśnie i ścięgna z czasem zapamiętują ruchy i ciało zmienia się w maszynę, która powtarza w kółko tę samą czynność nie angażując do tego świadomości.

Tę porę dnia Maria lubi teraz najbardziej. Nie dokucza już senność, plecy nie palą jeszcze ze zmęczenia, przez okno zaczyna wpadać więcej światła słonecznego. Punktualnie o dziesiątej zmianowa da sygnał do piętnastominutowej przerwy, którą niemal wszystkie szwaczki wykorzystają skrupulatnie na pielgrzymkę do toalety. Kolejna, o 13.30, będzie półgodzinną przerwą na posiłek. Zimą dobrze mieć w termosie herbatę lub zupę. Dwie kuchenki w kącie socjalnym dokonały żywota jedna po drugiej i od tej pory jest tam tylko czajnik elektryczny. Po drugiej stronie ulicy działa bar, ale za plus minus dwa tysiące złotych miesięcznie trudno stołować się poza domem.

O 14.45 zmiana formalnie dobiega końca, ale do domu idą tylko pracownice, które wyrobiły limit. – Tylko że w zasadzie nie da się go zrobić w godzinach pracy – zauważa Maria. – W pierwszym roku pracy miałam prawie dwieście nadgodzin. Mieli nam za to zapłacić pod koniec roku, ale oczywiście nie zapłacili. Szef wiecznie czeka na jakieś spóźnione przelew.

„To się proszę zwolnić”

W polskim przemyśle odzieżowym – zwłaszcza w jego najmniej dochodowej części, jaką jest obecnie produkcja – wiele spraw wciąż załatwia się bez faktur, umów czy potwierdzeń przelewu. W sposób niemożliwy do udokumentowania. Dowodem nie do podważenia mogłyby być relacje personelu, który bywa bezpośrednim świadkiem nieprawidłowości i niemal zawsze pada ich ofiarą. Z tego ostatniego powodu większość szwaczek woli jednak nie opowiadać pod nazwiskiem o tym, co spotyka je w pracy.

Krakowska fundacja Kupuj Odpowiedzialnie w ubiegłym roku uruchomiła infolinię dla szwaczek zatrudnionych w polskich zakładach. Jak podkreśla Grażyna Latos, która prowadziła ten projekt, udało się w ten sposób porozmawiać jedynie z 22 pracownicami z różnych części Polski i z różnym stażem pracy. Obraz wyłaniający się z tej ankiety trudno zatem uznać za reprezentatywny dla sytuacji całej branży. – Uderzające było jednak podobieństwo tych opowieści – wspomina. – Każda pani opisywała w gruncie rzeczy to samo miejsce pracy: bez dostatecznego ogrzewania, a czasem w ogóle nieogrzewane, pozbawione odpowiedniej

wentylacji i zaplecza sanitarnego, często gdzieś w piwnicy lub w starym biurowcu. Z pracodawcą-właścicielem, który płaci najniższą możliwą stawkę, wyciska z personelu jak największą wydajność i oszczędza na wszystkim poza monitoringiem, który pozwala kontrolować mu ludzi. W niektórych opowieściach mowa była o zamykaniu hal z pracownikami w środku na całą noc, spuszczeniu psów na zewnątrz, przekupywaniu kontrolerów. Nie wiem, czy tak wygląda rzeczywistość w większości polskich szwalni, ale jeśli tak, to mamy poważny problem, którego nie chcemy zauważyć.

Liczba podmiotów, które wpisały do rejestru którąś z kategorii statystycznych związanych z produkcją odzieży, oscyluje w Polsce wokół 30 tys., wiadomo jednak, że zgłoszenie takiej działalności nie jest równoznaczne z jej podjęciem. Obraz branży bliższy rzeczywistości zakreślił w kwietniu 2020 r. prezydent Andrzej Duda ogłaszając kolejny narodowy program – tym razem szycia maseczek. Chęć dołączenia do samej inicjatywy, jak podkreślała z urzędowym wzruszeniem ówczesna wicepremier Jadwiga Emilewicz, wyraziło aż 800 właścicieli szwalni. Biorąc pod uwagę paraliż, jaki wiosną dotknął przemysł modowy na całym świecie, można z dużą dozą prawdopodobieństwa założyć, że do kolejki po rządowe zlecenia na maseczki ustawili się wówczas praktycznie wszyscy właściciele polskich szwalni. A jeśli bardzo ostrożnie przyjąć, że przeciętny taki zakład zatrudnia w Polsce 50 osób, otrzymamy armię 40 tys. szwaczek, szwaczy, krojczych i prasowaczy, których losem i warunkami pracy nie interesuje się oczywiście nikt – bo mało kto w ogóle zdaje sobie sprawę z tego, że w Polsce może jeszcze funkcjonować przemysł kojarzony głównie ze słabo rozwiniętymi krajami globalnego Południa.

Tyle o podaży. A co z popytem?

„Z dumą szycemy w Polsce”

– Już rozpoznajemy, kiedy do szwalni mają przyjechać klienci. Od rana jest wariactwo, prezes czepia się każdej nitki na ziemi, a już w sprawie rozmów z gośćmi to dostaje świra. Generalnie zasada jest taka, że się mamy nie odzywać, a jak klient będzie chciał o coś spytać szwaczek, to on zawoła dziewczyny, które już mu się sprawdziły w tej roli wcześniej.

W szwalni w okolicach Jarosławia Katarzyna pracuje dwa i pół roku. Wizyty kontrahentów zdarzają się co kilka tygodni. – I w tym cyrku, który robi szef, najśmieszniejsze jest to, że gościom jeszcze nigdy nie przyszło do głowy, żeby zapytać nas o cokolwiek, a zwłaszcza o zarobki. Jeśli wchodzi na ogół na halę produkcyjną, to po to, żeby np. zobaczyć stan maszyn albo skontrolować ścięgi.

W zeszłym roku przez moment wydawało się, że coś ulegnie zmianie. Lockdown odciał nagle polskie firmy od szwalni w Chinach i w Bangladeszu. Niestety, objął też centra handlowe, sprzedaż ubrań gwałtownie się załamała i producenci wstrzymali nawet już złożone zlecenia. – Dopiero gdzieś pod koniec czerwca coś się ruszyło – mówi Katarzyna. – Oczywiście nie zarobki. Dalej mam płacą minimalną krajową.

Tymczasem – jeśli wierzyć branżowym magazynom, internetowym influencerkom czy speccom od prognozowania trendów konsumenckich – krajowe szwalnie powinny przeżywać dosłownie obłęd. Pandemia miała wszak zmienić postrzeganie roli konsumpcji w życiu milionów Polaków, zwłaszcza stosunek do zakupu odzieży. Ponoć już nie więcej, lecz mniej – za to w dobrej jakości, żeby nie rozpadło się po sezonie noszenia. No i uszyte nie na drugim krańcu świata, z poszanowaniem praw pracowników i ze zrozumieniem dla ich potrzeb bytowych, z którymi muszą nadążać zarobki. Wszystko to musi rzecz jasna kosztować znacznie więcej niż szybka moda prosto z Bangladeszu.

Praca nad utożsamieniem wysokich cen szytej w Polsce odzieży z zarobkami polskich szwaczek trwa od kilku lat. Katalizatorem tej zmiany wiosną 2013 r. było zawalenie się budynku Rana Plaza na przedmieściach stolicy Bangladeszu, w którym mieściło się kilka fabryk odzieży (w tym obsługujące polską firmę LPP). Po katastrofie, w której oficjalnie śmierć poniosło ponad 1,1 tys. osób, świat na chwilę dostrzegł skalę nieszczęść związanych ze zglobalizowanym łańcuchem produkcji i dostaw odzieży. Alternatywą dla całego zła sieciówek miała stać się moda etyczna, tworzona lokalnie. Tego przynajmniej dowiadują się klienci odwiedzający sklepy internetowe wielu rodzimych producentów.

– Wysokie koszty produkcji, które tak chętnie podkreślają właściciele marek

szyjących w Polsce, wynikają zazwyczaj z niewielkiego wolumenu zamówień. Łączenie ich z zarobkami szwaczek uważam, delikatnie mówiąc, za nieporozumienie – podkreśla Anna Tober, właścicielka niewielkiej marki odzieżowej Volna. – W większości szwalni, z którymi miałam do czynienia, panie zarabiają pensję minimalną bez względu na to, czy szyją ubrania, które w sklepie kosztują 30 zł, czy takie po 300 zł. Nie słyszałam również o tym, żeby szwaczki dostały od pracodawcy premię za pracę dla marki, która przedstawia się klientom jako etyczna i dba o wysokość wynagrodzeń. Widywałam za to na liniach produkcyjnych zakładów pracujących dla dużych sieciówek produkty firm, które zapewniają konsumentów, że produkują wyłącznie w swoich szwalniach. Moje ubrania powstają w zakładzie w Warszawie, który nie jest najtańszy, ale wiem, że wszystkie panie są ubezpieczone w ZUS.

Najprostszy T-shirt w kolekcji Volna kosztuje 119 zł. Koszt uszycia wynosi obecnie 15 zł za sztukę, a licząc wraz z kosztami materiału około 27 zł netto. – Z reszty muszę opłacić ZUS, witrę sklepu, księgowość, koszty marketingu i reklamy, ale także koszty przygotowania kolekcji. Opracowanie jednego modelu do kolekcji kosztuje mnie średnio 800 zł – dodaje Anna Tober. – Większość ubrań zamawiam w szwalni najwyżej w 50-60 egzemplarzach. Gdyby było ich dziesięć razy więcej, koszty rozkładałyby się na więcej sprzedanych sztuk i mogłabym obniżyć cenę lub zarabiać więcej.

Anna systematycznie odwiedza fora dyskusyjne i grupy dla właścicieli niszowych marek szyjących w Polsce. – Ludzie ostrzegają się tam przed nieuczciwymi właścicielami szwalni, którzy nie dostarczają towaru na czas lub oszukują na materiale – opowiada. – Nie mogę sobie przypomnieć choćby jednej rozmowy, która dotyczyłaby godziwego wynagradzania szwaczek lub warunków ich pracy.

Pampers na zmianę

Dr Marta Karwacka, specjalistka od etyki biznesu odzieżowego: – Produkcja „made in Poland” stała się dla klientów swego rodzaju gwarantem jakości. W ten sposób odcinamy się od chińskich i indyjskich fabryk, które przez lata miały złą prasę. Dużo uwagi poświęca się też ekologii, ale kwestie warunków pracy i wysokości zarobków już się przemilcza. ➔

→ Pojawia się pytanie, czy jest tak dobrze, że nie ma o czym mówić, czy może producenci czują, że klientów to nie obchodzi?

Przeworsk. Grudzień 2018 r. Sto pięćdziesiąt szwaczek pracujących dla zakładu szyjącego garnitury dla jednej z największych i najstarszych polskich marek odzieżowych, Vistuli, wszczyna strajk przeciwko warunkom pracy. Wiele z nich siada do pracy w pampersach, bo zmianowi nie pozwalają iść do toalety, kiedy się zachce. „Wdepnij w ten peda!” – krzyczą do kobiet. Latem temperatura w hali sięga 40 stopni, ale na stanowiskach nie można mieć nic do picia, bo droga tkanina używana do produkcji garniturów źle znosi kontakt z wodą. Właściciel zwalnia dyscyplinarnie trzy kobiety. Strajk gaśnie, ale wyrzucone szwaczki idą do sądu i wygrywają przywrócenie do pracy. O sprawie robi się głośno w branżowych mediach. – O ile mi wiadomo, tamta szwalnia nadal pracuje dla Vistuli – komentuje Grażyna Latos.

Opowiada Elżbieta: – W szwalni, w której pracowałam prawie 11 lat, formalnie byłam księgową, ale gdy szefowa dostała kontrakt do zrobienia „na wczoraj”, wszystkie dziewczyny z biura musiały przejść na halę produkcyjną. Mnie zazwyczaj odsyłano do odcinania nitek z gotowych ubrań. Praca na hali nie była oczywiście dodatkowo płatna. Dla szefowej było też oczywiste, że pracując przy wykąnczaniu ubrań będę jednocześnie na bieżąco z dokumentami. Zdarzało się więc, że tkwiłam w pracy po 17-18 godzin na dobę, najpierw z nożyczkami, a potem, w nocy, nad papierami. Zimą, kiedy u nas na Podlasiu temperatura spada czasem do minus dwudziestu, szefowa nie włączała ogrzewania. Pracowałyśmy w kurtkach i w czapkach.

W szwalni Elżbiety produkowano krótkie serie odzieży dla znanej polskiej marki dziecięcej, która podkreśla troskę o środowisko i warunki pracy. – Nie widziałam, żeby przedstawiciele tej marki choć raz weszli na halę.

© P MAREK RABIJ

Zapraszamy osoby pracujące w polskich szwalniach do kontaktu. Wystłuchamy Was, gwarantując pełną anonimowość. Piszcie na adres: rabij@tygodnik.com.pl lub na adres redakcji podany w stopce.

Psychiatria bez kłódki

RYSZARD IZDEBSKI, PSYCHOLOG:

Marzą mi się „terapeuci bez biurek”, którzy wchodzą do czyjegoś domowego systemu, żeby go skorygować poprzez współpracę z rodziną, a nie wydawanie jej rozkazów.

ANNA KIEDRZYNEK: Wyciągać dzieci z zamkniętych oddziałów psychiatrycznych i umożliwiać im leczenie w ich własnym domu, wśród bliskich – to idea psychiatrii środowiskowej, którą zajmuje się Pan od lat 80.

RYSZARD IZDEBSKI: W tamtym czasie dziecięce szpitale psychiatryczne wyglądały dramatycznie, o wiele gorzej niż obecnie. To były opresyjne getta, instytucje totalne o wojskowym charakterze. Nawet język używany przez personel przypominał żargon militarny: pielęgniarki w nocy „trzymały wartę”, a koleżankom z następnej zmiany „zdawały raporty” z tego, jak przebiegała w nocy ich służba. W szpitalu w Koberzynie przebywało wówczas 70 małych pacjentów, z których większość w ogóle nie powinna się w tym miejscu znajdować. Część mogła zostać wypisana do domu, a pozostali to były przypadki kwalifikujące się do długoterminowej opieki instytucjonalnej, np. w domu pomocy społecznej albo zakładzie opiekuńczo-leczniczym. Tymczasem wszystkie te dzieci, o zróżnicowanych rozpoznaniach i stopniu samodzielności, stłoczone były na oddziale. Marzyłem wtedy, by pomagać nowym pacjentom obejść szpital bokiem, czyli nie dopuszczać do tego, aby młody człowiek w ogóle się tam znalazł. Szpital oznacza leki i łóżko, a przecież i jedno, i drugie dziecko może mieć w domu.

Wtedy to był pomysł z zupełnie innego świata.

Wzorze czerpaliśmy m.in. z modelu włoskiego. To właśnie tam od lat 70. trwała rewolucja: zamykano wszystkie szpitale psychiatryczne i zastępowano je opieką środowiskową. Tutaj na miejscu, w Krakowie, też mieliśmy swoje inspiracje, z działalnością Antoniego Kępiń-

skiego na czele. Jednak w Polsce nikt nie myślał wtedy o rozszerzaniu podobnych eksperymentów na cały kraj. To rzeczywiście wydawałoby się egzotyczne.

Na początku trudno było Panu przekonać do tego pomysłu nawet własnych kolegów i koleżanki po fachu. Dlaczego?

Praca w szpitalu była dla specjalistów silną pokusą. Lekarz lub terapeuta w szpitalu są na szczycie instytucjonalnej hierarchii i działają według ściśle określonych procedur. Ich autorytet jest niewątpliwy i niemal nienaruszalny. Terapeuta chodzący po domach kojarzył się z pracą organiczną, idealistycznym społecznikiem, ubłoconymi butami.

Do tego w opiece środowiskowej, a konkretnie w modelu mobilnym, następuje odwrócenie struktury władzy. To rodzina pacjenta zaprasza terapeuta do swojego domu, a on wchodzi do niego jako gość, pozbawiony profesjonalnego sztafażu: wielkiego biurka z piętrzącą się na nim górą papierów oraz białego kitla – jeśli mówimy o psychiatrze. Kiedy wchodzimy do czyjegoś domu jako goście, rezygnujemy z dyscyplinowania i nakazywania. Jedynym narzędziem wpływu pozostaje rozmowa. Wydaje się, że to niewiele, jednak rozmowa może mieć potężną siłę oddziaływania i prawdziwie leczący charakter. Oczywiście pod warunkiem, że jest odpowiednio prowadzona. Trzeba też sobie uświadomić, jak trudnym miejscem może być rodzina.

Dziś to oczywiste.

Wtedy takie nie było nawet dla nas, terapeutów. Oczywiście mieliśmy świadomość, że w domach naszych pacjentów występują różne problemy. Jednak rodzina to była jednocześnie ostoja niezależności od władzy komunistycznej.



RICHARD ROSS / ANZENBERGER / FORUM

Rodzina oraz Kościół – to były dwie najpotężniejsze antysystemowe instytucje. Wydawało się, że całe zło mieści się poza nimi.

Później, gdy Polska zaczęła się otwierać i mogliśmy wreszcie zobaczyć statystyki na temat przemocy domowej, stało się jasne, że tkwiliśmy w ułudzie. Po 30 latach od tamtych przemian widzimy jeszcze wyraźniej, że rodziny mierzą się z potężnymi trudnościami, bywają niewydolne, nie radzą sobie. I sygnalizatorem tych problemów najczęściej jest dziecko, które nagle, ni stąd, ni zowąd, zaczyna zachowywać się zupełnie inaczej niż kiedyś. Staje się niegrzeczne, agresywne, nadpobudliwe, albo wycofane i ciche. Atakuje innych lub zaczyna się okaleczać. To bardzo często oznacza, że trzeba przyjrzeć się otoczeniu dziecka i systemowi, w którym ono funkcjonuje. Gdy równowaga w systemie zostaje zachwiana, to tak jakby w organizmie pojawiała się gorączka. Trzeba dojść do przyczyny, zlokalizować stan zapalny. Może nim być wszystko: od przyczyn oczywistych, takich jak rozwód rodziców czy przemoc fizyczna, po bardziej subtelne, mniej widoczne.

Interweniowaliście po próbach samobójczych u dzieci?

Jeżeli pacjent był w ostrym stanie i wymagał natychmiastowej pomocy, najczę-

ściej i tak trafiał do szpitala. W tym samym czasie w Krakowie powstał Ośrodek Interwencji Kryzysowej, założony przez nasze koleżanki z kliniki. Tam możliwe było otrzymanie pomocy w sytuacjach nagłych. My wkraczaliśmy dopiero wtedy, gdy opadał kurz. Kiedy dziecko wracało ze szpitala, umawialiśmy się z rodziną i przyjeżdżaliśmy do niej z wizytą, żeby porozmawiać o tym, co się stało, i zrozumieć okoliczności, które do tego doprowadziły.

Takie rozmowy prowadzi się bardzo łagodnie, nieinwazyjnie. Trzeba pytać, być ciekawym, stawiać hipotezy, ale też nie bać się obalania ich. Zrezygnowaliśmy z metod bezpośrednich, czyli porad albo treningów. Zamiast tego zadawaliśmy pytania: „co musiałoby się zdarzyć, żeby życie państwa rodziny potoczyło się lepiej?”; „czego się państwo po nas spodziewają?” itp. Jeśli problemem było to, że ojciec regularnie daje dziecku klapsy, pytaliśmy, skąd w ogóle wziął ten pomysł? I czy on zdaje sobie sprawę, że dziecko waży znacznie mniej od niego, więc gdyby on sam jako dorosły miał zostać uderzony w analogiczny sposób, to dostałby klapsa od olbrzyma? To były często naiwne pytania, które jednak pozwalały ludziom dostrzec to, co umykało im wcześniej. To jest właśnie ten leczący potencjał rozmowy.

Zróbmy teraz przeskok i spójrzmy na to, jak opieka środowiskowa nad pacjentami wygląda dzisiaj. Mamy fatalną sytuację psychiatrii dziecięcej i zapowiedzi rządu – w ramach planowanej reformy mają powstać poradnie psychoterapeutyczne, pojawił się też nowy zawód – terapeuta środowiskowy. Na papierze wygląda to sensownie. Jak będzie w praktyce?

Trudno mi to przewidzieć, mogę jednak zamiast tego powiedzieć, z czym mierzyłem się jako swoisty „komiwojażer psychoterapii”, próbujący budować w różnych miejscach inicjatywy podobne do zespołu mobilnego w Klinice Psychiatrii Dzieci i Młodzieży w Kobierzynie.

To znaczy?

Szedłem z tą ideą w różne miejsca, budowałem coś, szkoliłem ludzi, zarządzałem ich zainteresowaniem opieką pozaszpitalną. Tworzyliśmy wspólnie pojedyncze wysepki, utopie, które potem najczęściej tonęły, bo następował kataklizm: kończyły się środki finansowe albo samorząd zrywał współpracę. Wtedy zbierałem manatki i szedłem gdzie indziej. Gdy ktoś mi odmawiał, nie obrażałem się, próbowałem z innymi ludźmi. Żadna z tych inicjatyw, a było ich sporo, nie została wykorzystana na szerszą skalę.



→ Poda Pan przykłady takich utopii?

Dzisiaj dobrym przykładem jest gmina Wieliczka, gdzie świetnie sprawdza się pilotażowy program Środowiskowego Centrum Zdrowia Psychicznego dla dorosłych. Bliźniaczy eksperyment w wersji dla dzieci i młodzieży nie wypadł. Gmina po prostu go nie podjęła. Albo sanatorium w Rabce. Tam w 1999 r. razem z kolegami i koleżankami z kliniki pomagaliśmy w tworzeniu Oddziału Sanatoryjno-Rehabilitacyjnego z Psychoterapią. Leczyliśmy tam dzieci, które dochodziły do siebie po przebytych psychozach. Pomagał nam personel z oddziału leczenia gruźlicy.

I oni, w przeciwieństwie do psychiatrów, nie wiedzieli, że drzwi oddziału psychiatrycznego trzeba zamykać na cztery spusty, żeby pacjenci nie puciekali. Nie wiedzieli o tym, więc tego nie robili. Nikt nie uciekł ani nie zrobił sobie krzywdy. Zamykali oddział wyłącznie na noc, żeby nie wtargnął tam żaden intruz. Zupełnie nieświadomie wprowadzili w życie ideę „otwartych drzwi” w psychiatrii dziecięcej, o której marzyła nasza szefowa i nauczycielka, prof. Maria Orwid. W tej idei chodziło o to, żeby pozbawić szpital totalnego, alienującego charakteru. I to działało. Ale po trzech latach oddział w Rabce zamknięto z powodu braku pieniędzy. Jednocześnie powstał w innym miejscu w Polsce podobny oddział rehabilitacyjny dla dzieci z chorobami psychicznymi, tradycyjnie kierowany przez psychiatrów, którzy starym zwyczajem od samego początku zamykali drzwi szpitala na kłódkę.

W Kobierzynie udało się Panu i Pańskim współpracownikom pozostawić trwałe ślady. W szpitalu Babińskiego nie ma już oddziału stacjonarnego psychiatrii dziecięcej. Zamiast tego w Klinice Psychiatrii Dzieci i Młodzieży jest zespół leczenia domowego, oddział dzienny, ambulatorium terapii rodzin.

Antydepresanty jako forma leczenia schodzą coraz niżej,

aż do poziomu podstawówki.

Równolegle z tzw. falą, czyli nękaniami i poniżaniem, która z więzienia poprzez wojsko zeszła do szkół.

Prawdziwe uzdrowienie psychiatrii dziecięcej polegać powinno na tym, że takich zespołów leczenia środowiskowego powstanie w Polsce kilkadziesiąt, a nie kilka czy kilkanaście. W takiej utopijnej wizji oddziałów zamkniętych jest niewiele i trafiają tam wyłącznie pacjenci w stanach ostrych. Pozostali mają dostęp do terapii indywidualnej w poradni albo do terapii rodzinnej prowadzonej w środowisku. Terapeuci środowiskowi dostają sprawne samochody i jeżdżą po całym powiecie. Poznają pacjenta i jego rodzinę w inny sposób niż psycholog w gabinecie, bo już jadąc do niego, wchodzi w jego buty: widzą, co mijają w drodze do szkoły, jaki wysiłek pokonuje, jak wygląda jego otoczenie.

Marzą mi się „terapeuci bez biurów”, którzy wchodzi do czyjegoś domowego systemu, żeby go skorygować poprzez współpracę z rodziną, a nie wydawanie jej rozkazów. Jednak żeby taka opieka miała sens, ci terapeuci muszą mieć wsparcie w postaci superwizorów, z którymi będą mogli przegadać swoje metody pracy. I to jest do zrobienia, bo terapeuci są, mówiąc brutalnie, tani. Nie mówię przez to, że należy im słabo płacić, mam po prostu na myśli, że taki mobilny zespół generuje przecież mniejsze koszty niż budowa czy remont stacjonarnych oddziałów – a przynosi taką korzyść, że ten oddział w ogóle przestaje być w danej okolicy tak bardzo potrzebny.

O tym, że opieka środowiskowa działa, świadczy program pilotażowy reformy dla dorosłych – w miejscach, gdzie działają Centra Zdrowia Psychicznego, zmalała liczba hospitalizacji.

Biorę udział w tym eksperymencie jako superwizor w Środowiskowym Centrum Zdrowia Psychicznego w Wieliczce i ob-

serwuję jego efekty z zaciekawieniem i radością. Do Centrum przychodzą bardzo różni ludzie, także ci zamożni, których byłoby zapewne stać na prywatną psychoterapię. Każdy przypadek jest superwizowany, a terapeuci środowiskowi pracują w parach. Mamy też asystentów zdrowienia, czyli byłych pacjentów, którzy dziś czerpią z własnego doświadczenia kryzysu psychicznego i pełnią rolę terapeutyczną. Oni bardzo dobrze wiedzą, czym jest chorowanie, przebywanie w szpitalu, bronienie się przed przyjmowaniem leków. Ich wsparcie jest pacjentom Centrum bardzo potrzebne.

Dziś w mediach częściej można spotkać apele o to, żeby nie zamykać oddziałów szpitalnych dla dzieci i młodzieży. Bo efekt jest taki, że w działających szpitalach pacjenci leżą na korytarzach.

Nie mówię, że oddziałów zamkniętych nie powinno być w ogóle – jestem realistą i wiem, że one jeszcze długo nie znikną. Jednym z powodów jest wzrastająca liczba zaburzeń depresyjnych u dzieci. Antydepresanty jako forma leczenia schodzą coraz niżej, aż do poziomu podstawówki. Równolegle z tzw. falą, czyli nękaniami i poniżaniem, która z więzienia poprzez wojsko zeszła do liceów, stamtąd do gimnazjów, a potem do najmłodszych klas szkoły podstawowej. Dlatego absolutnie nie chciałbym deprecjonować tych specjalistów, którzy chcą pracować w szpitalach. Dzieci będą potrzebować także interwencji kryzysowej, opieki szpitalnej i leków. Ale to nie może być jedyna ani nawet podstawowa forma opieki. Nie ulegajmy złudzeniu, że tabletki rozwiążą problem. Zwłaszcza jeśli jego źródło tkwi także w rodzinie, która nie potrafi uporać się z wyzwaniami przychodzącymi z zewnątrz.

© Rozmawiała ANNA KIEDRZYNEK



GRAŻYNA MAKARA

RYSZARD IZDEBSKI jest psychologiem klinicznym, pedagogiem i superwizorem zespołu

w Środowiskowym Centrum Zdrowia Psychicznego w Wieliczce. Kierował Zespołem Hospitalizacji Domowej dla Dzieci i Młodzieży przy Klinice Psychiatrii Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie.



RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia

Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.

Stuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

DOROTA

Masłowska:

Zagubieni



W 175 PRZYSIADA SIĘ DO MNIE PEWIEŃ bardzo duży facet. To jedna z tych moich teraz wycieczek; nie ma dokąd iść, więc idę donikąd. Zażyć życia i ludzi. Ścisłej mówiąc: jadę tam autobusem; być może jest to największa osoba, którą widziałam w życiu; jego lśniąca czaszkę chaotycznie porastają przerzedzone włosy, kłaki ciernistych krzewów. Człowiek ten szybko przełamuje właściwy miejscom publicznym podział na ludzi znanych sobie i obcych – powiedzmy tu szybko: fałszywy i siłowy – zaczynając do mnie dużo mówić. Do mnie czy do siebie – to też mnożenie podziałów; „Straszne miałem te ostatnie dwa lata” – mówi gorzko, gniewnie. Jego włosy są jak potarmoszona i zdefasonowana korona cierniowa, której nie zdejmuje do snu.

„Ja też miałam zły rok” – odpowiedziałam, bo w sumie spodobała mi się swobodna atmosfera konfesji, jaką wprowadził w naszej części autobusu. Szczerść za szczerść; może się nie znamy, ale tym bardziej nie musimy się bajerować grzecznościowo, że wszystko jest różowo. „Problemy z rodziną” – doprecyzował. „U ciebie też problemy z rodziną?”. Szybkie przejście na ty skłania do jeszcze większej otwartości, więc wykonuję gest rozmyty, coś w rodzaju pół tak, pół nie, by wyrazić, że jest to prawda, ale i zarazem nieprawda, co jest akurat najszczerzą prawdą. „Z rodziną!” – wzdycha wielki człowiek tonem „a z kimże by innym?”. „Z rodziną najlepiej na zdjęciu, kurwa. Zdrowie przez nich straciłem, mnie zrujnowali”. To mówiąc, wyjmuję czekoladę z nadzieniem miętowym. Zamyślony pałaszuje ją niczym pajdę chleba, między kolejnymi hapsami przywołując wielokrotnie słowo oznaczające prostytutkę, nierządnicę, kobietę złego prowadzenia. Myślę nad jego strapieniami i moimi, oto spotykają się one na moment w autobusie 175; siedzimy tak w nim zadumani nad ogromem cierpienia, w które obfituje życie. Absurd wcale nie umniejsza doniosłości tej chwili wspólnego bólu i tragicznych prób uśmierzenia go choćby i niedrogą czekoladą.

Wysiadła, a ja dalej jadę nigdzie. To jedna z tych moich pandemicznych wypraw, kiedy przytłoczona podobnymi do siebie dniami jadę do miasta, tak żeby się zgubić. Przypomniało mi się, że kiedyś całymi latami nie potrafiłam wyjść tu z dworca. Przyjeżdżając, za każdym razem spędzałam kilka kwadransów kręcąc się po jego antylogicznych, poplątanych podziemiach i nie mogąc znaleźć drogi na powierzchnię. Ciemne granitowe korytarze pełne wszystkiego; z łatwością potrafię w sobie odnaleźć ten stan duszy; mam go w folderze Dworzec Centralny 2000. To takie pogranicze samotności, płaczu i ekscytacji zagubieniem w labiryncie, który nawet okiem nie mrugnę, że jest z niego jakiegoś wyjście. Zapętlone w nieskończoność sklepiki z kabaretkami i tanimi DVD, petardami, zdejmowanie simlocków, sex-shopy, kafejki inter-

netowe pełne zombie i różnych zboków, automaty, osoby pod wpływem heroiny, ich żelatynowe ciała spływające po ścianach, smród energetyków i spalonego sera z zapiekaneek. Którymi schodami nie próbowałam wyjść, tam ukazywała się moim oczom ulica kompletnie nie ta, którą sobie wyantycypowałam. I ciągle czuję, że mimo remontów, liftingów i ambitnych prób oznakowania go, Centralny zachował tę niezwykłą właściwość: powitalnego gubienia w sobie osób przybywających do Warszawy. Przyjeżdżasz i od razu się gubisz, a potem się zobaczysz.

Zresztą, może to błędzenie jest tutejszym surogatem bezkresu, erzacem przestąpienia. Niebo od rana pokryte warstwą chmur burą i nieprzepuszczalną, tak że wygląda jak mokry karton, nicłość; kamienice jakby nagrane na green screenie i wklejone nigdzie. Gubienie się, zgrzebna rozrywka osób, które nie pojechały na Zanzibar. W jakimś błędnym pożądaniu odmiany wyjść z domu i iść gdzieś bez sensu albo pojechać tramwajem do pętli i wracać kilka godzin. Morsować w nicości, pustce. Mijać rzędy mieszkań pełnych pierdół z Castoramy i szaf Komandor; półczynne restauracje z jedną kelnerką rozwaloną ze smartfonem na krześle. Światła, rameny, lampki, kebaby, cmentarze. Iść i iść, nie zauważyć, jak gęstnieje tłum i smród rac, bałagan zatrzymanych tramwajów, postawionych w poprzek ulicy policyjnych furgonetek. I nagle już wrzeszczeć, dać się porwać przez wściekłość i wrzask, w którym jak rodziniki tkwią ospałe twarze policjantów; ich niestylowe fryzury nie od barberów, jakby właśnie wyszli ze stogu siana.

Albo pozwolić sobie zgubić się kompletnie w padającym śniegu, który zamienia Dolny Mokotów w Dolinę Muminów. Słuchać głośno muzyki i pozwolić sobie zgubić się tak bardzo, żeby musieć pytać o drogę jedyną spotkaną osobę; faceta z siatką pijącego pod garażami żywca z puszk. Ten jednak bardzo przeprasza, że nie może pomóc, bo jest z Koszalina, może właśnie dlatego tak bardzo usiłuje pomóc. Być jednak tak zdezorientowaną, żeby kompletnie nie móc się skupić, udawać, że się patrzy na studiowane przez niego z siatką w dłoni Google Maps, a w rzeczywistości obserwować jego eleganckie, tanie, biurowe pantofle z granatowego nubuku, ich długie, nierozsądne pyszczki parszczące z zimna i wilgoci. Czuć na ich widok przynależność do wspólnoty osób zagubionych, czuć, że miasto pełne jest jej nieujawniających się członków.

©

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 172/20 postępowanie z wniosku Krystyny Roter-Polak o stwierdzenie nabycia udziałów w prawie własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy nieruchomości położonych w Jarocinie przy ulicy Śródmiejskiej 25, dla których V Wydział Ksiąg Wieczystych Sądu Rejonowego w Jarocinie prowadzi księgi wieczyste KZ1J/00039013/3 oraz KZ1J/00039010/2.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.



WIARA

KOT ELIOTA

Biskupi i księża utracili zdolność słuchania tego, co mają do powiedzenia świeccy.
Przywrócenie tej zdolności jest warunkiem reform.

O. WIESŁAW DAWIDOWSKI OSA

*Grób Pański w krypcie kościoła Ojców Pijarów
z instalacją symbolizującą uchodźców
tonących w morzu. Kraków, 13 kwietnia 2017 r.*



GRZEGORZ ŁYKO / ARTSERVICE / FORUM

KOŚCIÓŁ JEST SAKRAMENTEM ZJEDNOCZENIA z Bogiem i jedności całego rodzaju ludzkiego. Jest też ludem pielgrzymującym jako wspólnota, a ze względu na swoją synodalność jest Kościołem słuchającym. Te trzy obrazy Kościoła przypomniły na otwarcie ostatniego konsystorza w zwyczajowym *homagium* skierowanym do papieża nowo mianowany kardynał Ma-

rio Grech, sekretarz generalny Synodu Biskupów.

Obrazy te, należące do teologicznego abecadła, wciąż są bardziej przedmiotem rozważań w salach wykładowych niż doświadczeniem codziennego życia. Można powiedzieć więcej: od kilku lat doświadczamy procesu odwrotnego – nasz rodzimy Kościół w Polsce stał się Kościołem dzielącym, odrzucającym i wewnętrznie

podzielnym. Przybrał rozmiary hipopotama z poematu T.S. Eliota, symbolizującego laodycejską wspólnotę sytych i zadowolonych. Wreszcie, będąc słusznie Kościołem nauczającym, stał się niestety Kościołem głuchych.

Kościół dzielący i podzielony

W kręgach kościelnych powiada się, że w Polsce liberalnej udało się to, co nie udało się komunistom, a mianowicie podzielić wewnętrznie Kościół. Kiedyś był jasno określony przeciwnik i wszyscy wiedzieliśmy, jak postąpić – dzisiaj nie wiemy.

Nie jest to teza błyskotliwa, raczej manipulatorska. W ciągu ostatnich 30 lat Kościół instytucjonalny sam bardzo się przyczynił do inspirowania wewnętrznych podziałów. Przede wszystkim przestał uznawać za swoją pewną część inteligencji katolickiej, która zgodnie z nauką Soboru Watykańskiego II ośmielała się „stosownie do posiadanej wiedzy, kompetencji i autorytetu (...) ujawniać swoje zdanie w sprawach, które dotyczą Kościoła” (LG 37a). W wielu sporach natury aksjologicznej, społecznej, politycznej i bioetycznej świeccy należący do pokolenia JPIL, wiążący całe swoje życie z Kościołem, zaczęli być odcinani od katolickiego mainstreamu, ponieważ ośmielali się zgłaszać swoje *votum separatum*.

Stało się to dlatego, że większość biskupów, księży, duchownych, zakonników, zakonnic i świeckich postanowiła związać swoje sympatie z prawą stroną sceny politycznej. W jednym z ważniejszych ostatnio tekstów redaktor naczelny „Więzi” Zbigniew Nosowski pisze wręcz o zaistnieniu konkubinatu kościelno-państwowego i pyta, czy biskupi pójdą tropem wyznaczonym przez Vaticanum II i ów konkubinat zerwą. Śmiem twierdzić, że zerwanie konkubinatu nie będzie łatwe, zważywszy, że awanse czynią jeszcze skrajniejsi kandydaci, jak Ordo Iuris, Młodzież Wszechpolska i ONR.

Nie chodzi mi o politykę, ale o to, że poza uwagą instytucjonalnego Kościoła postawiono rzeszę ludzi żadną miarą nie zasługujących na ignorowanie. Ich oczekiwania nigdy nie były wielkie poza tym, ➔

→ by w Kościele mieli swoją podmiotowość. Biskupi w większości związali swoje sympatie z tymi świeckimi, którzy przez różnorakie wpływy – medialne i polityczne – zdają się gwarantować obronę tego, co szumnie nazywa się „wartościami chrześcijańskimi” chronionymi ustawą. O tym jednak, że owe wartości zostały skodyfikowane przede wszystkim przez samego Jezusa w formie ośmiu błogosławieństw, skrzętnie się milczy, a upominających się o ten właśnie kodeks spotyka lekceważenie.

Efektem tego procesu jest podział Kościoła, czyli zatracenie sakramentalnej jedności. Widać to chociażby na przykładzie akcji „Stop Komunii Świętej na rękę”. Co z tego, że w czasie pandemii COVID-19 jakiś biskup wdraża w swojej diecezji normy higieniczne przy udzielaniu komunii, zalecając przyjmowanie jej na rękę, świadom że wirus przenosi się drogą kropelkową, skoro biskup innej diecezji ogłosi swoim autorytetem, że Chrystus ukryty w hostii nie zaraża, woda święcona zaś nie zatrzymuje w sobie bakterii, ponieważ jest poświęcona. Co z tego, że papież sankcjonuje istniejącą praktykę posług lektorek i nadzwyczajnych szafarek Eucharystii, poprzez sformalizowanie tych funkcji, skoro lwia część duchowieństwa w Polsce odczytuje to jako zamach na kapłańskie funkcje mężczyzn.

Tłusty kocur albo hipopotam

W 2018 r. zostałem oddelegowany do Rumunii na zebranie plenarne UCESM. Jest to organizacja skupiająca przedstawicieli narodowych konferencji wyższych przełożonych zakonów żeńskich i męskich, a tematem tego zjazdu był udział zakonów w pomocy imigrantom i uchodźcom na terenie Europy. Miałem radość przedstawienia imponujących statystyk zakonnych w Polsce, a jednocześnie smutek niemożności powiedzenia, co konkretnego zakony w Polsce robią na rzecz imigrantów i uchodźców. Moja prezentacja kilku dzieł polskich na rzecz uchodźców i migrantów spotkała się z przygnębiającym komentarzem: „tak wielu i tak niewiele”.

Oczywiście łatwo tę inercję wytłumaczyć skutecznym przeszkodzeniem ze strony władz państwowych, blokujących dawanie schronienia choćby dzieciom żyjącym w urągających człowieczeństwu warunkach na Lesbos czy Lampedusie. Jednak pracując od 17 lat w duszpaster-

Kościół instytucjonalny
w Polsce – zamiast być
sakramentem jedności
– stał się ostatnio
**Kościółem dzielącym,
odrzucającym
i wewnętrznie podzielonym.**

stwie obcokrajowców w Warszawie, zbyt dobrze wiem, jak duchowieństwo polskie reagowało na kryzys migracyjny w Europie, odzwierciedlając izolacjonistyczne tezy aktualnej władzy. Owszem, wspiera się ambitne programy rządowe, sprowadzające się do hasła „pomagamy na miejscu”. Pomagamy tam, żeby nie przyszli tutaj, bo przecież nasz krajobraz ozdabiają kościelne wieże, a nie kopuły meczetów.

Niedawno pewien biskup podzielił się ze mną niepokojem co do słabości polskiego kleru i zapytał o przyczyny stanu rzeczy. Moim zdaniem problem tkwi w błędnej i płytkiej recepcji nauczania Jana Pawła II, a także w umniejszaniu znaczenia czy wręcz demonizowaniu pontyfikatu Franciszka. Nie mam żadnej wątpliwości co do wyjątkowej roli papieża Polaka w historii Polski i świata, jak i jego osobistej świętości. Nigdy nie przesłilibyśmy suchą nogą przez czerwone morze komunizmu, nigdy nie doszłoby do pokojowej transformacji ustrojowej i nigdy też nie byłibyśmy w Unii Europejskiej – gdyby nie on.

Niemniej uważam, że pontyfikat Jana Pawła II uśpił i rozleniwiał nasze duchowieństwo, ukryliśmy się bowiem wszyscy za autorytetem papieża Polaka naiwnie wierząc, że on to przecież i my. Nieco buńczucznie też uznawano wieczną świeżość i ciągłą aktualność jego nauk.

Dzisiaj już wiemy, że samo powołanie się na autorytet wielkiego Polaka nie wystarczy. Wyrosło przecież nowe pokolenie, które nie rozumie papieskich katechez o wolności, miłości i odpowiedzialności, solidarności, jak i o tym, że każdy ma swoje Westerplatte. Co więcej, dzieci rodziców pokolenia JP II nie chcą uczestniczyć w tym duszpasterskim kombatanctwie, czemu dają wyraz poprzez gremialne wypisywanie się z lekcji religii czy akty apostazji.

W trakcie pontyfikatu Jana Pawła II i po nim wyrósł też niestety klerykalizm pojmowany jako swoista nietykalność ludzi w sutannach, co boleśnie obnażyły filmy braci Sekielskich. Trzeba chyba było tak potężnego wstrząsu, żebyśmy zrozumieli nie tyle wagę problemu pedofilii jako takiego, ile dostrzegli ogrom hipokryzji w Kościele. Oburzenie na ten dokument jest tylko jeszcze jednym znakiem tego, że gdy Kościół przestaje być głosem sumienia dla świata, to Pan Bóg zapewni sobie inny głos sumienia – głos dziennikarza.

W tym kontekście nieżyjący już o. Maciej Zięba mawiał, że Kościół w Polsce zapadł na syndrom tłustego kocura. Figurą świetnie pasującą do tego obrazu jest Gus – kot teatralny z poematu T.S. Eliota. Chwali się go za jego dokonania, a on snuje swoją melancholijną opowieść o cudownych czasach wiktoriańskich, gubiąc jednak wątek i tracąc kontakt z rzeczywistością. Ten sam autor w swoim innym poemacie pisał, że hipopotam i instytucjonalny Kościół są do siebie podobni z uwagi na ich wielkość, ociężałość i powolność. Bardziej jednak od chciwego i sytego Kościoła godny współczucia jest hipopotam.

Głuchy nauczyciel

Dwa lata temu pochłonęła mnie bez reszty książka benedyktynki s. Małgorzaty Borkowskiej „Oślica Balaama. Apel do duchownych panów”. Autorkę spotkało wiele pochwał, ale też spadły na nią gromy i kaśliwe uwagi. Do jednych i drugich s. Borkowska ma dystans, bo, jak powiada, to nie o nią chodzi, ale o zapisaną przez nią treść. I chociaż w książce przewijają się wątki dotyczące kulawego kaznodziejstwa, to podstawowym przesłaniem jest to, że kapłani powinni liczyć się z tym, że wśród słuchających są ludzie, którzy są lepiej teologicznie i filozoficznie wykształceni od nich. Powinni więc zacząć od słuchania Boga, czyli od modlitwy, ale też od wsłuchania się w ludzi, ich potrzeby i troski.

Na pierwszy rzut oka brzmi to ogólnikowo, ale spójrzmy na kilka kluczowych kwestii, na które Kościół w Polsce – i nie tylko – niestety pozostaje dzisiaj głuchy. Pierwszym niesłuchanym podmiotem są kobiety. Jest paradoksem, że kobiety, stanowiąc większość uczestniczących w życiu wspólnoty katolickiej, nie czują się partnerkami dialogu. Owszem kilka lub

nawet kilkanaście kobiet wywalczyło sobie jakąś niszę w Kościele, ale to niestety ciągle jest nisza. Nawet na zjazdach teologów świetnie wykształcone teolożki zabierają, owszem, głos w debatach, wygłaszają referaty o niebo lepsze od niejednego duchownego teologa, ale i tak na końcu księży teologowie oczekują, że kobieta teolożka przyniesie kawę. Gdy papież Franciszek usankcjonował istniejącą w świecie praktykę mianowania lektorek i nadzwyczajnych szafarek Eucharystii, podnosząc ich funkcje do rangi posługi, czyli takiej samej, jaką otrzymują klerycy w seminariach, w naszym Kościele nastąpiła konsternacja i dyplomatyczne zapewnienie o zajęciu się tą kwestią w najlepszym możliwym czasie.

Brak duszpasterskiego nasłuchu widoczny jest w podejściu do małżeństw niesakramentalnych w Kościele. Wprawdzie w polskich diecezjach istnieją ośrodki duszpasterskie dla osób pozostających w związkach niesakramentalnych, ale w większości są one domeną zakonnych pasjonatów, podczas gdy relacje przeciętnego księdza z osobami rozwiedzionymi w najlepszym wypadku ograniczają się do okazania współczucia. Na ogół dominuje poczucie duszpasterskiej bezradności lub obojętności. Nauczanie papieża Franciszka z „*Amoris laetitia*” stało się przedmiotem zmasowanej krytyki specjalistów od potępiania bliźnich i śledczych skrupulatnie wynajdujących doktrynalne błędy, sama zaś adhortacja została odstawiona na półkę jako dokument niewygodny dla duszpasterzy. Dziwi to niezmiernie, ponieważ przypadki tzw. małżeńskich sytuacji nieregularnych dotyczą również te rodziny, z których wywodzą się księża, biskupi, zakonnice czy zakonnicy.

Innym przykładem braku nasłuchu jest chociażby masowe w ostatnich tygodniach wypisywanie się młodzieży z katechezy szkolnej. Oczywiście najłatwiej jest obciążyć winą rodziców lub antyklerykalną nagonkę spod znaku błyskawicy. Problem w tym, że rodzice dzisiejszych nastolatków to absolwenci katechezy szkolnej i warto byłoby ich zapytać, czy z tej katechezy wynieśli wiarę w Pana Boga i Ewangelię. Warto też postawić sobie inne pytanie: czy każdy ksiądz musi być katechetą, skoro nie ma pedagogicznego talentu? Antyklerykalna nagonka nie jest przyczyną, ale skutkiem rozwarstwienia się społeczeństwa na skutek pa-

Usankcjonowanie przez papieża posług lektorek i akolitek

Iwia część duchowieństwa w Polsce odczytuje jako zamach na kapłańskie funkcje mężczyzny.

triarchalnego zapatrzania w tymczasowość.

Albo Synod, albo Irlandia

Wspomniany o. Maciej Zięba uważał, że Kościół w Polsce stoi przed alternatywą albo irlandyzacji, albo italianizacji, przy czym skłonny był postawić na ten drugi kierunek. Kościół jako dostojna matrona będzie ciągle miał jakieś miejsce i rolę do odegrania w społeczeństwie, ale nie będzie to miejsce ważne. Tymczasem stało się coś, czego nikt nie przewidział, a mianowicie pandemia COVID-19 przyniosła czas pustych kościołów – jak to określił w swojej nowej książce ks. Tomáš Halík. Oczywiście ta pustka została wymuszona, niemniej ten czas powinien zostać przez nas potraktowany jako okazja dana na przemyślenie naglących „wezwań papieża Franciszka do wewnętrznej reformy – nie tylko modernizacji struktury, ale też do radykalnego nawrócenia na Ewangelię”. Jeśli tego nie zrobimy, przestrzega Halík, nasze kościoły zostaną puste również po pandemii.

Od czego jednak zacząć na polskim polietku? Nadzieję dostrzegam w obrazie Kościoła słuchającego, przywołanym na ostatnim konsystorzu. Nie chodzi jednak o łaskawe zezwolenie pasterzy Kościoła, aby świeccy wypowiedzieli swoje opinie. Świeccy już się wypowiadają, jedni rozsądnie, drudzy gwałtownie. Jedni z perspektywy odpowiedzialności za słowo, drudzy z perspektywy przemocy. W grę wchodzi synod plenarny Kościoła w Polsce, gdzie pierwszym i podstawowym aktem byłby trudny akt wysłuchania wielu osób.

Trzeba zacząć od wysłuchania najpierw ofiar nadużyć seksualnych, aby zrozumieć, co znaczy cierpienie w tak intymnej sferze. Trzeba wysłuchać też kobiet, często ofiar przemocy domowej, oraz zakonnic pracujących czasem za jałmużnę na wielu parafiach. Powinna od-

być się sesja wysłuchania ludzi biednych i imigrantów, którym udało się wbrew wielu przeciwnościom losu znaleźć w Polsce schronienie. Wierzę, że trzeba wysłuchać i wsłuchać się w głos Żydów, aby zrozumieć, dlaczego kochają Polskę, mimo że tutaj doświadczyli wiele ciemności. Pomóc może wysłuchanie ludzi niewierzących, wykładowców uniwersyteckich, którzy wykładając filozofię czy etykę muszą niejednokrotnie wyjaśniać swoim katolickim studentom podstawy religii chrześcijańskiej, gdyż ci po 12 latach szkolnej katechezy nie znają podstawowych prawd wiary.

Takie wysłuchanie – a nawet bardziej: wsłuchanie się – może stworzyć szansę nauczania się nowego języka umożliwiającego zrozumienie i porozumienie. Języka zupełnie innego od nowomowy, do jakiej znowu powracamy.

Potrzeba też w polskim Kościele, ale i w całym społeczeństwie, sensownego projektu leczenia ran wzajemnie sobie zadanych przez lata po śmierci Jana Pawła II. Nie uda się to jednak bez poważnego rachunku sumienia nie tylko biskupów, ale także prowincjałów, zakonników, zakonnic. Nie uda się to też bez zrozumienia pierwszego marzenia papieża Franciszka deklarującego w dniu swojego wyboru: „Pragnę Kościoła ubogiego dla ubogich”. Scenariusz irlandzki jest niestety bardzo możliwy i to wcale nie na zasadzie samospełniającego się proroctwa.

Moi koledzy księża, ale też świeccy komentatorzy życia kościelnego raczej sceptycznie oceniają postulat zwołania nowego ogólnopolskiego synodu. Tymczasem podczas spotkania 30 stycznia z katechetami i biskupami włoskiej organizacji katechetycznej Franciszek wezwał episkopat Włoch do odbycia właśnie ogólnonarodowego synodu. Podobnie przewodniczący episkopatu Malty abp Charles Scicluna zadeklarował konieczność powołania synodu odnowy w swoim kraju. A zatem, zanim zaczniemy nauczać – wysłuchajmy niesłuchanych.

© O. WIESŁAW DAWIDOWSKI OSA

Autor od 2012 r. jest prowincjałem augustianów w Polsce, doktorem teologii. W latach 2009-13 był chrześcijańskim współprzewodniczącym Polskiej Rady Chryścijan i Żydów. Jest również konsultorem Rady KEP ds. Migracji. Od 2004 r. duszpasterz anglojęzycznych obcokrajowców w Warszawie.



WOJTEK JARGIŁO / FORUM

Arcybiskup Józef Życiński udziela święceń biskupich. Lublin, maj 2004 r.

Wystarczy jedna rękawiczka

KS. WŁODZIMIERZ SKOCZNY, FILOZOF:

Był przekonany, że świat ma sens. Ukazywanie go było jego życiową misją.

ARTUR SPORNIAK: Jak Ksiądz poznał Józefa Życińskiego?

KS. WŁODZIMIERZ SKOCZNY: Po maturze w 1975 r. poszedłem do seminarium częstochowskiego, które wtedy miało siedzibę w Krakowie na Bernardyńskiej 3. W czasie egzaminów wstępnych pisaliśmy prace na zadany temat. Sprawdzał je ówczesny prefekt seminarium ks. Życiński. Pamiętam, jak stałem na pierwszym piętrze, a on zbiegał po schodach. Nie byłem świadom, kto to jest, ale on – jak się

okazało – znał już moje imię. Powiedział: „Ciekawa praca” i polecił dalej.

Potem widywaliśmy się codziennie – jako prefekt, czyli nasz wychowawca, był tą osobą, z którą mieliśmy najczęstszy kontakt. Szczególnie lubiliśmy, gdy miał dyżur w kaplicy i głosił homilię. Zaczynał od tego, że zdejmował zegarek i kładł na ambonce, żeby kontrolować czas. Homilię okraszał zawsze jakąś anegdotą – nie dało się na nich spać. Zresztą to była cecha charakterystyczna jego stylu – w jego wykładach i książkach pełno jest historyjek i dowcipów, którymi ilustrował to, co chciał przekazać.

Bywało, że styl go ponosił. Kiedyś wykład z filozofii nauki, który pod koniec lat 80. wygłaszał w wypełnionej po brzegi sali przy kolegiacie św. Anny, rozpoczął: „Pamiętam, jeszcze w XIX wieku...”. Gdy zorientował się, skąd wesołość u słuchaczy, sam się roześmiał.

Miał też inną umiejętność. Tyle razy słuchaliśmy czy czytaliśmy jakiś fragment Biblii, że wydawało się nam, iż już nic nas nie zaskoczy, tymczasem on podczas homilii wydobywał z Pisma Świętego perły, które nas, kleryków zachwycały.

Jaki był jako profesor?

Przez wiele lat prowadził systematycznie seminarium naukowe dla swoich magistrantów i doktorantów. Te półtorej godziny w tygodniu było dla Życińskiego świętym czasem. Przeznaczał go wyłącznie dla nas. Już wtedy był zapracowanym człowiekiem, miał tysiące spraw na głowie, ale wszystko odkładał i irytował się, gdy ktoś w tym czasie przychodził z innymi sprawami. Furtian na Bernardyńskiej wiedział, że nie wolno mu wtedy przeszkadzać.

Jako promotor był wymagający. Czasami miałem wrażenie, że mierzy innych swoją miarą, a on był geniuszem w czytaniu i zapamiętywaniu.

I wykorzystywał każdą chwilę, np. sprowadzane z zagranicy książki czytał przy śniadaniu.

Słynna była jego metoda nauki języków. Prawie całe lustro w łazience miał wypełnione samoprzylepnymi karteczkami z wypisanymi słówkami z języka, którego akurat się uczył. Kiedyś pojechał do Anglii, by mieć dostęp do literatury angielskiej. Spotkał przedwojenną hrabinę, a miał taki chłopięcy wygląd. Zapytała: „Ksiądz taki młody, co ksiądz tutaj

robi?”. Życiński odpowiedział, że przyjechał szlifować język i przygotowywać się do doktoratu. „A na jaki temat?” – pytała dalej. Wówczas wyrecytował: „Zagadnienie filozoficznych implikacji fizykalnych ujęć stanu szczególnego w oparciu o teorię ekspansji”. I już więcej pytań nie było.

Rzeczywiście, analiza kosmologicznych modeli wszechświata nie była typowa dla księdza. Życiński był także dziekanem Wydziału Filozoficznego PAT w Krakowie.

Właściwie to był tandem, było dwóch Józków: Tischner i Życiński. Najpierw od 1982 r. Tischner był dziekanem, a Życiński prodziekanem, a potem od 1988 do 1990 r. na odwrót: Życiński kierował wydziałem, a Tischner był jego zastępcą. Wzajemnie się uzupełniali. Obaj byli erudytami, obaj też mieli poczucie humoru. Tischner był humanistą, Życiński ścisłowcem o wrażliwości poety. Tischner był trochę nieprzewidywalny – czasem wyjeżdżał do Wiednia i nikt o tym nie wiedział. Życiński go zastępował i świetnie dawał sobie radę. Był bardzo sprawny w zarządzaniu. Właściwie to on trzymał wydział na poziomie – i to zarówno organizacyjnie, jak i logistycznie. Przykład: na słynnych konwersatoriach interdyscyplinarnych na Augustiańskiej, które prowadził razem z ks. Michałem Hellerem i na które jeżdżali się ludzie z całej Polski, była kawa – towar wówczas deficytowy. Okazało się, że Życiński ma znajomą stewardesę z LOT-u, która przekazywała mu niewykorzystane podczas lotów zapasy kawy i herbaty. To były złote lata PAT-u.

Jakie jest najważniejsze osiągnięcie naukowe Życińskiego?

Był jednym z pierwszych, dzięki którym dotarła do Polski myśl Alfreda Northa Whiteheada – filozofia i teologia procesu. Natomiast temat, któremu poświęcił życie, sam wyrażał po angielsku jako *bridge the gap*, czyli budowanie mostów nad wszelkimi dziurami, przepaściami, rozstępami. Przede wszystkim chodzi o przepaść między nauką a wiarą, ale także między naukami przyrodniczymi a humanistycznymi czy między nauką a kulturą. Stąd wzięły się konwersatoria interdyscyplinarne, które najpierw odbywały się u kard. Karola Wojtyły na Franciszkańskiej, potem z powodu ogromnej frekwencji musiały się

przenieść na Augustiańską do opuszczonego klasztoru augustianów, czy organizowane co dwa lata spotkanie w Castel Gandolfo z papieżem. Życiński jeździł też z wykładami do Częstochowy. Na Politechnice Częstochowskiej była grupa fizyków z prof. Bolesławem Wysłockim na czele, otwarta na zagadnienia związane z nauką i wiarą. Na konwersatoria do Krakowa przyjeżdżali uczeni z najwyższej półki, jak Carl Friedrich von Weizsäcker – uczeń Heisenberga i Bohra, współtwórców mechaniki kwantowej. Wielokrotnie bywał też o. George Coyne, dyrektor Watykańskiego Obserwatorium Astronomicznego – wspinała postać.

Ukazało się ponad 50 książek Życińskiego. W jednej z ostatnich przybliży katechetom teorię ewolucji. Chyba bardzo mu zależało na jej „ochrzczeniu”.

Zaczął się od powrotu do procesu Galileusza. W 1983 r. Jan Paweł II stworzył archiwum watykańskie, zachęcając do tego, by tę sprawę głęboko studiować. Życiński był jednym z tych, którzy to wezwanie podjęli. Jeździł do Watykanu i przeglądał archiwum. Zaowocowało to książką „Sprawa Galileusza” wydaną przez Znak w 1991 r. Kościół w XVII w. postąpił źle, potępiając system Kopernika i dzieła Galileusza. Życińskiemu bardzo zależało, by tego błędu nie powtórzyć przy teorii ewolucji. Tym bardziej że współcześnie chrześcijaństwo, zwłaszcza niektóre nurty protestanckie, nadal czytają Biblię literalnie i odrzucają ewolucjonizm.

Jeśli miałbym wskazać jedną ideę, na której jego intelektualna praca wspierała się przez całe życie, to takim myślowym kręgosłupem była racjonalność świata.



ADAM WALANIUS

KS. WŁODZIMIERZ SKOCZNY jest doktorem filozofii, byłym wieloletnim sekretarzem Wydziału Filozoficznego PAT. Był rektorem Wyższego

Seminarium Duchownego Diecezji Sosnowieckiej. Obecnie proboszcz parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa w Będzinie.

Życiński był przekonany nie tylko intelektualnie, ale osobowościowo, że świat ma sens, że w świecie jest Logos. Nam ten Logos jest trudno odkryć – szukamy go po omacku, często na błędnych ścieżkach, ale świat ma rację, nie jest chaosem.

Mówił o polu racjonalności.

Pole racjonalności to zbiór wszystkich wydarzeń dziejących się w czasie, które są we wzajemnych relacjach. Nic nie dzieje się bez powodu – irracjonalnie. Nie jest to siatka tylko fizycznych połączeń – najgłębszy wymiar pola racjonalności tworzy opatrność Boża. Ulubionym fragmentem Pisma Świętego było dla Życińskiego zdanie św. Pawła: „W Nim poruszamy się, żyjemy i jesteśmy” (Dz 17, 28).

Czyli Racjonalność przez duże „R”...

...którą odkrywamy przez racjonalność pisaną przez małe „r”, bo ta nasza jest zawsze ułomna – niepełna, nieostateczna. A jednak w naszym rozumieniu świata posuwamy się do przodu. Wiemy trochę więcej niż trzysta lat temu.

Świat dla Życińskiego miał jeszcze jeden ważny wymiar – poetycki. Przyjaźnił się z poetami – z ks. Janem Twardowskim, ks. Januszem Pasierbem. „Pan Cogito” Herberta był kluczem do niejednej jego książki. Uprawianie przez Życińskiego nauki nie kończyło się na formułach naukowych – sięgało dalej, do innych światów: poezji, literatury, muzyki. On ciągle przekraczał granice.

Czy Życiński zmienił się, gdy w 1990 r. został biskupem tarnowskim?

Zmienił się o tyle, że miał więcej zajęć i był jeszcze bardziej zabiegany. Przed święceniami był gospodarzem swego czasu. Z chwilą, gdy został biskupem, kto inny poprowadził go tam, gdzie niespecjalnie go ciągnęło. Swoją sakrę przyjmował jako zadanie. Natomiast jako człowiek się nie zmienił. Rzadko o tym mówimy, ale z biskupstwem wiąże się pewna samotność, bo biskup nie ma do kogo iść prócz Pana Jezusa, nie ma się komu zwierzyć.

Przyjeżdżał raz w tygodniu na wykłady do Krakowa. Wtedy oczywiście przychodził do seminarium na posilek. I rzecz charakterystyczna: pierwsze kroki zawsze kierował do kaplicy. Czasami był

→ tam tylko chwilę, czasami zostawał dłużej. Ale było pewne, że od tego zacznie. Kiedyś w zimie zgubił rękawiczki. Udało mi się znaleźć tylko jedną. Powiedział: „Ta wystarczy, drugą rękę trzymam zawsze w kieszeni, bo tam mam różaniec”.

Był wyjątkowym biskupem. W diecezji tarnowskiej dokonał cyfryzacji. Wprowadził jawne roczne rozliczenia finansowe diecezji. Pilnował, by wybory do rad parafialnych były rzeczywiście wyborami, a nie nominacjami proboszcza.

Zredukował uroczyste powitania podczas wizytacji.

Inni biskupi niechętnie go naśladowali. Stąd się brała jego samotność?

To był jeden z dodatkowych powodów. Życiński przez swoją otwartość na liberalny świat i zaangażowanie np. w dialog z Żydami był atakowany, zdarzało się, że w sposób haniebny. Wiele o jego otwartości mówi np. lista osób zapraszanych na Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej, których był pomysłodawcą i organizatorem. Na KUL-u pojawiały się także osoby niewierzące, jak Kołakowski czy Bauman.

Sam pojawił się na Przystanku Woodstock. Wielu odczuło jego odejście 10 lat temu. Po wiadomości o jego śmierci Maja Woźniakowska zadzwoniła do ks. Adama Bonieckiego i zapytała: „Co ten Pan Bóg sobie myśli?!”.

Odpowiedź poznamy dopiero po drugiej stronie. Po śmierci w brewiarzu Żyćcińskiego znalaziono wiersz:

*Gdy budzę się rano, mówię:
jak celnik Zacheusz będę rozdawać,
jak Szymon będę nosić krzyżę innych,
jak Weronika będę ocierać twarz,
jak Szczepan dam się kamienować,
jak Jezus na krzyżu będę przebaczać,
jak Franciszek będę kochać.
Wieczorem spoglądam w lustro i widzę
Adama, który dopiero zjadł owoc,
Kaina, który dopiero co zabił,
Judasza, który dopiero co zdradził,
Piotra, który dopiero co się zaparł,
Pilate, który dopiero co obmył ręce
I zasypiam na mokrej od łez poduszce.
A w nocy przychodzi Jezus i pyta:
miłujesz mnie?*

© Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

Teolog przyszłości

CEZARY KOŚCIELNIAK

Romano Guardini, w Polsce prawie nieobecny, na Zachodzie nieco zapomniany, na powrót zaczyna budzić zainteresowanie dzięki dwóm ostatnim papieżom.

GDY PRZYJRZYMYSIĘ KLUCZOWYM tekstem Benedykta XVI i Franciszka, zobaczymy, że ich bezpośrednią inspiracją jest twórczość Romana Guardiniego – księdza, intelektualisty, profesora teologii, jednej z najważniejszych postaci Kościoła XX w.

W swoich najważniejszych dziełach, od początku pracy akademickiej aż po papieństwo, Joseph Ratzinger podążał tropami Romana Guardiniego. We „Wprowadzeniu w chrześcijaństwo” przywołał jego ideę potrzeby wyróżnienia chrześcijaństwa we współczesnym świecie. Habilitacja przyszłego papieża, podobnie jak habilitacja Guardiniego, dotyczyła teologii św. Bonawentury. Piszac wiele lat później „Ducha liturgii” – ponownie nawiązał do książki wydanej pod takim samym tytułem przez Guardiniego. Wreszcie w książce „Jezus z Nazaretu” już jako papież podkreślił, że wpisuje się w tradycję „biografii Boga”, w której Guardini ma swój udział.

Franciszek poszedł krok dalej: diagnozy Guardiniego pojawiły się w jego oficjalnych dokumentach. Znajdziemy je np. w encyklice „Lumen fidei”, adhortacji „Evangelii gaudium”, ale przede wszystkim w „Laudato si”. W encyklice ekologicznej papież przyjął krytykę porządku technokratycznego, który zdaniem monachijskiego teologa doprowadził do onnipotencji władzy destrukcyjnej dla człowieka, a w konsekwencji także dla środowiska naturalnego. O wierze w rozum technologiczny Guardini powie tak: „Błąd prymitywnej wiary w postęp polegał na założeniu, że sam fakt zdobycia większej władzy nad naturą i wymuszenie na niej nowych możliwości technicznych automatycznie podniesie wartość ludzkiej egzystencji”. Słowa te padają na kilkadziesiąt lat przed ukształtowaniem się świadomości wpływu technologii na życie społeczne.

Nie chciał kapelusza

Romano Guardini urodził się w 1885 r., był synem włoskich emigrantów przybyłych do Niemiec. Zalicza się go do czołówki niemieckiej teologii XX w., a jego renoma była już znana przed II wojną światową, kiedy objął katedrę światopoglądu katolickiego na uniwersytecie w Berlinie. Jako nieprawomyślny wobec faszyzmu, przerwał w 1939 r. pracę badawczą i udał się na wygnanie do małej parafii w Szwabii, gdzie pozostał do końca wojny.

Po krótkim okresie pracy na uniwersytecie w Tybindze objął funkcję profesora na Uniwersytecie Ludwika Maksymiliana w Monachium oraz kaznodziei uniwersyteckiego przy kościele św. Ludwika. Służył w nim aż do śmierci w 1968 r., został pochowany w jednej z kaplic Ludwigskirche. W roku 2017 rozpoczął się jego proces beatyfikacyjny.

W ostatnim, monachijskim okresie życia Guardini łączył pracę akademicką z dynamiczną aktywnością duszpasterską. Pomimo widocznych już symptomów sekularyzacji, jego kazania przyciągały tłumy. Zbudował wokół siebie żywą wspólnotę wiary zaangażowaną jednocześnie w poszukiwania intelektualne. W tym czasie Guardini uczestniczył w Soborze, a na kilka lat przed śmiercią odrzucił propozycję przyjęcia kapelusza kardynalskiego od Pawła VI. Po śmierci Guardiniego zainteresowanie jego myślą wzrosło, jego książki doczekały się kolejnych edycji w Niemczech oraz licznych tłumaczeń. W Polsce wydano zaledwie kilka dzieł, w tym kluczową książkę „Der Herr”, która w samych Niemczech miała 19 wydań, ostatnie w 2007 r. Polski przekład ukazał się w 2018 r. pt. „Bóg”. W naszym kraju postać Guardiniego nie jest raczej znana poza gronem specjalistów.



ULLSTEIN BILD / GETTY IMAGES

Romano Guardini, 1960 r.

Wspólna droga

Pontyfikat Franciszka można odczytać właśnie przez teologiczny wpływ Guardiniego. Młody Jorge Bergoglio interesował się niemieckim myślicielem. Na studia do Frankfurtu nad Menem przyjechał, aby przygotować dysertację doktorską o teologii Guardiniego. I choć doktorat nie powstał, a pobyt na studiach w Niemczech został skrócony, to jednak postać ta będzie intelektualnie towarzyszyć przyszłemu papieżowi.

Jeden z publicystów powiedział, że Guardini był dla Bergoglii mistrzem, którego ten nigdy nie miał. W książce biograficznej o Franciszku Massimo Borghesi wskazuje, że przyszłego papieża mogło pociągać to, że Guardini stawiał wyżej realizm niż idee, ostatecznie znaczenie miał dla niego nie dyskurs akademicki, ale praca duszpasterska, przekaz wiary. Wśród cech wyróżniających obecnego pontyfikat do najbardziej charakterystycznych należy właśnie realizm. Również papieskie poszukiwanie katolicyzmu integralnego (co zostało zoperacjonalizowane w encyklice „*Laudato si*” w pojęciu „teologii integralnej”) ma źródło w myśli Guardiniego.

Guardini i Franciszek mają też podobną metodę myślenia o Kościele. Dążenie do syntezy, szkicowanie obrazu cało-

ści, analiza inspiracji pochodzących spoza Kościoła, a także zaangażowanie w najbardziej palące pytania cywilizacyjne – stawiają ich blisko siebie. Są i kwestie osobiste, choć pewnie nie odgrywają zasadniczej roli. Jednak nie sposób nie zauważyć podobieństwa dróg rodzinnych ks. Bergoglii i ks. Guardiniego. Wspólne dla obu są włoskie korzenie ich rodziców i ich doświadczenie emigracji. Podobne musiały być doświadczenia obu rodzin w wypracowywaniu sobie własnego miejsca w nowych ojczyznach.

Teologia uczestnicząca

W programie pontyfikatu, jakim jest „wychodzenie na peryferie”, także można odnaleźć wpływ Guardiniego. Autor „*Der Herr*” podkreślał, że nie zrozumie się współczesnej sytuacji chrześcijaństwa i kryzysu człowieczeństwa XX w. bez konfrontacji z trendami, diagnozami czy zmianami kulturowymi na zewnątrz Kościoła. Wychodził poza klasyczną formułę teologii, nie bał się konfrontacji między światami wiary, jej powinowactw i przeciwieństw. Łącząc najważniejsze pytania teologiczne z dociekaniami filozoficznymi, Guardini podjął studia m.in. nad Dostojewskim i Rilke, szukając w literaturze wskazówek do stanu współczesnej kondycji człowieka.

Czytelnik jego książek pozostaje pod wrażeniem ambitnych i najtrudniejszych tematów, takich jak wolność, los, kryzys nowożytności, ale także temat władzy. Guardini był jednak autorem skromnym, czego wyrazem była odmowa przyjęcia purpury kardynalskiej, która automatycznie poniosłaby sławę jego twórczości. Wolał schować się za swój tekst, widząc w pisarstwie służbę.

Nie oznaczało to braku ambicji: przeciwnie, zarówno twórczość słowa, jak i działalność duszpasterska Guardiniego wyznaczają nowy kierunek uprawiania teologii, który można by nazwać roboczo teologią uczestniczącą. Uczestnictwo można tu rozumieć w trzech aspektach. Wpierw jako zakorzenienie się myśli chrześcijańskiej w kulturze, uczestnictwo Kościoła we współczesnych ideach. W krótkiej, biograficznej nocie Guardini pisał: „Jeśli chodzi zarówno o uzasadnianie wiary, jak i pogłębianie świadomości kulturalnej, to uważam, że dziś potrzebne są nie tyle abstrakcyjne konstrukcje myślowe, co raczej wzajemne wysiłki interpretacyjne w ramach wiary i kultury, teologii i humanistyki”.

Drugie znaczenie uczestnictwa to świadome towarzyszenie teologiczne tym, którzy chcą pogłębić swoją wiarę i poszukują jej korzeni. Guardini zawsze pozostawał wierny duszpasterskiej służbie, którą uzupełniała praca intelektualna. Książkę „*Der Herr*” można odczytać jako teologiczną opowieść o życiu Jezusa z duszpasterskim objaśnieniem palących kwestii.

I po trzecie: uczestnictwo to osadzenie religijności na osi liturgii jako komunikacji wiary, kontemplacji piękna jej języka, a jednocześnie wyrazu ufności człowieka wobec Boga, o czym opowiada „*Duch liturgii*”.

Teologia uczestnicząca Guardiniego jest wyzwaniem dla teologii akademickiej, świadomie wykracza poza czysto specjalistyczny język, ale jednocześnie nie staje po stronie hiperaktywizmu duszpasterskiego, proponując harmonię pomiędzy *actio* i *ratio*. Okazała się udanym laboratorium myślenia o Kościele, pozwoliła zarzucić kotwice w miejscach ważnych dla żywego Kościoła, budujących jego tożsamość w warunkach sekularyzacji. Teologia uczestnicząca to także nowoczesna filozofia kultury, w której myślący katolik nie pozostaje sam z wątpliwościami i sprzecznościami płynącymi z konfrontacji ze współczesnym światem, lecz jest

→ zapraszany na drogę porozumienia między światobrazami i uporządkowania fundamentalnych pojęć.

Koszt wolności

Mówiąc o Guardinim jako o teologu przyszłości, można w nim widzieć przewodnika na czasy kryzysu Kościoła. Profil jego zainteresowań pisarskich i badawczych pozwala odpowiedzieć na pytanie o miejsce katolickiego intelektualisty w sekularnym świecie idei. Odpowiedź Guardiniego jest radykalna: należy podjąć zarówno konfrontację, jak i dialog w kwestiach zasadniczych dla społeczeństwa, polityki i kultury, pytając o wolność, o prawdę, o kondycję człowieka etc.

Kierując katedrą światopoglądu katolickiego, Romano Guardini przez lata sam poszukiwał formuły misji dla katolickiego intelektualisty. Pisał tak: „Nam chodzi bowiem (...) o to, jak przedstawia się świat w świetle prawd wiary. Nie świat w ogóle, ale konkretne jego przejawy – choćby poezja czy nawet dzieła »konkretnego twórcy«, powiedzmy Hölderlina, Rilkego, i zawarte w nich sensy. Na tym zasadza się zadanie, z którym borykam się już od ponad 30 lat, próbując odkryć to, co manifestuje się w obrębie spotkania wiary chrześcijańskiej lub powiedzmy raczej: człowieka wierzącego z rzeczywistością świata”.

Rozważania te nie odnoszą się jedynie do „pola chrześcijańskiego”, lecz pozwalają na postawienie diagnozy uniwersalnej – i właśnie na tym powinna polegać misja katolickich intelektualistów. Jed-

nym z tematów fundamentalnych u Guardiniego jest wolność, o której pisał tak: „Czasy nowożytne uczyniły z wolności osobistej niezbędną podstawę wszelkiej ludzkiej kultury. Tymczasem doświadczenia nasze od roku 1933 pokazały, że podstawa ta (...) może być z całej struktury społeczno-politycznej wyeliminowana. (...) Może przestać być dla tego narodu wartością, ba, może dlań nabrać posmaku pogardy mieszczańskiego mazgajstwa”.

Doświadczenia czasu nazizmu wywołują u Guardiniego potrzebę zbadania relacji między wolnością a wiarą. Guardini będzie dbał o pamięć uczestników ruchu Białej Róży, którzy inspirowali swoją walkę o wolność doświadczeniem wiary. Chrześcijaństwo uważa za religię, która ma wpisana w siebie zasadę wolności. Zaprzeczając temu, utraciłoby swoją istotę, unicestwiając przestrzeń do przemiany wewnętrznej człowieka. W późnym tekście, napisanym kilka lat przed śmiercią, w 1963 r., powie: „Wolność chrześcijańska oznacza, że wierzący wyzwała się od krępujących go założeń natury psychologicznej, socjologicznej, historycznej czy jakiegokolwiek innej – do pełnej rzeczywistości Boga objawiającego się w Chrystusie”. Trudno w tym zdaniu nie usłyszeć echa dramatycznej decyzji męczenników, także tych spod znaku Białej Róży, którzy wybierają Chrystusa czy też decydują się na akt heroizmu przeciw pewności straszliwych konsekwencji.

Teologia wolności Guardiniego przekracza wymiar konfesyjny. Z rozważań

o wolności wyboru wiary i wyzwolenia do wolności przez wiarę wyprowadza on diagnozę zagrożeń dla społeczeństwa. Dzisiaj odczytujemy tę myśl w cieniu nowych kłopotów z wolnością w realiach świata cyfrowego, „umysłu algorytmów”, postprawdy i profesjonalnej manipulacji na masową skalę. Pytanie o wolność wewnętrzną, o autonomię osoby w epoce radykalnej transparentności już nie tylko tego, co zewnętrzne, ale także tego, co intymne, staje się kluczowym wyzwaniem dla człowieka Zachodu.

Czytając Guardiniego można znów mieć nadzieję, że propozycja chrześcijańskiego wyswobodzenia ku wolności ponownie może stać się impulsem dla odzyskania życia autentycznego. Píše Guardini: „Im jaśniej chrześcijaństwo przyzna się do tego, że jest czymś nieoczywistym, im ostrzej będzie się musiało odciąć od poglądów niechrześcijańskich, tym bardziej w samym dogmacie obok strony teoretycznej zacznie się ujawniać strona praktyczno-życiowa. (...) Na tle wartości absolutnych szczególnej wyrazistości nabierze chrześcijańskie ujęcie egzystencji i zasad życiowych”.

Wracamy do papieża Franciszka: czy właśnie jego pontyfikat nie jest programem poszukiwania chrześcijańskiej autentyczności, ratującej od oczywistości i poszukującej wyrazistości życia wiarą?

© CEZARY KOŚCIELNIAK

Autor jest filozofem, kulturoznawcą, publicystą, profesorem UAM w Poznaniu. Research fellow na LMU w Monachium.

TYGODNIK
POWSZECHNY

Podkast Powszechny

Własny pokój

rozmowy
Katarzyny Kubisiowskiej
o kobiecej niezależności

#DOM

rozmowy Krzysztofa Storego
o małej ojczyźnie

Opowieści z Izraela

korespondencje
Karoliny Przewrockiej-Aderet

Miesiąc w nauce

z autorskim przeglądem
newsów naukowych
Łukasza Lamży

Punkt zwrotny

Katarzyna Kubisiowska i jej goście

Sztuka powszechnie nieznana

Magdalena Łanuszka
odkrywa dla nas na nowo
średniowieczne dzieła

Więcej bezpłatnych podkastów do odsłuchania na powszech.net/podkast



SALESmanago
marketing automation

weź, słuchaj!

ZUZANNA

Radzik:

Ludzie kluczowi



ZASKOCZYŁ MNIE POD DOMEM, GDZIEŚ PRZY śmietniku. W pierwszych tygodniach zarazy, które gorliwie przesiedziałam w domu, kontakt z ludźmi miałam głównie przez ekran. No, oprócz tych, którzy z rusztowania zaglądali przez moje okna, remontując fasadę. To przez nich do zagadek początku pandemii – Co to za wirus? Jak się chronić? Kiedy będzie już po? – dołączyła inna, zupełnie praktyczna: jaki będzie kolor fasady po remoncie?

Ważna rzecz w sumie. Taki remont robi się raz na kilkadziesiąt lat. Toteż zagapiłam się na próbki trzech kolorów wymalowane przy wejściu do sąsiedniej klatki. Wtedy wyrósł przede mną obcy. Wyrósł i z marszu zaczął mówić o dylemacie między kolorem miętówki a pistacji. Wyjaśniłam, że nie jestem inspekcją z biura konserwatora zabytków, z którym wykonawca toczył spór o kolory. Jak konserwator chce przywracać kolor pierwotny, skoro zamysł architekta tej najstarszej części Muranowa był taki, by nie tynkować? Surowa dzielnica pomnik – tak miało być, ale mieszkańcy szybko nie dali sobie z tym rady. „Oj, proszę pani, to musiało być nie do wytrzymania – podjął kierownik budowy. – Z której strony ma pani mieszkanie? Ano właśnie, to właśnie z pani strony ta ściana jest tak okropnie brzydka. Cegły z gruzobetonu, chaotycznie przeplatane pustakami. Myślę, że nie dało się na to patrzeć”.

I tak staliśmy pod domem, dyskutując o wyglądzie murów i nowej książce o odbudowie Warszawy. Najważniejsze jednak przyszło chwilę potem: wróciłam do mieszkania i poczułam się szczęśliwa! Rozmawiałam pół godziny z obcym i zwyczajnie znów czułam się sobą. Jedna rozmowa i tyle radości.

Niech będzie, sama lubię gadać. Ale poza tym lubię posłuchać. Na przykład kierowcy ostatniego autobusu znad morza – wtedy się okazało, że kosmicznym zrządzeniem losu rok wcześniej wyjadałam w upale owoce prosto z drzewa na jego

polu. Albo kobiety na przystanku, która opowie wszystko o swoich trzech córkach. Owszem, czasem przesadzę, tłumacząc z rozpędu w warzywniaku, po co mi pół kilo kurek. Nie każdy chce to wiedzieć. Choć na targu sprzedawcy czasem pytają, co będzie z tych ziemniaków. Najlepsze momenty.

Te małe, bezimienne kontakty, które oswajają świat. Ludzie z tła są kluczowi, choć często tego nie widać. Życzliwa kelnerka, dzięki której, gdy cię rozpozna, czujesz się jak w domu. Gość z warzywniaka w Jerozolimie, który pamięta, od ilu miesięcy tu jesteś, i upiera się, że sprzeda ci tylko to, co umiesz nazwać w jego języku. Piekarz z naprzeciwnika, ten od najlepszych rogalików z czekoladą, którego imienia nigdy nie poznałaś, ale nawet wiele lat po wyprowadzce promienieje na twój widok. I wiadomo, pan Darek na targu, który tak surowo recenzuje moje teksty, że czasem z obawy kupuję przyprawę gdzie indziej. Cała ta tkanka życia tworzona przez ludzi, którzy nie są nam niezbędni. Niby tylko mijani, ale ocieplają świat. Jesteś ważna dla kogoś obcego. Choćby na tyle, żeby droczył się, że nie sprzeda ci natki pietruszki.

Nie wszyscy jednak tak mają. „Zuziu, przeproś pana i idziemy” – mówił zirytowany znajomy, z którym wpadłam na szlaku na bardzo rozmownych turystów. Młodszy z nich opowiadał, jak przez trzydziestu laty był wolontariuszem w tym parku narodowym i co się zmieniło. Cholerka, no było to bardzo ciekawe. Nie chciałam nigdzie iść. „Powiedz do widzenia” – szarpnął mnie za rękę znajomy i wyprzedził naszych towarzyszy. Po czym dodał karcąco: „Czemu poświęcasz czas komuś, kogo nigdy więcej w życiu nie spotkamy?”. I to był koniec. Chyba wszelkie nasze wzajemne nadzieje wtedy prysły. Najwyraźniej nie potrzebowałam pandemii, by wiedzieć, że do bycia sobą potrzebne mi rozmowy z obcymi.

Po prawie roku widzę, jak bardzo pandemiczny dystans wykoślił z mojego życia tych wszystkich nie najważniejszych. Co bym dała za *small talk* na konferencji i luźne wino ze znajomymi ze szkolenia. Troszczymy się w tym dziwnym czasie o relacje fundamentalne. Świat się zacieśnił i pozbawieni jesteśmy przygodnych, przelotnych. Pozornie powierzchownych, a jak życiodajnych.

Dlatego, gdy znajomi rozmarzali się, co będzie pierwszą rzeczą, którą zrobią po pandemii – wino z przyjaciółmi czy lot samolotem (o, my naiwni!) – moja odpowiedź brzmiała: autostop. Wejście do samochodu kogoś obcego, konieczność rozmowy i brak dystansu. Odwrócenie wszystkiego, co teraz. ©

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Woli w Warszawie, w Wydziale I Cywilnym, pod sygnaturą akt I Ns 661/18 toczy się postępowanie z wniosku Miasta Stołecznego Warszawy o stwierdzenie nabycia spadku po Jolancie Mikołajczyk, c. Kajetana i Krystyny, ostatnio zwykle przebywającej w Warszawie przy ul. Górczewskiej 139 m. 22, ur. 30 stycznia 1954 r. w Płocku, zm. 6 maja 2012 r. w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili prawa do nabycia spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 195/20 postępowanie z wniosku wierzyciela Open Finance Wierzytelności Detalicznych Niestandaryzowany Sekurytyzacyjny Fundusz Inwestycyjny Zamknięty o stwierdzenie nabycia spadku po Sebastianie Błażejewskim, zm. 1 lipca 2019 r., ostatnio zamieszkałym w Woli Książęcej. Skład spadku po zmarłym nie jest znany.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.



Punkt testowania w Dreźnie, 2 lutego 2021 r.

BERLIN TRACI KONTROLĘ

Niemcy z mozołem wychodzą z drugiej fali epidemii.
Zmęczone obostrzeniami społeczeństwo traci zaufanie do rządzących.

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA (SAKSONIA, STREFA CZERWONA)

KARL LAUTERBACH OD LAT CIESZY SIĘ dużą rozpoznawalnością i zaufaniem niemieckiego społeczeństwa. Pojawia się w politycznych talk-shows zawsze wtedy, gdy mowa o służbie zdrowia. Rozpoznać go można po ascetycznych rysach twarzy, muszkach, które nosi zamiast krawatu, i po profesorskim, nieco nudnawym tonie wypowiedzi.

57-letni dziś Lauterbach pracował najpierw jako wirusolog, a dopiero później zaangażował się w politykę jako członek Socjaldemokratycznej Partii Niemiec (SPD). Od roku, obok tytułu najważniejszego eksperta od zdrowia ze świata polityki, ma też opinię przewodniego głosu w sprawach epidemii. Od jej pierwszych dni, na podstawie warsztatu naukowego, Lauterbach propaguje jak najtwardsze obostrzenia, które mają w maksymalny sposób zachęcić obywateli do unikania kontaktów społecznych.

Jeszcze do niedawna jego surowa, ale przecież oparta na danych ocena sytuacji należała w Niemczech do mainstreamu, który nie był kwestionowany przez większość społeczeństwa. Niemcy patrzyli na zagrożenie przez pryzmat nauki. Tani populizm i teorie spiskowe dotknęły względnie niewielką grupę społeczeństwa. Reszta posłusznie przyjęła utrudnienia i wprowadziła samoizolację i odstęp od swojej codziennej rutyny. To przynosiło dobre wyniki. W porównaniu do innych państw na kontynencie Niemcy miały mniej zakażeń i mniej zgonów. Żeby zobaczyć przepełnione do granic możliwości oddziały covidowe, trzeba było włączyć telewizor albo zajrzeć do gazet z informacjami z zagranicy.

Wszystko zmieniło się wraz z nadejściem drugiej fali. Jej wartki nurt podmył fundamenty niemieckiej polityki epidemicznej, zmącił poczucie społecznego samozadowolenia i uderzył w zaufanie do władz.

Lockdowny bezobjawowe

Od listopada 2020 r. niemieckie władze co kilka tygodni wprowadzają nowe obostrzenia. Pierwszy tzw. lockdown light dopuszczał otwarcie sklepów, ale w grudniu ogłoszono ich zamknięcie. Przed świętami ten sam los podzieliły szkoły i przedszkola. Od tego czasu kurs dodatkowo utwardzono.

Niemcy w lutym 2021 r. to – pod względem obowiązujących obostrzeń – ten sam kraj, co podczas pierwszej fali z wiosny

2020 r., ale z dodatkiem szeregu dodatkowych nakazów: w sklepach, biurach i środkach transportu publicznego trzeba nosić maseczki medyczne lub FFP2; zakazane są tam natomiast te materiałowe, szyte własnoręcznie. Każdy pracodawca, który ma taką możliwość, musi zapewnić pracownikom możliwość pracy z domu. W niektórych landach nie można poruszać się dalej niż 15 km od miejsca zamieszkania. W godzinach nocnych bez ważnego powodu nie wolno opuszczać domu. Spotykać można tylko jedną osobę.

W pierwszej połowie 2020 r. podobne restrykcje doprowadziły do masowej mobilizacji społecznej i w efekcie do względnie łagodnego przebiegu pandemii. Druga fala to masowa eksplozja zachorowań, pomimo coraz dłuższej liczby zakażeń. Przez większość grudnia i stycznia raportowano po 20-30 tys. nowych dobowych infekcji. Dopiero w lutym krzywa zakażeń zaczęła szybciej spadać, ale i tak w minioną środę, 3 lutego, przybyło 14 tys. nowych przypadków. Do dziś niemal codziennie na koronawirusa umiera w Niemczech blisko tysiąc osób. Łącznie liczba zmarłych z powodu COVID-19 przekroczyła już 60 tys. To wielki wzrost, biorąc pod uwagę, że 1 listopada 2020 r., w początkowej fazie drugiej fali, łączna liczba zgonów dopiero co przekroczyła 10 tys.

– Z epidemiologicznego punktu widzenia to było do przewidzenia – mówi Karl Lauterbach na spotkaniu z zagranicznymi dziennikarzami, w którym uczestniczył „Tygodnik”.

– W Niemczech mieszka bardzo dużo starszych osób – polityk-wirusolog podaje jeden z powodów. W istocie, na terenie całego kraju wirus skutecznie wdarł się do domów opieki nad seniorami. Temu zjawisku można było zapobiec, gdyby Niemcy stosowali się do zasad. Jednak analizy mobilności społeczeństwa wskazują, że mimo ostrzejszych przepisów ludzie przemieszczają się i spotykają o wiele chętniej niż w trakcie pierwszego lockdownu.

Niemieckie Bergamo

Wraz z nadejściem chłodniejszych dni epicentrum pandemii stała się Saksonia.

Jeszcze w pierwszych miesiącach epidemii ten graniczący z Polską land został zaledwie lekko muśnięty przez wirusa. Doskonale w porównaniu z innymi re-

gionami Niemiec wyniki nastawiły lekomyślnie do zagrożenia nie tylko ludność, ale i włodarzy. Premier landu Michael Kretschmer jesienią 2020 r. publicznie zastanawiał się, czy aby w walce z COVID-19 ważniejsza od odgórných obostrzeń nie powinna być osobista samodyscyplina.

Nie przewidział jednak, że tej ludzom może po prostu zabraknąć. Niefrasobliwe podejście spowodowało, że gdy druga fala zaczęła szaleć w krajach sąsiadujących z Saksonią, w Polsce i w Czechach, ich obywatele nadal swobodnie przyjeżdżali do otwartych restauracji u niemieckich sąsiadów czy na całonocne zakupy do Drezna, stolicy landu.

Wirus zaczął także rozróżniać poglądy polityczne. W Saksonii wysokim poparciem cieszy się Alternatywa dla Niemiec (AfD). Ta populistyczna partia przez lata budowała poparcie głównie na antyimigranckich hasłach. W czasie pandemii na pierwszy plan wysunęły się jednak hasła koronaseptyczne, nawołujące do zniesienia wszelkich obostrzeń. Zestawienie miast szczególnie dotkniętych przez drugą falę z wynikami wyborczymi nie pozostawia wątpliwości. Najwięcej zakażeń odnotowywano w politycznych twierdzach AfD: w Budziszynie, w regionie Saskiej Szwajcarii i w Rudawach.

Masowe podważanie zagrożenia szczególnie na prowincji doprowadziło do lokalnej katastrofy. O ile 1 listopada 2020 r. Saksonia notowała łącznie tylko lekko ponad 300 ofiar śmiertelnych wirusa, o tyle trzy miesiące później liczba zgonów przekroczyła 6 tys.

Zmarłych na koronawirusa było tak dużo, że miejskie krematorium w Dreźnie nie tylko musiało składować trumny w użyczonych przez ratusz halach, ale i w poszukiwaniu wolnych miejsc rozłożyć ciała do skremowania do miejsc oddalonych o setki kilometrów.

W tym samym czasie na mapie Niemiec, bądź co bądź największego państwa Unii Europejskiej, pojawiły się także miejsca, które dzięki dyscyplinie zasłużyły sobie na miano cold spotów, miejsc o wyjątkowo niskiej liczbie nowych infekcji. Do największych z nich należy Rostock – dwustutysięczne miasto blisko Morza Bałtyckiego. Tam w walce z covidem pomaga mniejsza w skali kraju gęstość zaludnienia i typowa dla regionu mentalność. Na północy Niemiec utrzymywanie odstępów, rezerwa i brak

→ potrzeby okazywania sobie nadmiernych czułości to wielowiekowa tradycja, a nie tymczasowe nakazy epidemiczne.

Nawyki to jednak nie wszystko. Za ojca covidowego sukcesu powszechnie uznawany jest burmistrz Rostocka, 48-letni Claus Ruhe Madsen: z jednej strony stawia on na bezwzględne egzekwowanie przepisów sanitarnych, a z drugiej najchętniej już teraz otworzyłby szkoły, sklepy i restauracje [rozmowę o sytuacji w Rostocku publikujemy na s. 45].

Różnice w regionach

Te różnorodne uwarunkowania regionalne stają się w Niemczech jednym z większych wyzwań w dalszym zarządzaniu kryzysowym. Na 15 lutego zapowiedziano możliwą zmianę pandemicznego kursu. Ostateczna decyzja zapadnie po spotkaniu kanclerz Angeli Merkel z premierami wszystkich 16 landów.

Jak dotąd kanclerz Merkel podczas każdego z takich poprzednich spotkań musiała przekonywać premierów landowych do przyjmowania jednolitych przepisów, bo w federalnych Niemczech to do krajów związkowych należy ostatecznie słowo w sprawach zdrowotnych.

Niepisana tradycja stało się już, że po ogłoszeniu wspólnych ogólnokrajowych wytycznych przez Angelę Merkel premierzy landów szybko zmieniali zdanie i modyfikowali przepisy wedle lokalnych potrzeb. Tym razem chaos może przyjąć nie spotykane dotąd rozmiary. Gdy Turynia już samodzielnie przedłużyła twardy lockdown na kolejne tygodnie, sąsiednia Saksonia chce koniecznie otwierać szkoły i przedszkola. Z kolei w pobliskiej Bawarii szkoły i ich uczniowie protestują przeciw ich otwieraniu.

W ocenie sytuacji Karl Lauterbach trzyma się przede wszystkim naukowych faktów. W szczególności najnowsze wiadomości z brytyjskich laboratoriów budzą jego niepokój: – Żeby przeciwstawić się mutacjom wirusa, być może trzeba będzie jeszcze bardziej wzmocnić obostrzenia – mówi.

Wiadomo, że „brytyjskie” i „południowoafrykańskie” mutacje, które są znacznie bardziej zaraźliwe, już od tygodni rozprzestrzeniają się także na terenie Niemiec. Z szacunków Lauterbacha wynika, że nowe mutacje odpowiadają już za ponad 10 proc. dobowych infekcji w kraju. – Wszystko będzie zależało od tego, czy uda nam się te mutacje po-

Kanclerz Merkel obiecuje,
że do końca lata każdy
obywatel będzie się mógł
zaszczepić.

**Na razie szczepionek
jest wciąż za mało.**

wstrzymać poprzez punktowe ich wykrywanie oraz dzięki poprawie pogody – mówi.

Kryzys zaufania

Karl Lauterbach nie pełni żadnej znaczącej funkcji, może więc bez obaw o swoją popularność wskazywać na nowe zagrożenia i nawoływać do dalszej ostrożności. Może mniej zważać, jak odbije się to na jego słupkach poparcia.

Większość polityków jednak czuje już presję nadchodzących wyborów do Bundestagu, rozpisanych na wrzesień. W swoich decyzjach muszą uwzględnić, jak potwornie zmęczeni obostrzeniami są mieszkańcy Niemiec. „Obserwujemy spadek zaufania – przekonuje w wywiadzie dla dziennika „Die Welt” prof. Cornelia Betsch, która bada nastroje społeczne w czasie epidemii. – Ludzie mówią: »Już dłużej nie mogę, już dłużej nie chcę« – twierdzi Betsch i wskazuje na poczucie obciążenia lockdownem, które w największym stopniu, bo w 70 proc., dotyczy ludzi poniżej 30. roku życia.

Frustracja narasta także wśród rodziców, którzy muszą opiekować się dziećmi z powodu zamkniętych szkół i przedszkoli. Sytuację w gospodarce ratują setki miliardów euro z państwowej kasy. Dzięki nim pracownicy nie są zwalniani, ale wysyłani na dobrze opłacane postojowe. Restauracjom czy hotelom nie grozi jeszcze bankructwo, bo co miesiąc dostają ekwiwalent stałych kosztów.

Ale i tak nastroje są fatalne i pierwsze branże, jak np. usługi fitness, grożą otwarciem bez względu na kolejne decyzje polityków. W internecie walczą ze sobą koronaseptycy nawołujący do natychmiastowego otwarcia wszystkich sektorów z inną skrajną frakcją spod znaku „zero covid”. To grupa widząca rozwiązanie problemu w zbluciu infekcji do zera. Jej zwolennicy postulują wstrzymanie (na krótki czas) całej gospodarki i zamknięcie biur.

Szczepionkowy blamaż

Na te wszystkie niepokoje nakłada się szczepionkowy blamaż.

Rząd najpierw reklamował start szczepień jako gwiazdkowy prezent, aby później przyznać, że po pierwszej serii dostaw, ze względu na deklarowane przez producenta problemy, na większą liczbę szczepionek trzeba będzie poczekać przynajmniej do drugiego kwartału 2021 r.

To problem wspólny dla całej Unii, ale Niemcy nie mogą przeboleć, że nawet w skali kontynentu są poniżej średniej. W minionym tygodniu w liczbie wykonanych już szczepień od Niemiec (gdzie było 3,09 zaszczepionych na 100 mieszkańców) nieznacznie lepiej radzi sobie m.in. Polska (3,25). Wśród krajów Europy prym wiedzie tu bezwzględnie Wielka Brytania, gdzie do końca stycznia pierwszą dawką zaszczepiono już kilkanaście procent populacji, a w sobotę 30 stycznia padł rekord: tego dnia zaszczepiono prawie 600 tys. Brytyjczyków. O takich liczbach inne kraje, w tym Niemcy, mogą tylko pomarzyć.

W badaniu przeprowadzonym przez magazyn „Der Spiegel” 70 proc. Niemców jest niezadowolonych ze startu szczepień. Rządzący starali się ratować sytuację, zwołując z początkiem lutego specjalny szczyt szczepionkowy. Skończyło się mało spektakularnie: po szczycie Niemcy usłyszeli od ministra zdrowia Jensa Spahna tylko tyle, że kraj czekają „trudne tygodnie niedoboru”, a od kanclerz Merkel, że każdy obywatel otrzyma ofertę zaszczepienia się do końca lata.

Ostatnia obietnica Angeli Merkel

Rzucona chyba dość pochopnie obietnica ta bardziej rozbawiła i rozjuszyła obywateli, niż ich uspokoiła. Składając ją, Merkel sporo zaryzykowała: w końcu to być może ostatnia wielka obietnica złożona przez nią obywatelom – we wrześniu odchodzi z urzędu kanclerza. Jeśli jej nie dotrzyma, może się to położyć cieniem na sposobie, w jaki przejdzie do historii.

– Jestem przekonany, że najbliższe dwa-trzy miesiące to będą najtrudniejsze miesiące pandemii – uważa Karl Lauterbach. Jako naukowiec najbardziej niepokoją go mutacje wirusa. Aby je powstrzymać, potrzebne są zaufanie, cierpliwość i dyscyplina społeczna. Ich brak jest tak samo groźny jak niedobory szczepionki.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI



CLAUS RUHE MADSEN, 48-letni duński przedsiębiorca urodzony w Kopenhadze, od trzech dekad mieszka w Niemczech. Pierwszy raz zrobiło się o nim głośno, gdy w 2019 r. jako bezpartyjny kandydat wygrał wybory na burmistrza Rostocku. Tym samym stał się pierwszym obcokrajowcem pełniącym tę funkcję w dużym mieście niemieckim. Dziś Madsen uważany jest za antycovidowego szeryfa.

Do 3 lutego 2021 r. w tym dwustutysięcznym mieście na COVID-19 zmarło tylko 16 osób; na początku lutego notowano kilkanaście nowych infekcji dziennie. Gdy większość Niemiec wciąż z trudem radzi sobie z drugą falą epidemii, sytuacja w Rostocku wydaje się być pod kontrolą. „Tygodnik” zapytał Madsena o receptę na sukces jego miasta.

Musimy dodać ludziom odwagi

CLAUS RUHE MADSEN:

Szybkie działanie, dobra komunikacja z obywatelami i partnerskie podejście to elementy naszego sukcesu.

ŁUKASZ GRAJEWSKI: Na czym polega główna przyczyna sukcesów, jakie Rostock odnosi w walce z koronawirusem?

CLAUS RUHE MADSEN: Istnieje kilka hipotez. Oprócz położenia geograficznego i struktury ludności w naszym landzie, Meklemburgii-Pomorzu Przednim, decydujące znaczenie miało bardzo szybkie i konsekwentne działanie na początku pierwszej fali, w połowie marca 2020 r. Już wtedy, przy zaledwie czterech wykrytych infekcjach w naszym mieście, zdecydowaliśmy się odwołać imprezy masowe i zamknąć szkoły oraz przedszkola. Pracownikom administracji umożliwiliśmy pracę zdalną. Nasze obostrzenia zaczęły obowiązywać od czterech do sześciu tygodni wcześniej niż w południowych regionach Niemiec, które w tym czasie były znacznie bardziej dotknięte przez koronawirusa.

Od początku potrafiliśmy lokalizować źródła zakażeń oraz śledzić kon-

takty zakażonych i jesteśmy w stanie tak postępować do dziś. Tak więc prawdopodobnie nie doszło u nas do prawie żadnego ukrytego rozprzestrzeniania się wirusa. Od początku wzmacniamy i wspieramy personel naszego wydziału ds. zdrowia [odpowiednik polskiego sanepidu – red.].

Na jaką taktykę zdecydowały się władze Rostocka w okresie letnim?

Mieszkańki i mieszkańcy Rostocka, ale także turyści przybywający do nas w sezonie wakacyjnym, przestrzegali zasad i obostrzeń. Kontrolowaliśmy to, ale jako partnerzy, którzy wyjaśniają, a nie jako władza państwowa. To właśnie komunikacja i partnerskie podejście są częścią sukcesu.

Jakie dodatkowe środki postanowiło podjąć miasto Rostock w związku z drugą falą pandemii, czyli od listopada 2020 r.?

Już w trakcie pierwszej fali zaczęły zmieniać się kanały komunikacji i sposoby podejmowania decyzji. My, to znaczy miasta i powiaty, zostaliśmy bardziej zaangażowani w proces decyzyjny na szczeblu landowym. Dzięki temu mogliśmy zgłaszać sugestie i propozycje przed podjęciem jakichkolwiek decyzji. I za to dziękuję rządowi landowemu.

Podczas drugiej fali najważniejsze było wdrożenie tego, co zostało ustalone, oraz dostosowanie reguł do konkretnej sytuacji w naszym mieście. Również w tym przypadku zrobiliśmy to szybko i konsekwentnie, np. przez wydzielenie miejsc, w których należy zakrywać usta i nos, choć sytuacja w Rostocku była wtedy nadal dość dobra.

Ogólnie rzecz biorąc, cieszymy się, że do tej pory tylko raz przekroczyliśmy granicę 50 zakażeń liczonych w ostatnich siedmiu dniach na 100 tys. mieszkańców [w niektórych powiatach Saksonii i Turynii wskaźnik ten sięga 350 – red.]. Wiemy jednak, że sytuacja może zmienić się z dnia na dzień. Jak na razie uniknęliśmy masowych problemów w domach opieki i domach spokojnej starości. Być może dopisuje nam szczęście, ale to na pewno także wynik konsekwentnego działania wszystkich zaangażowanych osób. Mam nadzieję, że w miarę postępu szczepień uda nam się zapewnić więcej bezpieczeństwa.

Czy 15 lutego w Niemczech powinno dojść do zniesienia części obostrzeń? Jeśli tak, to jakie sektory Pana zdaniem powinny zostać otwarte?

Opowiadam się za jasno określonym planem wyjścia z lockdownu. Musimy ponownie dodać ludziom odwagi. Musimy dopuścić konkretne warunki sanitarne, ponieważ o wiele bezpieczniej jest obchodzić urodziny w restauracji, zgodnie z ustalonymi zasadami, niż gdzieś w ukryciu, np. w garażu. Powiedziałbym tak trochę metaforycznie, że obecne przepisy doprowadziły do wyłączenia światła. Nie wiemy teraz, co dzieje się w domowych czterech ścianach.

Również gdy idzie o szkoły i przedszkola, udało nam się w ostatnich miesiącach zebrać wiele doświadczeń. Młodzi ludzie szczególnie potrzebują kontaktu z rówieśnikami. Musimy o tym pamiętać i wziąć to pod uwagę.

© ROZMAWIAŁ ŁUKASZ GRAJEWSKI



ONNE RORIZ / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Bliscy chorych na COVID-19 czekają w kolejce na uzupełnienie butli z tlenem; ponieważ w szpitalach brakuje tlenu, krewni próbują załatwić go na własną rękę. Manaus, 17 grudnia 2020 r.

Manaus traci oddech

MAGDALENA BARTCZAK
Z SANTIAGO DE CHILE

Brazylia, której prezydent wciąż bagatelizuje epidemię, jest drugim państwem świata o największej liczbie jej ofiar. Ostatnio szczególnie dotknięta jest znów Amazonia.

TĘ WIADOMOŚCI SPODZIEWANO SIĘ od dawna. A co najmniej od końca grudnia, gdy druga fala pandemii zaczęła w Ameryce Południowej przybierać na sile. Karnawału w Rio de Janeiro nie będzie. To bezprecedensowa sytuacja w dziejach hucznej i uwielbianej przez Brazylijczyków imprezy, która corocznie ściąga do „cudownego miasta” kilka milionów ludzi. W jej ponad 180-letniej historii do tej pory tylko raz przesunięto termin świętowania na inny miesiąc: w 1912 r., w związku ze śmiercią Baróna del Río Branco, cenionego polityka i patrona brazylijskiej dyplomacji.

Na takie właśnie rozwiązanie zdecydowały się początkowo lokalne władze: przenieśli celebrazję z lutego na lipiec tego roku, mając nadzieję, że do tego czasu pandemia wyhamuje. Jednak pod koniec stycznia, w obliczu dramatycznie pogarszającej się sytuacji w kraju, karnawałowe obchody odwołano definitywnie.

O decyzji poinformował na Twitterze burmistrz Rio de Janeiro, Eduardo Paes: „Nigdy nie ukrywałem swojej wielkiej miłości do karnawału i mam świadomość jego ekonomicznego znaczenia dla rozwoju naszego miasta. W aktualnej jednak sytuacji nie wyobrażam sobie, abyśmy mogli myśleć o zorganizowaniu tej imprezy w lipcu tego roku. Drodzy *cariocas* [mieszkańcy Rio – red.], karnawał się nie odbędzie”.

Vila Formosa

Stan Rio de Janeiro jest drugim najbardziej dotkniętym przez pandemię miejscem w kraju. Pierwszym pozostaje stan São Paulo, gdzie w ostatni dzień ostatniego karnawału, 25 lutego 2020 r., potwierdzono pierwszy przypadek zakażenia SARS-CoV-2 w Brazylii. Znajduje się tu cmentarz, który stał się symbolem dla koronawirusowego dramatu: Vila Formosa (dosł. Piękne Miasto). Największa nekropolia Ameryki Łacińskiej, na której od dłuższego już czasu coraz trudniej o miejsca na nowe groby.

Pod koniec stycznia na Vila Formosa spoczęła jedna z tych ofiar COVID-19, o której zrobiło się głośno w całym kraju: 22-letnia influencerka Ygona Moura. Kobieta zdobyła wątpliwej natury sławę za sprawą negacjonistycznego podejścia do pandemii. W mediach społecznościowych wyśmiewała osoby noszące maseczki, namawiała do bujnego życia towarzyskiego i zapraszała tysiące fanów do udziału w nielegalnych imprezach. Sama zakaziła się 16 stycznia, wkrótce później trafiła na intensywną terapię, po tygodniu zapadła w śpiączkę, a 27 stycznia zmarła.

Był to jeden z najczarniejszych dni w ostatnich tygodniach: w Brazylii zakazano się wówczas niemal 64 tys. osób, a 1319 zmarło. Łącznie od początku epidemii w całym kraju zainfekowało się ponad 9,3 mln ludzi, zmarło ponad 227 tys.

Choć te liczby już same w sobie wyglądają bardzo źle, czyniąc Brazylię drugim najmocniej dotkniętym przez pandemię państwem na świecie po Stanach Zjednoczonych (gdzie zmarło już pod 450 tys. ludzi), to wielu Brazylijczyków uważa, że statystyki nie do końca odpowiadają rzeczywistości. Na przykład tej, którą żyją mieszkańcy Amazonii.

Złudzenie bezpieczeństwa

– Myśleliśmy, że najgorsze mamy za sobą. Że jeśli liczba zakażeń znów wzrośnie, to tym razem będziemy lepiej przygotowani

– mówi mi Uildéia Galvão, lekarka pracująca na oddziale covidowym w jednym z kilku szpitali publicznych w Manaus, stolicy stanu Amazonas.

Dwumilionowe miasto położone w sercu lasów deszczowych mocno ucierpiało w pierwszych miesiącach pandemii, szczególnie w kwietniu i maju 2020 r. System opieki zdrowotnej wówczas się załamał, przez wiele tygodni brakowało tlenu i łóżek dla nowych pacjentów. Uildéia dobrze pamięta decyzję swojego ordynatora, aby nie przyjmować już nowych osób z objawami COVID-19. Pamięta też panującą bezsilność. Chorzy przestawali dzwonić po pomoc; pozostawali we własnych domach i nierzadko w nich umierali.

Dlatego w lipcu, gdy wskaźniki zakażeń zaczęły spadać i liczby zgonów wracały do tych sprzed najgorszych dni pandemii, pracownicy szpitali w Manaus zaczęli – już na chłodno – przygotowywać się na nadejście drugiej fali. Uildéia Galvão mówi, że w ich szpitalu opracowali plan awaryjny: stworzyli szczegółowy harmonogram działania na okoliczność ponownego wzrostu zakażeń i zamówili trochę dodatkowych łóżek.

Wielu medyków uspokoił raport, który we wrześniu opublikowali badacze z uniwersytetu w São Paulo: oszacowali, że w Manaus wirusem SARS-CoV-2 zakażyło się już nawet 76 proc. mieszkańców – i stwierdzili, że miasto jest w tym sensie bezpieczne, gdyż uzyskało tzw. odporność stałą. Tę tezę powtórzono na początku grudnia na łamach prestiżowego magazynu naukowego „Science”. Brazylijska prasa błyskawicznie podchwyciła temat. Zaczęto pisać o Manaus jako o „mieście, które pokonało pandemię”.

Wkrótce później jedna ze współautorów raportu, infektolożka Ester Sabino, przyznała, że jego publikacja była błędem. Przed Bożym Narodzeniem druga fala uderzyła w brazylijską Amazonię z jeszcze większą, niespotykaną dotąd siłą.

Uderzenie mutanty

– Druga fala kompletnie nas przerosła. Zakażenia stały się dużo częstsze niż te w okresie wiosennym. Wirus był dużo szybszy i mocniejszy. O ile wcześniej nasz szpital zapelniał się zakażonymi pacjentami w ciągu dwóch tygodni, teraz trwało to krócej. Łóżek dla chorych zabrakło w ciągu jednej doby – opowiada mi Galvão.

Trudny do opanowania wybuch zakażeń ma związek z nowym wariantem wirusa, określanym jako P-1 lub B.1.1.248. Ten nieznany wcześniej typ patogenu pojawił się w Manaus najpewniej w połowie grudnia, niedługo po optymistycznej publikacji w „Science”. Według niektórych medyków stanowi kombinację pozostałych mutacji SARS-CoV-2 i ma wyjątkowo ostry charakter: ma być nie tylko silnie zaraźliwy, ale odporny na przeciwciała wytworzone po zakażeniu wcześniejszymi mutacjami. To sprawia, że nawet „miasto, które pokonało pandemię”, nie jest bezpieczne. Przeciwnie: do szpitala, gdzie pracuje Galvão, trafia wielu ozdrowieńców, którym parę miesięcy wcześniej udało się pokonać chorobę.

Galvão: – Choć mieliśmy za sobą traumatyczne doświadczenia z wiosny, aktualna sytuacja była dla nas ogromnym zaskoczeniem. Dostępu do respiratorów w całym mieście zabrakło w ciągu paru dni. Nadal brakuje tlenu. Dziesiątki osób, które nie mogą uzyskać opieki w szpitalu, umierają w domach. Ludzie wędrują po mieście w poszukiwaniu pomocy dla bliskich, ale niewiele można zrobić. Ta bezsilność nie ma końca.

Sytuacja jest o tyle dramatyczna, że szpitalna infrastruktura jest w Manaus bardzo skromna, a miasto jest odizolowane od reszty kraju – sprawne dostarczenie pomocy z zewnątrz pozostaje więc wyzwaniem. Największe miasto Amazonii jest otoczone przez dżunglę i szybko tu dotrzeć lub się stąd wydostać można tylko samolotem. Najbliżej położonym ośrodkiem miejskim, dokąd wojsko przenosi setki zakażonych, jest Brasilia, stolica kraju, położona o trzy godziny lotu od Manaus.

Zaniechania i błędy

W czasie, gdy kolejne szpitale w stolicy zaczęły szukać miejsc dla chorych z Manaus, Biuro Prokuratora Generalnego przygotowało akt oskarżenia wobec ministra zdrowia, Eduarda Pazuela. Dokument ujrzał światło dzienne 29 stycznia i został przyjęty przez Trybunał Stanu, który zatwierdził otwarcie procesu.

Generała Pazuela oskarża się o nieudolne przeciwdziałanie kryzysowi sanitarnemu w kraju, głównie właśnie w Manaus. Określa się go winnym całkowitego załamania się systemu, nieprzygotowania miasta na kolejny wzrost zakażeń i spóźnionego działania w obliczu

pojawienia się nowego typu wirusa w regionie.

Urzędujący od września 2020 r. minister nie jest jedynym politykiem oskarżanym o błędy i zaniechania. Najwięcej zarzutów wzbudza niezmiennie postać prezydenta Jaira Bolsonaro, który wciąż bagatelizuje epidemiczne zagrożenie i krytycznie podchodzi do szczepień, które jeszcze się w Brazylii na dobre nie zaczęły.

Coraz powszechniej mówi się o konieczności odsunięcia go od władzy na drodze impeachmentu. „Nie sposób dołącznie określić, ilu śmierci udałoby się uniknąć, gdyby działania rządu Bolsonaro nie sprzyjały aż tak bardzo transmisji wirusa. Ale uzasadnione jest stwierdzenie, że gdyby – nie bójmy się tak to nazwać – rządowy projekt rozsiewania COVID-19 w społeczeństwie, z pewnością wiele osób nie straciłoby swoich matek, ojców, braci i dzieci” – podkreśla z gorzką ironią na łamach „El País” Eliane Brum.

Negacja systemowa

Brazylijska dziennikarka omawia głośny raport podsumowujący decyzje prezydenta na przestrzeni niemal 11 miesięcy: od marca do początku stycznia. Kilkunastostronicowy dokument przygotowały wspólnie centrum badawcze z Wydziału Zdrowia Publicznego na Uniwersytecie São Paulo i organizacja Conectas Direitos Humanos, zajmująca się prawami człowieka. Znajdziemy w nim szczegółowy opis chaotycznych działań głowy państwa, jego konfliktów z kolejnymi ministrami zdrowia i systemowej walki z lokalnymi władzami, które wbrew niemu wprowadzały obostrzenia na własną rękę. Raport przywołuje też regularne wypowiedzi Bolsonaro, nawołujące do nieprzestrzegania restrykcji i wpływające na społeczne postrzeganie wirusa jako niegroźnego, co w istotny sposób miało przyczynić się i nadal się przyczynia do masowego wzrostu zakażeń.

Jedną z autorek raportu, profesor etyki medycznej Deisy Ventura, pisze wprost: „Ponad 200 tysięcy zgonów, którym dzięki odpowiednim decyzjom można było zapobiec, stanowi bezprecedensowe naruszenie prawa do życia i zdrowia Brazylijczyków. Pilna i nieodczłonna jest dyskusja o tym, czy podczas kolejnych miesięcy pandemii nie popełniono w Brazylii masowej zbrodni przeciwko zdrowiu publicznemu. I zbrodni przeciwko ludzkości”.

©

Gry szczepionką

MARCIN ŻYŁA

„Nikt nie jest do końca bezpieczny, dopóki bezpieczni nie są wszyscy” – powtarzają epidemiolodzy. W walce o zrównoważony dostęp do szczepień przeciw COVID-19 stawka jest jednak o wiele wyższa.

NIEWIELE TEKSTÓW O PANDEMII ZESTARZAŁO SIĘ RÓWNIĘ SZYBKO, JAK PEAN NA CZEŚĆ UNII EUROPEJSKIEJ, KTÓRY W LISTOPADZIE 2020 R. UKAZAŁ SIĘ W „THE WORLD IN 2021”, SPECJALNYM WYDANIU TYGODNIKA „THE ECONOMIST”.

„Pewne kraje postrzegają starania o szczepionkę jako wyścig między mocarstwami, podobny do tego z lat 60. XX w. o dominację w kosmosie – pisała w nim Ursula von der Leyen, przewodnicząca Komisji Europejskiej. – To ułuda. Ścigamy się wyłącznie z wirusem oraz z czasem, wszyscy razem. Najlepsza strategia to współpraca, podstawa polityki Unii od początku kryzysu”.

Artykuł ten, zatytułowany „Drużyna Europa gra dla świata”, dziś wydaje się pochodzić z innej epoki. W rywalizacji o dostęp do szczepionek w Unii – podobnie jak u innych dużych graczy – nie widać solidarności z resztą globu; opóźnienia w dostawach powodują coraz silniejsze napięcia. Gdzie indziej eksport preparatów staje się dla państw sposobem na zwiększenie wpływów. A w tle tych wydarzeń jest ważne pytanie: o to, czy nierówności w dystrybucji mogą wydłużyć pandemię.

Lepiej, ale źle

Najpierw dobre informacje. Według portalu ourworldindata.org na początku lutego dawkę szczepionki przeciw COVID-19 przyjmowało codziennie ok. 3,5 mln ludzi na świecie. Liczba ta stale rośnie. W Unii można już stosować trzy preparaty (Pfizer/BioNTech, Mo-

derma i AstraZeneca), kolejne przechodzą testy kliniczne. „Gdyby zapytano mnie o to rok temu, odpowiedziałbym, że wynalezienie szczepionki zajmie od roku do dwóch, i na pewno nie założylbym, że będzie miała 90-procentową skuteczność” – mówi Liam Smeeth, epidemiolog z London School of Hygiene and Tropical Medicine, w rozmowie z czasopismem medycznym „The Lancet”.

Jest więc lepiej, niż przewidywano. Pierwsza akcja szczepienia dorosłych z całego świata ruszyła stosunkowo szybko. Jeśli jej skuteczności nie obniżą identyfikowane co pewien czas nowe warianty koronawirusa SARS-CoV-2, do końca tego roku znacznie zmniejszy ona liczbę ciężkich przypadków COVID-19, odciążając systemy ochrony zdrowia.

Na tym dobre newsy się kończą, gdyż świat zabezpiecza się przed chorobą w bardzo nierównym tempie. Do miniołej środy tylko Izrael, Zjednoczone Emiraty Arabskie i Seszele zaszczepiły pierwszą dawką więcej niż jedną piątą swojej populacji. Jesienią ma być już zaszczepiony każdy dorosły Brytyjczyk, a kanclerz Angela Merkel obiecała w minionym tygodniu, że do końca lata zaszczepić będzie mógł się każdy chętny Niemiec [o sytuacji w Niemczech patrz tekst na str. 42 – red.].

Jednak wiele innych krajów musi poczekać co najmniej do przyszłego roku. Dostępnych dawek jest wciąż za mało, a długą listę problemów z dystrybucją zaczynają pieniądze i polityka, kończą

zaś – dostępność zamrażarek i szklanych fiolek.

W szachu

Zła wiadomość brzmi: COVID-19 na długie lata może pozostać chorobą ubogich. Alarm podnosi szef Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) Tedros Adhanom. „Świat stoi na krawędzi katastrofalnej porażki moralnej, a cena tej porażki zostanie zapłacona życiem ludzi w najbardziej ubogich krajach świata” – ostrzegł w styczniu. Adhanom oskarżył zamożne państwa o egoizm i wezwał je, aby po zaszczepieniu swoich grup ryzyka – seniorów, chorych i pracowników służby zdrowia – przepuścili w kolejce kraje uboższe.

Kłopot w tym, że zamożniejsi kłócą się na razie między sobą. „Szczepionkowy nacjonalizm” ujawnił się na najczulszym unijnym pograniczu – w Irlandii. 29 stycznia Komisja Europejska nieoczekiwanie zapowiedziała zastosowanie artykułu 16. tzw. protokołu irlandzkiego, części porozumienia brexitowego z Wielką Brytanią, który umożliwia Brukseli przywrócenie kontroli granicznych między Republiką Irlandii a brytyjską częścią irlandzkiej wyspy. Kilkanaście godzin później – skrytykowana równo przez Brytyjczyków i państwa członkowskie – Komisja wycofała się z tej decyzji, ale zaciętość, z jaką obie strony wystąpiły przeciw sobie, to zły prognostyk.

A poszło właśnie o szczepionki: gdy brytyjsko-szwedzki koncern AstraZeneca i niemiecko-amerykański produ-



Załadunek chińskich szczepionek przed ich dystrybucją. Indonezja, 13 stycznia 2021 r.

cent Pfizer/BioNTech zapowiedziały, że problemy z produkcją spowodują opóźnienie dostaw, Unia ostrzegła, że rozważa zakaz eksportu zapasów szczepionki produkowanych na jej terenie.

Bruksela i Londyn trzymają się tu nawzajem w szachu: AstraZeneca produkuje głównie w Wielkiej Brytanii, choć swoją fabrykę ma także w Irlandii (wspomniane wyżej unijne kontrole graniczne miałyby uniemożliwić transport szczepionek z irlandzkiej fabryki do Wielkiej Brytanii poprzez Irlandię Północną). Z kolei dostawy szczepionki Pfizer/BioNTech na Wyspy Brytyjskie pochodzą z fabryki w Belgii.

Nie tylko dla ubogich

Kraje o niższych dochodach nie dysponują takimi kartami przetargowymi. Muszą polegać na współtworzonej przez WHO koalicji zakupowej (pod nazwą COVAX), która zapłaciła za pół miliarda dawek i obiecała równy do nich dostęp. Pierwsze dostawy preparatu na licencji AstraZeneca, przeznaczonego głównie dla krajów Afryki, opuściły już zakład w Indiach.

COVAX wymyślono z głową. W pierwszej fazie dystrybucji ma zostać zaszczepionych 20 proc. dorosłej populacji najuboższych krajów, w tym grupy ryzyka. Później mechanizm pomoże państwom najbardziej dotkniętym przez epidemię, o niewydolnym systemie opieki zdrowotnej i tym, gdzie na ryzyko zakażenia narażone są całe grupy społeczne. Zaplanowano też tzw. rezerwę humanitarną: nawet 5 proc. dawek będzie zarezerwowane m.in. dla uchodźców i azylantów.

Już jesienią COVAX zaczął przygotowywać się do szczepionkowych konfliktów. „Stworzyliśmy zdywersyfikowany system produkcji. Żadna z naszych szczepionek nie powstaje w jednym regionie, na wypadek gdyby wprowadzono ograniczenia eksportu” – mówił wtedy portalowi „Politico” Jim Robinson, odpowiadający w koalicji za strategię produkcji.

„Drużyna Europa” – jak lubi Unię określać Ursula von der Leyen – wpłaciła na COVAX pół miliarda euro. Tym, że 400 mln z tej kwoty to pożyczka z Europejskiego Banku Inwestycyjnego, Bruksela już się nie chwali. Z systemu stworzonego z myślą o państwach ubogich korzystają też zamożne Nowa Zelandia, Singapur i Kanada (która jeszcze jesienią samodzielnie kupiła awansem po 10 dawek na

obywatela). „Podjęliśmy tę decyzję, ponieważ wiemy, jak ważne jest, aby wszyscy Kanadyjczycy mieli dostęp do szczepionek” – tłumaczyła się kanadyjska minister rozwoju międzynarodowego Karina Gould. Łagodząc kontrowersje, premier Justin Trudeau obiecał, że po zaszczepieniu wszystkich dorosłych obywateli jego kraj podzieli się nadwyżką z innymi.

Leczenie za pozwoleniem

Nigdzie pytanie o trudne sąsiedztwo nie wybrzmiewa tak, jak w Izraelu – państwie, które szczepi najszybciej w świecie. Także Palestyńczyków – jednak tylko tych z izraelskim obywatelstwem i tych mieszkających we wschodniej Jerozolimie.

Na terytoriach okupowanych szczepienia jeszcze się nie zaczęły. Izrael powołuje się na układ z Oslo z 1993 r., zgodnie z którym ochrona zdrowia na Zachodnim Brzegu Jordanu i w Strefie Gazy leży w gestii Autonomii Palestyńskiej. Palestyńczycy odpowiadają, że umowa z Oslo zobowiązuje również oba kraje do współpracy w czasie ewentualnej epidemii – a poza tym pierwszeństwo nad nią ma konwencja genewska, która obliżyje władze okupacyjne do opieki nad miejscową ludnością. Izrael jednak nie uznaje się za siłę okupacyjną – i koło się zamyka.

Nawet gdyby obie strony doszły do zgody, przeszkodą będzie sytuacja w terenie. Choć Autonomia Palestyńska ma ministerstwo zdrowia, jej granice kontroluje Izrael – powołując się na zagrożenie bezpieczeństwa zakazuje nawet wwozu tomografów i sprzętu do radioterapii.

Przed epidemią na samo tylko leczenie nowotworów u Palestyńczyków Izrael wydawał ok. 3 tys. pozwoleń miesięcznie. Wciąż też odpowiada za ewidencję ludności na terytoriach palestyńskich – bez jego pomocy masowe szczepienia są właściwie niemożliwe.

Mimo surowej retoryki premiera Beniamina Netanjahu – który liczy, że szybkie szczepienia zapewnią mu sukces w marcowych wyborach – jest szansa na wyjście z pata. W miniony czwartek do Autonomii Palestyńskiej dotarło 10 tys. dawek rosyjskiego preparatu Sputnik V. Kilka dni wcześniej Izrael zgodził się przekazać 5 tys. szczepionek pracownikom palestyńskiej służby zdrowia. Izraelscy epidemiolodzy przypominają, że codziennie 100 tys. Palestyńczyków przyjeżdża do pracy w tym kraju, a pół miliona żydowskich osadników mieszka na Zachodnim Brzegu (ci są szczepieni przez Izrael). Częste kontakty izraelsko-palestyńskie sprawiają, że utrudniając szczepienia Palestyńczykom, zwiększa się ryzyko nowych lokalnych ognisk epidemii wśród Izraelczyków.

Nie, dziękujemy

„Szczepionki są niebezpieczne. Jeśli biali są w stanie je rzeczywiście wyprodukować, dlaczego nie powstały jeszcze szczepionki przeciw AIDS, gruźlicy, malarii czy nowotworom?” – pytał kilka dni temu prezydent Tanzanii John Magufuli, w tym krótkim zdaniu mieszając uprzedzenia i niewiedzę. Od początku pandemii Magufuli a to zaprzecza pandemii (zabraniając

Wciąż czekamy

JOHN STEVEN ZABI z Sudanu Południowego, księgowy, jako uchodźca przebywał w Ugandzie, w 2018 r. wrócił do domu:

Nie znamy jeszcze dnia rozpoczęcia akcji szczepionkowej ani liczby zarezerwowanych przez rząd dawek. Mówi się, że nie będzie ich wiele, a większość zamówiły organizacje międzynarodowe bądź nasze władze, ale w ramach me-



ARCHIWUM PRYWATNE

chanizmu COVAX. We współpracy z ONZ prowadzona jest akcja edukacyjna, nadawane są m.in. audycje radiowe dla różnych grup społecznych. Wiem, że wiele innych krajów epidemia dotknęła bardziej niż Sudan Połu-

dniowy. Ale i u nas COVID-19 sprawił, że ludzie stracili pracę, a ceny usług poszły w górę. W dodatku epidemia utrudniła wejście w życie porozumienia pokojowego, które ponad dwa lata temu zakończyło długą wojnę domową. Ludzie wciąż umierają na tę chorobę, również wyniszczający jest lek. Wielu chorych nie chce zgłosić się do szpitali i umiera w domach. To dlatego statystyki są niepełne. ©

→ wysyłać do WHO statystyki zachorowań), a to stawia się w roli zbawcy narodu (importując z Madagaskaru zioła, jego zdaniem lek na COVID-19). Przykład idzie z góry, więc nawet tanzańska minister zdrowia zaapelowała, aby przed zakażeniem chronić się... inhalując parę wodną.

Tanzania jest pierwszym krajem świata, który zapowiedział, że nie będzie kupował szczepionki. I to mimo ostatniego wzrostu liczby zachorowań w innych krajach Afryki, z którą dotąd pandemia obchodziła się stosunkowo łagodnie. Nowy wariant koronawirusa odkryto niedawno w RPA. W małym Eswatini (dawniej: Swaziland) jest już prawie 16 tys. zakażeń i 574 zgonów, w niektórych szpitalach zabrakło worków na zwłoki, a lekarzy do pomocy przysłała tu Wielka Brytania.

Wiele państw Afryki ma ograniczone możliwości przechowywania i transportu preparatów w niskiej temperaturze – Eswatini może składować je tylko w temperaturze od 2 do 8 stopni Celsjusza, podczas gdy szczepionka Pfizer/BioNTech wymaga temperatury minus 70 stopni. Alternatywa to szczepionka AstraZeneca, niewymagająca tak niskich temperatur. Ale tu na przeszkodzie może stanąć niedostępność szklanych fiolek. I kolejny paradoks: choć szybki postęp prac nad szczepionkami to także efekt doświadczeń gromadzonych latami podczas kolejnych epidemii wirusa ebola w Demokratycznej Republice Konga i zachodniej części kontynentu, Afryka może walczyć z COVID-19 najdłużej na świecie.

Stracą wszyscy

Według zasad Światowej Organizacji Handlu (WTO), ustalonych w latach 80. XX w., patenty na nowe produkty farmaceutyczne są ważne przez 20 lat. Na początku pandemii, gdy realne wydawało się zmonopolizowanie rynku szczepionek przeciw COVID-19 przez kilka firm, pojawił się argument radykalny: producenci preparatów powinni zawiesić swoje prawa patentowe i intelektualne, umożliwiając ich wytwarzanie na całym świecie i przez różne podmioty. Pomysł ten zgłosiły w WTO m.in. Indie, RPA, Egipt i Indonezja, jednak odrzucono go, głównie głosami z Zachodu. Łagudząc nieco demoniczny wizerunek koncernów farmaceutycznych, Moderna, producent jednej ze szczepionek, ogłosiła, że nie będzie pozywać producentów korzystających z jej patentu. AstraZeneca i Johnson & Johnson (preparat tej ostatniej firmy może być następny w kolejce do akceptacji na Zachodzie) dzielą się swoimi patentami z wytwórcami w Indiach, RPA i Brazylii.

W idei równego (lub ściślej: zrównoważonego) dostępu do szczepionek nie chodzi tylko o szczytne hasła. Jest też argument ekonomiczny: Międzynarodowa Izba Handlowa, zrzeszająca izby przemysłowo-handlowe z całego świata, ogłosiła właśnie, że jeśli zamożne państwa będą faworyzować swoje społeczeństwa kosztem państw uboższych, straty światowej gospodarki wyniosą od 1,5 bln do nawet 9,2 bln dolarów. Nawet jeśli bogate państwa osiągną już wiosną narzucone sobie cele, a nie przyspieszą tempo szczepień

w krajach uboższych, Zachód miałby stracić prawie połowę tej sumy.

Sputnik dookoła świata

Z braku skuteczniejszych mechanizmów państwa pomagają sobie nawzajem: Tajwan obiecał Eswatini pół miliona dolarów na szczepionki. Australia programem szczepień obejmuje wyspy Oceanii, Chiny oferują dawki Mjanmie, Kambodży, państwu Afryki i Ameryki Łacińskiej.

Do gry – i tu zaczynają się kontrowersje – wkraczają też Rosjanie. Sprawili to bardzo dobre wyniki trzeciej fazy badań klinicznych szczepionki Sputnik V, opublikowane w minionym tygodniu przez „The Lancet” (92 proc. skuteczności). Rosyjska szczepionka powstała w prestiżowym moskiewskim Instytucie Epidemiologii i Mikrobiologii. Ale to nie wiarygodność naukowców, lecz ryzyko, że preparat będzie używany do zwiększenia wpływów Kremla w świecie, sprawia, że dotąd na Zachodzie traktowano ją z obawą.

Sputnik V został już wysłany na Białoruś, gdzie od pół roku trwają antyrządowe protesty, oraz do Wenezueli, sojusznika Rosji. W ostatni wtorek 30 tys. dawek preparatu miało trafić na Węgry, gdzie wcześniej poddano go testom. Viktora Orbána, który utrzymuje z Rosją przyjazne stosunki, można krytykować za wyłamanie się z unijnej solidarności. Ale i on ma swoje argumenty: skoro szczepienia w Unii idą wolniej, niż planowano, czemu oglądać się na Brukselę, skoro można własnych obywateli ochronić szybciej?

TO DOPIERO początek batalii, która potrwa zapewne przez cały drugi rok pandemii. „Im dłużej będziemy zwlekać z zapewnieniem szczepionek, testów i leczenia wszystkim krajom, tym dłużej wirus się przyczai, będzie większe prawdopodobieństwo pojawienia się jego nowych wariantów, większe ryzyko, że obecne szczepionki będą nieskuteczne, i tym gorzej będzie na koniec podnieść się z kryzysu” – ostrzega szef WHO.

Nikt nie jest bezpieczny, dopóki bezpieczni nie są wszyscy – powtarzają epidemiolodzy. Ale gra toczy się o coś więcej. Według twórców mechanizmu COVAX walcząc solidarnie z COVID-19, budujemy model działania, który przyda się przy kolejnych pandemiach. Bo pojawienie się kolejnych wirusów o podobnym do SARS-CoV-2 potencjale jest zapewne kwestią czasu. © P. MARCIN ŻYŁA

Pomogli sąsiedzi

TENZING LAMSANG, założyciel i redaktor naczelny gazety „The Bhutanese” z Thimphu w Bhutanie (państwie w Azji Południowej, w Himalajach): Dwa tygodnie temu dotarła do nas pierwsza partia szczepionek produkowanych w sąsiednich Indiach na licencji firmy AstraZeneca. Byliśmy pierwszym krajem, który je otrzymał, w dodatku już cztery dni



ARCHIWUM PRYWATNE

po rozpoczęciu szczepień w Indiach. Nasz premier i kilku ministrów zaszczepili się jeszcze na lotnisku. Nasi sąsiedzi obiecali dostarczyć obie dawki dla wszystkich ponad pół miliona mieszkańców naszego królestwa. Szczepienia idą sprawnie. Do tej pory,

aby wyjechać z kraju, wymagany był negatywny certyfikat badania na koronawirusa. Władze zapowiedziały, że wkrótce będą sprawdzać zaświadczenia o szczepieniu. Kilka dni temu premier wygłosił w telewizji oświadczenie o efektach ubocznych szczepienia – przypomniał, że w Bhutanie nie było jak dotąd przypadków groźnych skutków ubocznych, oraz że różne skutki uboczne zdarzają się też przy innych stosowanych u nas szczepieniach. ©

Oferta Johnsona

PATRYCJA BUKALSKA Z LONDYNU

Wielka Brytania uruchomiła program imigracyjny dla mieszkańców tracącego autonomię Hongkongu. Gniewem Pekinu brytyjski rząd wydaje się nie przejmować.

OD 31 STYCZNIA KAŻDY HONGKOŃCZYK, który posiada tzw. brytyjski paszport zamorski, może osiedlić się w Wielkiej Brytanii, pracować tam czy studiować. Nie jest wymagana znajomość języka ani uzyskanie odpowiedniej liczby punktów, jak przy wizach pracowniczych. Jednak pragnący skorzystać z programu muszą mieć środki na utrzymanie się przez pierwszych sześć miesięcy. Po pięciu latach mieszkania na Wyspach przybysze będą mogli wnioskować o prawo stałego pobytu, a po kolejnym roku o brytyjskie obywatelstwo.

Specjalny program wizowy przygotowano po tym, jak latem ubiegłego roku Chiny, które od 1997 r. sprawują kontrolę nad Hongkongiem, narzuciły tam drażniące prawo, nazwane ustawą o bezpieczeństwie narodowym. Dopuszcza ona karę dożywocia za działania uznane za terrorystyczne lub separatystyczne, a także za „zmowę z obcymi siłami” – jednocześnie pozwalając na tak szeroką interpretację, że możliwe jest kryminalizowanie nawet pokojowych demonstracji. Ustawa to oręż przeciw ruchowi demokratycznemu – w gruncie rzeczy kładzie ona kres autonomii Hongkongu.

Wyjechać z miasta chcą dziś nie tylko uczestnicy protestów, ale też inni mieszkańcy, którzy obawiają się, że Pekin będzie likwidować tam ostatnie swobody.

Z paszportem na Wyspy

Brytyjski paszport zamorski wprowadzono właśnie po tym, jak w 1997 r. Wielka Brytania przekazała Hongkong Chinom. Dotyczy osób urodzonych przed tą graniczną datą i ocenia się, że prawo



YASUYOSHI CHIBA / AFP / EAST NEWS

Demonstracja solidarności z Hongkongiem na Leicester Square w Londynie, 12 grudnia 2020 r.

do tego dokumentu mają trzy miliony Hongkończyków. Przy czym, razem z ich rodzinami, daje to już ponad pięć milionów – niemal 70 proc. z ponad siedmiomilionowej populacji miasta.

Postępujące ograniczanie swobód w Hongkongu wpłynęło na popularność tych paszportów. Tygodnik „Economist” podaje, że przed serią demonstracji posiadało go 170 tys. osób, w sierpniu 2020 r. ponad 610 tys. (prawo o bezpieczeństwie wprowadzono w lipcu). W październiku wydano rekordowych kolejnych 60 tys.

Teraz, w reakcji na uruchomienie programu wizowego przez Wielką Brytanię, Chiny i zależne od nich lokalne władze Hongkongu zapowiedziały zgodnie, że nie będą uznawać brytyjskiego paszportu zamorskiego jako dokumentu podróży. Nie powinno to jednak przeszkodzić Hongkończykom w podróży na Wyspy: do przekroczenia granicy i opuszczenia Hongkongu wystarczy im miejscowy paszport.

Spodziewana fala

Zapewne nie wszyscy posiadacze paszportów zamorskich będą chcieli odbyć taką podróż w jedną stronę. Przypuszczalnie będą to głównie młodzi i wykształceni, niebojący się zaczynania od nowa w obcym jednak kraju.

Potwierdza to raport organizacji Hongkongers in Britain: według niego statystyczny Hongkończyk pragnący osiedlić się na Wyspach ma 37 lat, dochody wyższe niż krajowa średnia i wyższe wykształcenie. Pracuje jako przedsiębiorca lub w finansach. Ponad 80 proc. nie będzie mieć problemów z pokryciem kosztów brytyj-

skiej wizy (są one płatne) ani z utrzymaniem się w początkowym okresie pobytu.

Szacuje, że w pierwszej grupie będą głównie osoby zagrożone represjami. W drugiej dziennikarze, prawnicy, nauczyciele, urzędnicy – słowem profesje, w których łatwo wejść w konflikt z chińskimi władzami. Trzecią grupą mają być rodziny z dziećmi, które będą chciały zapewnić im edukację w wolnym kraju.

Trudno przewidzieć liczbę imigrantów – w skrajnych scenariuszach dopuszcza się, że może ich być nawet milion w ciągu pięciu lat. Bardziej realne jest jednak, według brytyjskich władz, że w ciągu pierwszego roku napłynie 150 tys., a w ciągu pięciu lat ok. 320 tys. Na ich decyzję będą mieć wpływ działania Pekinu, ale też perspektywy na Wyspach. Na razie czynnikiem zniechęcającym może być epidemia – w takim czasie trudno w nowym miejscu szukać pracy.

Imigrant idealny

Brytyjski program wywołał wściekłość Pekinu, który zarzuca Londynowi łamanie prawa międzynarodowego, wtrącanie się w sprawy Chin i „robienie z Hongkończyków brytyjskich obywateli drugiej kategorii”. Londyn ripostuje, że to Chiny złamały ustalenia z 1997 r.: autonomia Hongkongu miała obowiązywać przez 50 lat.

Premier Boris Johnson podkreśla „głębokie więzy historii i przyjaźni” z dawnym brytyjskim terytorium. „Stanęliśmy w obronie wolności i autonomii – wartości cenionych zarówno w Zjednoczonym Królestwie, jak i w Hongkongu” – mówi. Na Wyspach program dla

→ Hongkończyków nie wzbudza sprzeciwu ani wśród polityków, ani zwykłych ludzi. Powodów jest wiele: od tego, że to moralne zobowiązanie, aż po wizerunek Hongkończyka jako imigranta idealnego – wykształconego, pracowitego i często z zasobami finansowymi; kogoś, kto już na wstępie kupi dom i założy firmę.

Są oczywiście i tacy potencjalni imigranci, którzy nie mają pieniędzy i nie znają języka. Tych może być jednak mniej: szacuje się, że środków na utrzymanie się przez pierwszy sześć miesięcy nie ma 16 proc. z tych, którzy chcą skorzystać z programu.

Imigracja z Hongkongu może mieć też skutki ekonomiczne: ci, którzy są w trakcie przesiedlania się lub to planują, sprzedają teraz wszystko, czego nie mogą zabrać, likwidując lokaty w bankach i polisy. Wraz z nimi może odpłynąć z Hongkongu 27 mld funtów, a korzyści dla brytyjskiej gospodarki w ciągu pięciu lat mogłyby sięgnąć 2,4-2,9 mld funtów, głównie w postaci podatków. To też działa zapewne Pekinowi na nerwy.

Sieć wsparcia

Brytyjska oferta jest atrakcyjna, ale może nie wystarczyć: potrzebny jest też program pomocy dla osiedleńców – w szukaniu pracy, mieszkania do wynajęcia, miejsc w szkołach. Przygotowują się do tego organizacje pozarządowe i mieszkający tu już Hongkończycy. Winston Marshall, gitarzysta zespołu Mumford & Sons, i mieszkający w Londynie hongkoński fotograf Jim Wong założyli wspólnie inicjatywę Hong Kong Link Up, która ma pomóc przybyszom w znalezieniu przyjaciół i tzw. asystentów – ci ostatni pomagali by na początku w sprawach życiowych.

Program wizowy dotyczy tylko posiadaczy paszportów zamorskich, czyli osób urodzonych przed 1997 r., a także ich rodzin. Tymczasem wielu demokratycznych działaczy i uczestników protestów, zagrożonych represjami, to ludzie młodszy. Jeśli nie mają rodziców z brytyjskimi paszportami, nie będą mogli skorzystać z oferty Londynu – choć to oni potrzebują najbardziej pomocy. Dla nich pozostaje ubieganie się o azyl.

Znając nastawienie rządu do Chin, nie wydaje się jednak, by mieli z tym kłopot.

©© PATRYCJA BUKALSKA

Najmłodsze obywatelki w Europie

AGNIESZKA KAMIŃSKA Z ZURYCHU

Mija pół wieku, od kiedy Szwajcarki wywalczyły sobie prawa wyborcze na poziomie federalnym. Dawniej symbolem tempa zmian w tym kraju był ślimak. Czy dziś jest co świętować?

WSZYSTKIE WYGLĄDAJĄ PODOBNIEM: archiwalne wydania największych szwajcarskich gazet z poniedziałku 8 lutego 1971 r. Na czołówkach dwa tematy dnia: powodzenie kolejnej misji Apollo 14 na Księżycu i wyniki niedzielnego referendum. „Zasłużony przełom”, „Krok w nowoczesność”, „Najwyższy czas” – głoszą prasowe nagłówki.

Dla dwóch milionów mieszkanki alpejskiego kraju w środku Europy to, co wydarzyło się dzień wcześniej, można porównać z historycznym osiągnięciem amerykańskich astronautów. Droga do lądowania na Księżycu była długa. Dążenia Szwajcerek do bycia częścią demokracji trwały ponad sto lat.

Niedzielne ogólnokrajowe głosowanie, o którym tak entuzjastycznie pisały gazety, było dokładnie 224. w historii szwajcarskiej demokracji bezpośredniej. Było też ostatnim bez udziału kobiet.

Historia nieco wstydliva

Pół wieku później rocznicę tego wydarzenia świętuje się od Genewy po Szafruzę. Odbijają się wystawy, panele dyskusyjne (wirtualnie, Szwajcaria jest w środku lockdownu), a sprzedażowym hitem w księgarniach online jest gra planszowa, w której można odtworzyć kolejne etapy drogi kobiet do parlamentu w Bernie. To dobry czas, żeby odkurzyć historię szwajcarskiej emancypacji – pełnej przełomów, i rozczarowań.



Katia ma prawie tyle lat, co prawa wyborcze kobiet w Szwajcarii. Przyznaje w rozmowie, że długo nie zdawała sobie sprawy, ile trwała w jej kraju walka kobiet o własny głos. – To nie jest historia, o której mówi się w szkołach. Jako młoda kobieta czytałam Simone de Beauvoir, ale nie wiedziałam, jak tutaj wyglądała droga do równouprawnienia – mówi mi, nawiązując do postaci francuskiej pisarki i filozofki, której książka „Druga płeć” z 1949 r. to jedna z głównych pozycji feminizmu.

W popularyzowaniu wiedzy o emancypacji Szwajcerek pomógł kilka lat temu film Petry Volpe „Boski porządek” („Die göttliche Ordnung”). W jednej ze scen główna bohaterka, Nora, podróżuje palcem po globusie i opowiada o świecie dwóm synom. „Na dnie oceanu żyje wiele różnych stworzeń. W całkowitej ciszy i ciemności. Nie mają pojęcia, że gdzieś tam na górze jest światło” – mówi.

Podobnie musiały się czuć Szwajcarki w powojennej Europie. W 1918 r. prawa wyborcze miały już Dunki, Norweżki, Niemki, Litwinki, Austriaczki, Polki (i obywatelki II RP innych narodowości); potem dołączyły Szwedki, Holenderki, Czeszki. Tuż po II wojnie światowej w większości krajów Europy kobiety – nawet, jeśli niekiedy w ograniczo-



ARND WIEGMANN / REUTERS / FORUM

nym jeszcze zakresie – miały głos. Ale nie Szwajcarki.

Ślimak na kółkach

Co nie znaczy, że milczały. W 1868 r. uformowała się w Zurychu pierwsza kobieca grupa domagająca się praw obywatelskich. Wtedy mało kto ich słuchał. Potem były inne, ważniejsze (w opinii obywateli-mężczyzn) dla kraju sprawy. Po I wojnie światowej, gdy przez Europę przetaczała się fala społecznych zmian, głos Szwajcerek zagłuszyli robotnicy żądający poprawy warunków pracy i zabezpieczeń socjalnych.

Historycy podkreślają, że ponieważ Szwajcaria nie ucierpiała w dwóch wojnach światowych, nie czuć tu było potrzeby powojennej odnowy, której częścią była polityczna partycypacja kobiet. W konserwatywnym społeczeństwie, uśpionym przez dobrobyt, system patriarchalny zadowolił się na dobre, a symbolem tempa zmian stał się ślimak, którego wielką figurę na kółkach ciągnęły w demonstracjach szwajcarskie emancypantki.

Dopiero w 1959 r. odbyło się pierwsze ogólnokrajowe referendum w sprawie przyznania kobietom praw wyborczych na poziomie federalnym. Dwie trzecie głosujących wtedy mężczyzn od-

mówiło jednak swoim matkom, żonom i siostrą współdecydowania o tym, co się dzieje w ich kraju.

Ta porażka Szwajcerek okazała się jednak próbą generalną na scenie historii i iskrą, która rozpałała nadzieje na nowo. W efekcie kolejne kantony zaczęły uwzględniać swoje mieszkanki w lokalnych głosowaniach, najpierw w Szwajcarii francuskojęzycznej. Stąd przypływ zmian zaczął rozlewać się na kraj i było wiadomo, że już się nie cofnie. 1 marca 1969 r. głośny tłum pięciu tysięcy kobiet i mężczyzn wyszedł w tzw. Marszu na Berno. Finał tej przydługiej epopei miał nastąpić dwa lata później, znów przy referendalnych urnach.

Sprawy kobiece, sprawy męskie

Jeśli spojrzeć na historię oczami kobiet, Szwajcaria jest najmłodszą demokracją w Europie. W Appenzell Innerrhoden – najbardziej konserwatywnym kantonie – mężczyźni jeszcze długo po referendum z 1971 r. bronili się przed „politycznymi kobietami”, jak określała nowe obywatelki ówczesna prasa. Kobiety z tego małego kantonu, liczącego 16 tys. mieszkańców, były wykluczone z decydowania o sprawach lokalnych aż do lat 90. XX w. Wydawałoby się, że skoro Szwajcarki tak późno wywalczyły sobie prawo wybor-

W czerwcu 2019 r. kilkaset tysięcy kobiet wzięło udział w strajku generalnym, domagając się równouprawnienia. Na zdjęciu: protestujące Szwajcarki w Zurychu; napis na transparencji głosi: „Placa. Czas. Szacunek”.

cze, to będą masowo brać udział w głosowaniach. Tak się jednak nie stało. Pełnia praw publicznych dla wielu kobiet była iluzoryczna, bo w domu wciąż rządili mężczyźni. O tym, czy mogły się kształcić i pracować, a także na co wydawać zarobione pieniądze, decydował mąż. W wielu domach polityka to wciąż była „męska” sprawa.

– Nie przypominam sobie, żeby moja mama kiedykolwiek głosowała. Nie wiem nawet, jakie miała poglądy. A jak na tamte czasy była dość nowoczesna: dużo wyjeżdżała, była aktywna zawodowo, pracowała na pełen etat, nawet gdy już miała mnie. Ale małżeństwo moich rodziców było bardzo patriarchalne – wspomina Katia.

To, że kobiety początkowo ostrożnie podchodziły do roli obywaterek, widać w statystykach. O ile w 1970 r. frekwencja w referendum i wyborach (jeszcze bez udziału kobiet) przekraczała 50 proc., to w kolejnych latach spadła do niewiele powyżej 30 proc.

Helwecja wzywa

Skutki długiej bierności politycznej kobiet widoczne są do dziś. Im starsi wyborcy, tym większa różnica w aktywności obywatelskiej między kobietami a mężczyznami. – Przez tyle lat powtarzano nam, że demokracja bezpośrednia, referenda i wybory to są skomplikowane sprawy, których nie rozumiemy, że może same w to uwierzyliśmy. Na szczęście moje córki już tak nie myślą. Oboje z mężem głosujemy, więc one wyrosły w przekonaniu, że tak trzeba – mówi Katia.

Ostatnie wybory do parlamentu, w 2019 r., pokazały, że w wielu kantonach młode kobiety są bardziej aktywne obywatelsko niż mężczyźni w ich wieku.

– Nie wyobrażam sobie, jak mogłabym nie korzystać z prawa głosu. Przecież moja mama o nie walczyła – dziwi się Carina. Ona urodziła się już w innej Szwajcarii, kraju, który równość kobiet i mężczyzn ma zapisaną w konstytucji i ratyfikował wszystkie istotne konwencje międzynarodowe, zobowiązując się do zapobiegania dyskryminacji ze względu na płeć.



→ A jak jest w praktyce? Młode Szwajcarki nie boją się słowa feminizm, chętniej głosują na partie lewicowe i kandydują z ich list, a o swoje prawa nadal walczą tak samo, jak ich matki i babki: wychodząc na ulice. W czerwcu 2019 r. setki tysięcy kobiet wzięły udział w strajku generalnym, domagając się m.in. równych płac, dostępu do kierowniczych stanowisk i władzy politycznej.

Jesienią tamtego roku, przed wyborami do parlamentu, szwajcarskie działaczki pod hasłem „*Helvetia ruft!*” (Helwecja wzywa!) mobilizowały kobiety do kandydowania. Efekt: rekordowa liczba kobiet zdobyła mandaty, a ich odsetek w Radzie Narodowej (niższej izbie parlamentu) przekroczył 40 proc. Rekordowy wzrost liczby kobiet zanotowano też w Radzie Kantonów (wyższej izbie parlamentu), a do Rady Federalnej (tak nazywa się szwajcarski rząd federalny) wybrano jednocześnie dwie kobiety (w siedmioosobowym gremium są obecnie trzy). Szwajcaria awansowała tym samym o dwa oczka w globalnym indeksie równości płciowej Światowego Forum Ekonomicznego (w 2020 r. znalazła się na 18. miejscu).

– Kiedy zaczynałam pracę w parlamencie, w budynku w Bernie nie było nawet damskich toalet. Dziś jest osobne pomieszczenie, w którym kobiety mogą karmić dzieci. To ogromny postęp, który Szwajcaria zrobiła w niedługim czasie – mówi mi Vreni Spoerry, jedna z pierwszych polityczek w parlamencie, *Grande Dame* liberalnej partii FDP.

Kwotami w szklany sufit

Jednak feministyczne działaczki młodego pokolenia nie mówią o ogromnym postępie. Przeciwnie. Podkreślają, że późne uzyskanie praw wyborczych do dziś skutkuje ślimaczym tempem polityki równościowej. Przykłady: urlop macierzyński (14-tygodniowy, jeden z najkrótszych w Europie) wprowadzono w kraju dopiero w 2005 r., a ojcowski (dwutygodniowy) po wieloletniej politycznej batalii dopiero z początkiem roku 2021.

„Każdy rolnik, każda krowa ma większe lobby w parlamencie niż kobiety. Sprawy kobiet są odsuwane na bok pod pretekstem tego, że szkoda wolności gospodarczej” – mówiła w wywiadzie dla „*Aargauer Zeitung*” Franziska Schutzbach, socjolożka z Uniwersytetu w Bazylei i publicystka zajmująca się kwestiami

W kantonie Appenzell Innerrhoden kobiety były wykluczone z decydowania o sprawach lokalnych aż do lat 90. XX w.

równouprawnienia. Schutzbach podkreślała, że tym, czego Szwajcarii potrzeba, jest spójna polityka równościowa. Federalizm powoduje, że wiele obszarów pozostawia się decyzjom kantonów, a tam, w lokalnych strukturach, reprezentacja kobiet jest słabsza.

Tematów do przerobienia w Szwajcarii nie brakuje, także w sektorze prywatnym. Jednym z aktualnych przykładów współpracy państwa z gospodarką rynkową na drodze do większej równości płci są próby przebijania szklanego sufitu, który dla pracujących Szwajcerek jest wyjątkowo gruby.

W 75 firmach, które analizowano we wspólnym badaniu Uniwersytetu w Sankt Gallen i organizacji Advance (stara się ona zwiększyć liczbę kobiet na stanowiskach menedżerskich), prawie połowa pracowników na stanowiskach niezarządzających to kobiety. – To dobra reprezentacja. Ale im wyżej idziemy, jeśli chodzi o pozycję zawodową, tym bardziej kobiet ubywa. W najwyższej kadry zarządzającej stanowią już tylko 18 proc. – mówi mi Anna Stando, specjalistka od równości płci w Advance.

Szwajcarski rynek pracy umożliwia kobietom zatrudnienie na część etatu, co dla wielu stało się sposobem na godzenie pracy z macierzyństwem. – Tymczasem badania pokazują, że najszybciej wciąż awansuje się, pracując na cały etat. Jeśli spojrzymy na indeks SMI, czyli 50 największych szwajcarskich firm notowanych na giełdzie, tylko jedna ma kobietę jako dyrektora generalną – dodaje Stando.

Wśród 17 głównych europejskich gospodarek ostatnie trzy miejsca, jeśli chodzi o odsetek kobiet na najwyższych stanowiskach zarządzających i nadzorczych w firmach, zajmują Szwajcaria, Polska i Luksemburg (za EWOB Gender Diversity Index). Szwajcaria próbuje coś z tym zrobić, wprowadzając tzw. kwoty w spółkach akcyjnych: najpóźniej za trzy lata odsetek kobiet w radach nadzorczych

firm ma osiągnąć 30 proc., a w zarządach 20 proc. Firmy, które nie wypełnią kwot, będą się musiały z tego wytłumaczyć w swoich raportach.

Takie rozwiązanie budzi jednak mieszane emocje. Jednym nie podoba się, jak mówią, sterowanie rynkiem. Inni nazywają ten przepis bezzębnym tygrysem.

Patrząc na punkt startu

Może to efekt jubileuszowej gorączki wokół okrągłej rocznicy przyznania kobietom praw wyborczych, ale trudno nie odnieść wrażenia, że ten ślimak, który kiedyś był synonimem zmian w Szwajcarii, ostatnio posuwa się w nieco szybszym tempie.

Również w polityce rodzinnej – tu po urlopach ojcowskich przyszedł czas na kolejne inicjatywy. Toczą się dyskusje na temat zniesienia niekorzystnego dla wielu małżeństw obowiązku wspólnego opodatkowania czy większej dostępności żłobków. Helwecja jest kobietą w średnim wieku, która jeszcze dużo może osiągnąć.

Systemowe równouprawnienie jest ważne, ale dla młodych Szwajcerek wyzwaniem są też bardziej subtelne, codzienne nierówności. A te trudno uregulować ustawą.

Carina pracuje w branży zdominowanej przez mężczyzn. I choć jest właścicielką firmy, to czasem czuje się, jakby musiała udowadniać, że znajduje się na właściwym miejscu. – Spotykam się z brakiem zaufania co do mojej wiedzy i kompetencji. Zdarza się, że klienci proszą, aby to, co powiem, potwierdził jakiś mężczyzna. Przemoc i dyskryminacja w miejscu pracy są czymś wszechobecnym, czego ja i kobiety w moim otoczeniu ciągle doświadczamy – mówi.

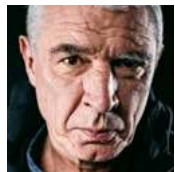
Na zakończenie naszej rozmowy Carina przyznaje jednak, że jest wdzięczna za to, iż może żyć w Szwajcarii w dzisiejszych czasach: – Jest jeszcze dużo do zrobienia, ale nie możemy zapominać, z jakiego punktu startowałyśmy i jak daleko zaszłyśmy. © AGNIESZKA KAMIŃSKA

Autorka (ur. 1984 r.) mieszka w Szwajcarii niemieckojęzycznej od 2014 r. Dziennikarka, socjolożka po UJ, publikowała w „Rzeczpospolitej”, „Tygodniku Powszechnym” i magazynie reporterskim „non/fiction”. Autorka bloga „I’m not Swiss”. W lutym nakładem Wydawnictwa Poznańskiego ukazuje się jej książka „Szwajcaria. Podróż przez raj wymyślony”.

ANDRZEJ

Stasiuk:

Odnaleziony notes (2)



24 LIPCA. Z OSZ DO SARY TASZ. SARY TASZ – po kirgiskiu Żółty Kamień. Marszrutka. Wcześniej w Osz taksówka. Kierowca był w Warszawie. Opowiada o żydowskim planie na wygubienie ludzkości. Z jakiegoś względu mają ocaleć muzułmanie. „Komitet 300” – mówi. Wyczytał w telefonie. Potem ten dziwny park ze strzelnicami, fontannami, piściarstwem, kowadłem i młotem. Niebieska papuga wyciąga mi wróżbę. Ale po kirgiskiu. No i ta marszrutka. Stary merc bez bagażnika, więc pięć godzin jak na jakiejś tratwie meduzy plus bagaże. Nie da się ruszyć. W Gülczo chłopaki wychodzą przez okna, żeby zapalić. Podjazd pod Taldyk Pass – kanister wody za kanistrem do chłodnicy.

Sary Tasz: droga do Chin, droga do Pamiru, droga w Pamir, droga do Duszanbe. Elza Pension. Po południu rozpaczliwe krzyki w jurcie obok. Okazuje się, że to płaczki. Umarła młoda kobieta. Podobno samobójstwo z miłości. I tak przez całą noc do rana. Na kolację makaron, ziemniaki, parówki.

25 lipca. Sary Tasz. Ranek. Wciąż pogrzeb. Mały sklepik ze stolikiem i facetem, który przyszedł utworzyć. I następny, gdzie wymieniamy euro na somoni. Najlepszy sklep w Sary: metalowa skrzynia na klucz i „nerka” na brzuchu właściciela pełna kasy. W tym poprzednim groszaki w uciętej plastikowej butelce.

Widok rozbuchających się dróg z wysoka. Syreny chińskich ciężarówek. „Pamir Higway” zmierzająca prosto jak strzełiła w stronę Kyzyl-Art Pass, w stronę Pamiru. Szef stacji benzynowej ze złotymi zębami mówi, że rozejrzy się za samochodem do Tadżykistanu.

Zmierzch we wsi. Najspokojniejsze odgłosy świata. Dziecięca wrzawa w oddali, brzęk wiadra. Potem zupełna cisza, tylko odległy pomruk ciężarówek.

26 lipca. Kara-kul. Jezioro na czterech tysiącach metrów. Nieskalane, błękitne i martwe. Nic w nim nie żyje. W oddali

chyba Pik Lenina. Białe na tle niebieskiego nieba. Absolutna nieruchomość i piękno. Tylko lodowaty wiatr marszczy wodę. Nic nie rośnie. Kilka czarnych jaków w zaułkach. Nie ma elektryczności. Sześcienn domy z gliny. W mrocznym sklepiku tylko papierosy i trochę rosyjskich cukierków. Nic. Biegun życia. Dwóch mężczyzn moczy zwierzęce skóry w jeziorze. Od samego patrzenia robi się zimno. Przychodzą dzieci. Uśmiechnięte. Zagadują po angielsku. Rosyjskiego już nie znają. U gospodarzy surowa, pustynna schludność. Ściany, podłoga, żeliwny piecyk na środku. Zimą pali się suszonym nawozem. Trochę wyszorowanych lśniących naczyń. Biegun.

27 lipca. Murgab. Szósta rano, zupełna cisza. Motocykl z košem. Biedny, zawodzący silniczek. Brakuje mu powietrza. Trzy i pół tysiąca metrów. Śpiew w koszarach. W dole znowu chińskie ciężarówki w kolumnach po trzy, cztery. Kozy wypędzane na nagie zbocze. Zapach saksaulowego dymu z kominów. Nic tu nie rośnie.

Potem w góry. Gdzieś w oddali Karakorum. Stary sowiecki posterunek. Piach zasłany łuskami 7.62 i przerdzewiałymi puszkami po konserwach. Setki puszek, tysiące łusek. Tyle zostało. Pokruszony beton. Ponure okrucieństwo. Skaza na czystości pustyni. Nieruchomy, rozedrgany upał.

Wieczorem łaźnia u gospodarzy. Mała izdebka, nagrany kociołek wody, wiadro zimnej, czerpak. W okienku jasny księżyc gdzieś nad Chinami, Afganistanem. Najlepsza kąpiel w życiu.

28 lipca. Murgab. Słońce w południe. Ani krzty cienia. Wąskie czarne paski wzdłuż murów. Leżą w nich psy i w miarę, jak cień się kurczy, podciągają łapy. Niemal żadnej zieleni. Każdy krzew ogrodzony na wszystkie możliwe sposoby. Nic nie rośnie wyżej niż na dwa-trzy metry. Dom gospodarzy. Woda dowożona beczkowitzem do żelaznego baniaka na podwórku. Co zimą, gdy jest -40? Palą saksaul. Po garstce, po patyczku. Szybkie gotowanie. Kopulasty piec do płaskich chlebów, „lepioszek”.

1 sierpnia. Wracamy. Rinat wściekły, bo tadżycka psianka chciała łapówkę. „Bo auto nie może mieć przyciemnianych szyb”. Prawie każde ma. „Tylko dlatego, że jestem Kirgizem”, mówi. Nie wiadomo, czy zapłacił. Zmilczał.

Kyzyl-Art Pass. Granica. 42 800 metrów. Metalowe kontenery. W środku wojskowy zaduch. Przepisywanie z paszportów do wielkiej porubrykowanej księgi. Piękna perska twarz strażnika. Na przełęcz jak nożem uciął. Kończy się pustynny Pamir. Po drugiej stronie zielony Kirgistan. ©

Przed Sądem Rejonowym w Brzesku, pod sygn. akt I Ns 988/19, toczy się postępowanie z wniosku Władysława i Marii małżonków Pawuła o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie na ich rzecz własności działek ewid. nr: 215, 409, 737, 790, 487, 489, 727, 657, 226, 228, 163, 201 o łącznej pow. 4,28 ha, położonych w Pojawiu gm. Szczurowa, oraz działki ewid. nr 3619 o pow. 0,5134 ha

położonej w Woli Przemyskiej gm. Szczurowa, w powiecie Brzesko. Wymienione działki powstały z parcel katastralnych z zaginionych lwh 389, 624, 704, 118, 392 gm. kat. Pojawie oraz z lwh 35, w którym jako właściciel wpisany jest Jan Pawuła, i z lwh 120, w którym jako współwłaściciele ujawnieni są: Michał Pawlik, Tekla Kozłowska, Anna Urban, Maryanna Gibes, Franciszek Pawlik, Feliks Pawlik,

Filip Pawlik i Władysław Pawlik. Zbiory dokumentów nie zostały założone.

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się w siedzibie Sądu i udowodniły swoją własność, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie zgodnie z wnioskiem na rzecz wnioskodawców, o ile zostanie udowodnione.



KOSZTY WAMPIRYZMU

Zaledwie kilka gatunków ptaków i ssaków
żywi się krwią innych zwierząt.
W jaki sposób dobór naturalny ukształtował u nich
tak nietypowe preferencje?

MARTA ALICJA TRZECIAK

WCZASIE PORY SUCHEJ NA WYSPACH Galápagos panują trudne warunki: źródła pożywienia są ograniczone, a słodka woda występuje w niewielkich ilościach. Dla wielu zwierząt brakuje pokarmu, zwłaszcza że niektóre gatunki roślin znikają wtedy z powierzchni tych wulkanicznych wysp. Odległość do najbliższego lądu, czyli wybrzeża Ekwadoru, wynosi około tysiąca kilometrów – dla zwierząt mieszkających na archipelagu nie ma stąd właściwie żadnej drogi ucieczki. To wszystko przyczyniło się do powstania u żyjących tam gatunków unikalnych adaptacji, spośród których najbardziej znane są te występujące u słynnych zięb Darwina.

Gdy twórca teorii ewolucji dotarł na Galápagos podczas wyprawy badawczej na statku „Beagle”, spotkał tam kilka gatunków zięb różniących się niemal wyłącznie kształtem dzioba. W tym czasie Darwin jeszcze nie wiedział, że doszło u nich do tzw. radiacji: populacje pochodzące od wspólnego przodka, który skolonizował wyspy ok. 1,5 mln lat temu, zróżnicowały się, zajmując rozmaite nisze ekologiczne. Niektóre gatunki przystosowały się do obierania nasion, inne – do chwytania owadów. Ale blisko spokrewniony z nimi jest gatunek, który podążył znacznie bardziej zawiłą ścieżką

ewolucyjną. Zięby wampirze (*Geospiza septentrionalis*), bo o nich tu mowa, zamieszkują tylko dwie z kilkunastu wysp archipelagu, które – nawet jak na standardy Galápagos – są wymagające i odludne.

Darwin i Wolf to dwa maleńkie skrawki lądu, o powierzchni, odpowiednio: 1 oraz 1,3 kilometra kwadratowego. Od archipelagu dzieli je ponad 160 kilometrów otwartego oceanu, a ze względu na ukształtowanie terenu najłatwiej dostać się na nie helikopterem.

Niewiele osób miało okazję je zwiedzać. Jednak ci, którym się to udało, mogli stać się świadkami niezwyklej sceny. Wyszedszy na powierzchnię Wolfa lub Darwina, można ujrzeć kolonie dużych morskich ptaków – głuptaków galapagoskich oraz głuptaków niebieskonogich, które siedzą cierpliwie na gniazdach i... ociekają krwią. Obserwowane w tych okolicznościach głuptaki nie wydają się być szczególnie przejęte swoim położeniem, mimo że cały tył ich skrzydeł oraz nasadę ogona pokrywa czerwona substancja wypływająca z ran na grzbiecie. Sprawcą tego stanu rzeczy jest niepozorna zięba wampirza.

Z wyglądu ten gatunek nie wyróżnia się na tle innych zięb z Galápagos: zięby wampirze są niewielkie, szaro-brązowe (samice) lub czarniawe (samce). Mają jednak niezwykle upodobania. Gdy nadchodzi sezon rozrodczy głuptaków – a pokrywa się on z porą suchą na tych

wyspach – zięby wampirze przysiadają na grzbietach tych dużych ptaków morskich i dziobią z uporem w jedno miejsce. Czynią to do czasu, aż głuptaki zaczną krwawić. Kiedy to nastąpi, rozpoczynają krwawą ucztę. Gdy jedna zięba już się nasyca, jej miejsce zastępuje zwykle kolejna.

To niezwykle widowisko rodzi w głowie obserwatora wiele pytań, z których dwa najważniejsze to: dlaczego głuptaki rzadko reagują na działania swoich krwiopicjów oraz czemu niewielkie ptaki śpiewające, przystosowane do spożywania ziaren i owadów, zaczęły pić krew?

Bunt sprzymierzeńca

Odpowiedź na pierwsze pytanie nie jest całkowicie jasna. Niektórzy badacze sądzą, że choć praktyka picia krwi przez zięby wygląda odstręczająco, to w rzeczywistości nie wyrządza głuptakowi zbyt poważnych szkód. Należy się oczywiście spodziewać, że u osobników, które pierwotnie były w złej kondycji, dodatkowy upust krwi przyczyni się do zmniejszenia szansy na przeżycie. Jednak u tych, które nie przejawiają oznak osłabienia, działalność wampirów może nie mieć tak dużego znaczenia. Problemem dla głuptaków może być także liczebność zięb – jeśli krwiopicjów jest odpowiednio dużo, i tak nie uda się ich wszystkich odgonić. Stąd reakcje na te zewnętrzne pasyżyty są raczej opieszałe, podobne do tych, →

*Głuptak galapagoski (Sula granti)
– ofiara krwiożerczych zięb,
Isla de la Plata, Ekwador.*

→ które obserwujemy u dużych zwierząt obsiadanych przez owady. Ale prawdopodobnie największe znaczenie ma to, że głuptaki podczas ataków ze strony wampirzych żięb najczęściej siedzą w gnieździe. Wysiadywane jaja wymagają odpowiedniej temperatury, w dodatku żięby nie gardzą jajami głuptaków – dlatego każde opuszczenie gniazda w celu odpędzenia napastników oznaczałoby zwiększone ryzyko utraty całego lęgu. Na to głuptaki najwyraźniej nie mogą sobie pozwolić. Ich „inwestycja rodzicielska” w potomstwo – mierzona wydatkiem dostępnego czasu i zasobów energetycznych – jest na tyle poważna, że nie warto jej narażać nawet dla odpędzenia wampirów.

Zachowanie samych żięb też jest dla ewolucjonistów bardzo interesujące. Spożywanie krwi (hematofagia) jest wprawdzie powszechne wśród bezkręgowców (komary, kleszcze, pijawki i wiele innych), ale niemal nie występuje u kręgowców. Dlaczego więc te ptaki śpiewające wykształciły taką preferencję żywieniową? Odpowiedź na to pytanie staje się jasna, gdy przyjrzymy się pokarmowi, jaki żięby pozyskują poza porą suchą. Kiedy warunki życia tych ptaków są sprzyjające, preferują one zjadanie ziaren oraz drobnych bezkręgowców. Jeszcze ważniejszy jest dla nich dostęp do słodkiej wody. Gdy jednak nadchodzi pora sucha, dostępność „konwencjonalnego” pożywienia spada – żięby muszą zmienić swoją dietę, a krew głuptaków może stać się jej istotnym uzupełnieniem.

Jak to się jednak stało, że żięby wampirze „wpadły na pomysł” ranienia głuptaków, a następnie spijania ich krwi? Specjaliści sądzą, że najbardziej prawdopodobny scenariusz zdarzeń rozpoczął się od chwytania przez żięby wampirze pasożytów bytujących w piórach głuptaków. Początkowo zatem żięby mogły wyświadczać głuptom przysługę. Przypadkowe zranienia mogły zachęcać żięby do spijania krwi, co z czasem doprowadziło prawdopodobnie do aktywnego i celowego ranienia głuptaków. W efekcie z mutualizmu – relacji korzystnej dla obu zaangażowanych w nią gatunków – wyewoluowało pasożytnictwo. Taki scenariusz wyjaśniałby też częściowo, dlaczego ptaki ofiary nie odpędzają swoich krwiopiczów – być może spodziewają się od nich raczej pomocy niż szkody.



PETE OXFORD / BEW

*Wysiadywane jaja głuptaki są łatwą ofiarą
– wolą stracić trochę krwi
niż ryzykować utratę lęgu.*

Na sąsiedniej stronie: wampir zwyczajny.

Żięby wampirze
prawdopodobnie początkowo
usuwały pasożyty
z piór głuptaków. A gdy
przypadkowo zaczęły je ranić,
**odkryły dodatkowe
źródło pożywienia.**

Słabe źródło energii

Wydawać by się mogło, że spijanie krwi nie kosztuje żięb wiele wysiłku – ani znalezienie ofiary, ani doprowadzenie jej do krwawienia nie jest specjalnie problematyczne. Zastanawiające jest jednak to, że niewiele kręgowców obrało w swojej ewolucyjnej historii taką strategię. Dlaczego? Czyżby hematofagii towarzyszyły „ukryte koszty”?

Okazuje się, że w istocie krew wcale nie jest optymalnym pokarmem dla ptaka czy ssaka. Przede wszystkim nie zawiera ona niemal żadnych węglowodanów, tłuszczu i witamin, a za to ma w swoim składzie mnóstwo białka oraz soli. To oznacza, że nie stanowi dobrego źródła energii, a dodatkowo obciąża nerki i układ wydalniczy. Jest też inny problem. We krwi nie ma zbyt wielu mikroelementów, ale jest mnóstwo żelaza. To zaś – choć w pewnych ilościach jest konieczne do prawidłowego funkcjonowania organizmu – w zbyt wysokich dawkach może uszkadzać organy wewnętrzne, zwłaszcza wątrobę, serce i trzustkę.

Również płynna postać pożywienia – choć w porze suchej może być wielkim atutem – w większości przypadków nie stanowi wcale optymalnego rozwiązania. Aby zaspokoić potrzeby energetyczne,

trzeba spożyć relatywnie dużo takiego pokarmu. To zaś wymaga czasu i odpowiedniej pojemności żołądka. Jest jeszcze jeden aspekt – odżywianie się krwią może być bardzo niebezpieczną praktyką, gdyż zwiększa ryzyko zakażenia się chorobami – zwłaszcza wirusowymi.

Skoro jednak hematofagia jest tak problematyczną strategią żywienia się, to w jaki sposób tym kilku gatunkom kręgowców udało się oprzeć jej negatywnym skutkom? Odpowiedzi na to pytanie warto poszukać u tych kręgowców, które nie traktują krwi jako alternatywnego pożywienia, lecz jako główne źródło energii. Mowa o nietoperzach wampirzych.

Podskoki nietoperza

Zła sława nietoperzy jest z wielu powodów niezasłużona. Najmniej uzasadnione jest kojarzenie wszystkich tych drobnych ssaków z wampiryzmem. Spośród ponad 1,4 tys. znanych gatunków tych zwierząt tylko trzy rzeczywiście żywią się krwią. Wszystkie one żyją w Ameryce Południowej i są z sobą blisko spokrewnione – pochodzą od wspólnego przodka, co sugeruje, że hematofagia, tak wśród nietoperzy, jak i ssaków w ogóle, wyewoluowała tylko jeden, jedyny raz.

Nietoperze wampirze są pod wieloma względami niezwyklejmi przedstawicielami swojego rodzaju. Ich wygląd w niektórych osobach budzi pozytywne skojarzenia, ale zwierzęta te mają fascynatowi przyrody znacznie więcej do zaoferowania niż samą aparycję. Wampiry (taką nazwą określa się wszystkie trzy gatunki tych hematofagicznych ssaków latających) są jedynymi nietoperzami, które potrafią chodzić, biegać, a nawet skakać po ziemi. Ich przednie kończyny, przystosowane do aktywnego lotu, wtórnie zaadaptowały się do stąpania po podłożu. Dlaczego? Ponieważ zwierzęta te – choć są bardzo dobrymi lotnikami – preferują podchodzenie do swoich ofiar od strony ziemi, nie zaś zlatywanie na ich grzbiet z powietrza. Wampiry żerują jedynie w nocy, a ich docelowymi żywicielami są śpiące zwierzęta – zwłaszcza te gospodarskie (świnie, konie, krowy). Zmysły tej grupy nietoperzy są wykształcone w taki sposób, że z łatwością wyczuwają one nie tylko ciepło emitowane przez ofiarę, ale też jej równomierny – właściwy dla głębokiej fazy snu – oddech.



Kiedy nietoperz wampirzy zlokalizuje swojego żywiciela, stara się go podejść od strony gruntu, następnie wypatruje najdogodniejszą lokalizację na ciele ofiary (preferuje miejsca o bogatym ukrwieniu podskórnym). Gdy to się uda, dokonuje precyzyjnego, szybkiego nakłucia ciała ofiary. Do tego celu nie używa wcale – wbrew popkulturowym przekazom – kłów, lecz małych, ostrych górnych siekaczy, które są przystosowane ściśle do tej czynności. Zaatakowane we śnie zwierzę może się nawet nie obudzić, ponieważ w ślinie nietoperza zawarte są substancje o działaniu znieczulającym.

Po przerznięciu ciągłości skóry wampir nie wysysa krwi, lecz czeka, aż niewielka jej ilość wypłynie na zewnątrz. Ponieważ w jego wydzielinie ślinowej znajdują się również antykoagulanty – substancje zapobiegające krzepnięciu – drobna ranka nie zasklepia się tak długo, jak długo nietoperz chłepce krew. To ostatnie sformułowanie jest szczególnie trafne w odniesieniu do nietoperzy wampirzych, ponieważ pożywiają się one krwią poprzez wykonywanie szybkich, częstych ruchów językiem. Jama gębowa tego zwierzęcia stanowi kolejny przykład przystosowania do hematofagii – jej wnętrze posiada mikroskopijne wgłębienia, które tworzą małe kanaliki.

Taka faktura sprawia, że nietoperz musi jedynie dotknąć językiem krwi, a następnie cofnąć go do środka, by płyn sam napływał do jego gardła. Szybkie chłęptanie jest tym łatwiejsze, że ssak ten w dolnym rzędzie zębów posiada specjalną przerwę, która mieści przemieszczający się do przodu i tyłu język. Taki posiłek trwa zwykle około pół godziny. W tym czasie zwierzę nasycza się i pozostawia swojego żywiciela najczęściej nieświadomego roli, jaką ten odegrał na uczcie wampira.

Jak pamiętamy, krew jest jednak pokarmem problematycznym, dlatego przystosowania nietoperzy do takiej diety nie

kończą się na jego głowie i kończynach. Co ciekawe – nie kończą się nawet... na jego własnych genach.

W symbiozie z bakteriami

Adaptacje wampirów do hematofagii znajdujemy w całym ich ciele. Przykładowo, by sprostać ogromnej ilości białka oraz soli zawartych w krwi, ich nerki musiały stać się znacznie bardziej aktywne niż nerki przeciętnego ssaka o podobnych rozmiarach. Nietoperze wykształciły też znacznie skuteczniejsze metody wydalania żelaza. Te rozwiązania – choć bardzo praktyczne – w niewystarczającym jednak stopniu tłumaczyły to, jak wampiry dają radę funkcjonować na krwistej diecie. Długo nie wiadomo np., jak ich organizm pozyskuje węglowodany albo jak radzi sobie z chorobami krwiopochodnymi. Odpowiedzi na te pytania uzyskano dopiero w 2018 r., kiedy to grupa badaczy, z mikrobiologką Marie Lisandrą Zepedą Mendozą na czele, wzięła pod lupę

nie tylko same nietoperze, ale też mikroorganizmy zasiedlające ich jelita.

Badacze przeanalizowali genom nietoperzy oraz genomy ich mikrobiomu jelitowego. Uzyskane wyniki, opublikowane w czasopiśmie „Nature Ecology and Evolution”, wskazują na to, że adaptacje mikrobiomu nietoperzy stanowiły podwaliny ich ewolucyjnego przystosowania do hematofagii. To właśnie mikroorganizmy jelitowe okazały się dostarczać swojemu gospodarzowi związki chemiczne i witaminy niezbędne do przeprowadzania rozmaitych reakcji w komórkach, a nieobecne w pożywieniu wampirów. Mikrobiom wspomaga także gospodarkę węglowo-

danową, dzięki czemu nietoperze te są w stanie przetrwać na pokarmie niemal pozbawionym cukrów.

Badacze wykazali również, że mikrobiom hematofagicznych ssaków dostarczał gospodarzowi białka wiążące żelazo, zapobiegając tym samym jego toksyczności. Stwierdzono też, że to bakterie umożliwiały nietoperzom degradację siarczanu heparanu, który normalnie zawarty jest we krwi kręgowców i uczestniczy w procesie jej krzepnięcia (powstawanie skrzepów jest niekorzystne dla żywiącego się krwią nietoperza, ponieważ zmniejsza dostępność składników odżywczych i utrudnia pracę jelit).

Wreszcie udowodniono, że bakterie jelitowe współpracują z układem odpornościowym nietoperzy i wytwarzają część substancji, dzięki którym nietoperze nie zapadają na choroby wywołane przez patogeny, które trafiają do ich organizmu razem z krwią.

Czy analogicznych adaptacji należy się spodziewać u innych żywiących się krwią kręgowców? Badania opublikowane przez zespół Alice J. Michel w „Microbiome” sugerują, że tak. Mikrobiom jelitowy żubrów wampirzych znacząco różni się od mikrobiomu innych żubrów Darwina, mimo że, jak pamiętamy, krew stanowi tylko część ich diety, i to w tych okresach, w których inne źródła pokarmu i wody są dla nich niedostępne.

Żywienie się krwią wywołuje u wielu z nas obrzydzenie. Czy jednak spożywanie jednej tkanki (mięśni) jest rzeczywiście „lepsze” od jedzenia innej (krwi)? Selekcja naturalna nie ma zmysłu estetyki; interesuje ją jedynie użyteczność cech i zaradność organizmów. Tę zaś należy u hematofagicznych zwierząt dostrzec i docenić, pamiętając jednocześnie, że ewoluowała ona nie na lesistych wzgórzach Transylwanii, lecz w nieprzychylnych i wymagających kreatywności ekosystemach Ameryki Południowej.

© MARTA ALICJA TRZECIAK



G3D STUDIO / ADOBE STOCK

ŻYWOT POLAKA AUSTRIACKIEGO

Błyskotliwy naukowiec, rektor lwowskiej uczelni, cesarski minister: Ludwik Ćwikliński to zapomniany bohater tragedii nie tylko antycznej.

WALDEMAR ŁAZUGA

NALEŻAŁ DO WCALE LICZNYCH AUSTRIACKICH ekscelencji urodzonych poza Austrią – na świat przyszedł bowiem nieopodal gnieźnieńskiej katedry, w rodzinie tamtejszego kantora i organisty. Na wzgórzu niedaleko pałacu biskupa, w sercu miasta.

Stało się to 17 lipca 1853 r., gdy miasto Gnesen należało do Regenz Bromberg (rejencji bydgoskiej), a ta do Provinz Posen, części Królestwa Prus. Z ojca Wojciecha i matki Cecylii z Buszkiewiczów, był Ludwik jednym z siedmiorga rodzeństwa. I jednym z trojga (obok brata Jana Kazimierza i siostry Marii Klementyny), które doczekało pełnoletności. Jeśli wierzyć przekazom, Ludwiczek (jak go nazywano) był chłopcem pogodnym, który wraz ze starszym bratem przechodził zwykle fascynacje i przygody wieku młodzieńczego.

Tamten świat

Spójrzmy na ówczesne Gniezno, na świat, z którego wyszedł.

W gnieźnieńskim archiwum powiatowym znajduje się spis wyborców cenzusowych rejencji bydgoskiej uprawnionych do głosowania w wyborach do sejmiku pruskiego (warunkiem posiadania tego prawa był status majątkowy). Spis pochodzi z połowy XIX w., obejmuje dekadę i wiele mówi o czasach, ludziach i mieście. Na pierwszym miejscu, z dochodem 4 tys. talarów, figuruje tu radca

prawny Wilhelm Bernhard. Za nim trzech żydowski kupcy, a potem biskup sufragan Anzelm Brodziszewski (z dochodem ok. 3,6 tys. talarów). Dalej liczniejsza grupa z dochodem szacowanym na 200 talarów rocznie. Na końcu wyborczy proletariat z dochodem w granicach 50 talarów. Ogółem na prawie 8 tys. ówczesnych mieszkańców Gniezna spis obejmuje zaledwie 553 mężczyzn. Wśród nich, z dochodem 200 talarów rocznie, jedyny na liście kantor i organista Wojciech Ćwikliński, głowa rodziny.

Na pierwszym miejscu listy jest Niemiec – niektóre niemieckie rodziny mieszkające w Wielkopolsce od 300 lat. Do najstarszych polskich rodzin należeli Kwileccy z Kwilcza, noszący nazwisko starsze niż ratusz w mieście. Rodzina Paula Hindenburga – urodzonego w Poznaniu pruskiego generała, a później prezydenta Republiki Weimarskiej – szczyła się równie starą (o ile nie starszą) metryką. Z Kruszwani koło Swarzędza pochodził inny sławny pruski generał, Erich Ludendorff. Wśród jego antenatów figuruje niejaka Dombrowska.

Ćwiklińscy uczęszczający do pruskich szkół byli dwujęzyczni. Wielu ich niemieckich sąsiadów posługiwało się polskim. Pewien student zdziwił się wielce, gdy w Berlinie na uniwersytecie rozmowę po polsku zaczął z nim Rudolf Virchow, medyczna sława (anatomopatolog, przeciwnik Bismarcka i twórca terminu



Kulturkampf). Student nazywał się Adam Wrzosek i został potem pierwszym dziekanem Wydziału Lekarskiego w Poznaniu. Virchow urodził się na Pomorzu.

Tamten świat był zupełnie różny od tego po 1918 r., a zwłaszcza po 1945 r.

Z rolników mniejszych

200 talarów rocznie to w Wielkopolsce połowy XIX w. dużo i niedużo. Nie oznaczało kokosów, ale pozwalało na znośne życie, w tym na kompletowanie księgozbioru, a nawet na wykształcenie na poziomie gimnazjalnym i wyższym dwóch synów.

Dodajmy, że jedyny cenzusowy kantor pochodził z nieodległego Czarniejeewa, wyrosłego wokół rezydencji hrabiów Skórzewskich. Tam też w 1842 r. zawarł związek małżeński. Rodziny państwa młodych, Ćwiklińskich i Buszkiewiczów, związane były z rolnictwem i jakieś zobowiązania, dzierżawy i własności ciągnęły się za nimi latami. Należeli do „klas włościańskiej” alias „rolników mniejszych”. Byli piśmienni, prenumerowali gazety, przywiązani do Kościoła i spotykający się – nie tylko dla wspólnego śpiewania – w przykościelnych chórach.



*Empfang S. M. des Kaisers und Königs Franz-Josef I.
im neuen Gebäude des kais.-k. Hof- und Staatsarchivs zu Wien (1904).*



*Ludwik Ćwikliński na zdjęciu
Charlesa Scolika, data fotografii nieznana*

Od rodziców, którzy dzięki muzykalności ojca społecznie awansowali (przeprowadzka z Czerniejewa do Gniezna była tego wyrazem), odebrał Ludwiczek staranne wychowanie, zwane kindersztubą. Miał przeniknąć też organicznikowskim duchem solidności i pracowitości. Tak przynajmniej był postrzegany później, już w swoich „austriackich” latach.

Podobnie widziany był – o rok starszy od Ludwika – Kazimierz Morawski z Jurkowa koło Kościana, przedstawiciel tułejskiego ziemiaństwa („rolników więk-

szych”). Ten pierwszy zostanie potem filarem profesury lwowskiej, ten drugi – filarem profesury krakowskiej. W Poznaniu wtedy uniwersytetu nie było. Jednego i drugiego od galicyjskich profesur oderwać nie sposób.

Kusząca starożytność

Nazwisko Ćwikliński występuje na terenie całej obecnej Polski, najczęściej jednak na pograniczu Wielkopolski i Kujaw. Wywodzi się najprawdopodobniej od buraka ćwikłowego czerwonego, znanego już w świecie starożytnym, który do Polski trafił przez Niemcy, Śląsk i Wielkopolskę. W wersji pierwotnej nazwisko brzmiało najpewniej: Ćwikła. Ale jako toponim Ćwikłowa występuje w kraju tylko raz: to nazwa przysiółka i folwarku w Turwi w powiecie kościańskim, w XIX w. należącej do Chłapowskich, słynących z nowoczesnego rolnictwa.

Liceum Ogólnokształcące im. Bolesława Chrobrego w Gnieźnie należy dziś do Klubu Najstarszych Szkół w Polsce. W holu wisi olbrzymia tablica z nazwiskami najslawniejszych absolwentów, a listę otwiera dwóch luminarzy polskiej

Franciszek Józef I w otoczeniu wiedeńskiej elity z początku XX w.; z prawej strony cesarza Agenor Gołuchowski, minister spraw zagranicznych Austro-Węgier i jeden z najważniejszych „austriackich Polaków”. Należący do tego grona Ludwik Ćwikliński był wtedy referentem spraw uniwersyteckich w austriackim Ministerstwie Wyznań i Oświaty. Heliograviura wzorowana na obrazie Karla J. Peyfussa z 1904 r.

nauki: filolog i znawca antyku, rektor Uniwersytetu Lwowskiego i austriacki minister Ludwik Ćwikliński oraz Józef Kostrzewski, archeolog kojarzony najczęściej z wykopaliskami w Biskupinie.

O postępkach Ludwiczka w szkole powszechnej niewiele wiadomo. O postępkach w Królewskim Gimnazjum Gnieźnieńskim już więcej. Lekcje opuszcza rzadko. Po ojcu może ma słuch nie tylko muzyczny, ale i do języków obcych. Niemiecki zna od dzieciństwa. Łacinę i grekę szybko opanuje. Pociąga go świat antyczny, historia i literatura. Pisarzy starożytnych, a zwłaszcza umiłowanego Tukidydesa z Aten, przeczyta już w ławie szkolnej. Na rok przed maturą deklaruje, →

→ że pójdzie na studia filologiczne do Wrocławia (nieco tańsze niż w Berlinie). Królewskiemu Gimnazjum na odchodne ofiaruje dwie książki. To pewnie pierwsza darowizna w jego życiu.

„Popis dojrzałości” odbywa się w 1870 r. w dwóch turach: wiosennej i jesiennej. Komisji maturalnej przewodniczy „królewski komisarz, tajny radca regencyjny” (z zawodu doktor teologii). Maturę składa ośmiu uczniów: trzech ewangelików, czterech katolików i jeden wyznania mojżeszowego. Nie wszyscy wybierają się na studia. Ćwikliński w tej stawce należy do najlepszych.

Cudowne dziecko między filologami

We Wrocławiu idzie w ślady starszego Wielkopolanina – Ksawerko Liskego, gimnazjalisty z Leszna, syna dzierżawcy folwarku, późniejszego założyciela „Kwartalnika Historycznego”. Dla najsłynniejszego pamiętnikarza galicyjskiego, Kazimierza Chłędowskiego, gnieźnianin i leszczynianin byli „niskiego pochodzenia”, z których pierwszy „zarozumiały, ordynarny, zazdrośny”, „kwintesencja niemieckiej, filologicznej uczoności”, był „cudownym dzieckiem pomiędzy filologami”, drugi zaś podczas studiów „bardzo się lampartował” (czyli po prostu – hulał), „lubił dobrze jeść i pić”, a potem dobrze się ożenił i był „bardzo dobrym profesorem”.

Po dwóch semestrach we Wrocławiu „cudowne dziecko” przenosi się do Berlina, gdzie od sław filologicznych i historycznych aż się roi. Zapisuje się na Wydział Filozoficzny tutejszego uniwersytetu, uczęszcza na wykłady Theodora Mommsena (później laureata Nobla, za „Historię Rzymu”), uzupełnia je wykładami z filozofii i prawa, a dysertację o wojnie peloponeskiej napisze pod kierunkiem innej naukowej sławy, Johanna Gustava Bernharda Droysena. Doktorat obroni w 1873 r. i wyda jako książkę (w oficynie z Gniezna).

W filologii klasycznej jego rozprawa była jednym z najgłośniejszych ówczesnych debiutów. Zadziwił odwagą, wnikliwością i dojrzałością. Niewykluczone, że dla zrozumienia Tukidydesa nikt do dziś nie zrobił od niego więcej. Wciąż cytowany, uważany jest za uczonego, który polską filologię klasyczną podniósł na europejski poziom.

W 1875 r. przez krótki czas uczy języków klasycznych w berlińskim gimna-

zjum. Przełomowy w jego karierze okazał się rok 1876, kiedy to otrzymuje ze Lwowa ofertę objęcia jednej z katedr filologii klasycznej. Błyskawiczny awans – profesorem zostaje w wieku 23 lat! – wywołuje rozmaite komentarze. Trzeba dodać, że wspiera go kilka wpływowych osób z Wielkopolski. Rzecz zaś – zanim jeszcze trafia na radę wydziału – rozstrzyga się *de facto* we lwowskiej kawiarni.

Z tych kilku protektorów najważniejszy jest Ksawery Liske, który w Wielkopolsce zasłynął repliką daną Bismarckowi, a we Lwowie błyskotliwymi tekstami w gazecie podpisywanymi „Poznańczyk”. Liske buduje swoje naukowe i towarzyskie zaplecze. Z czasem się zaprzyjaźnia i będą się wzajemnie wspierać.

Z własnego postanowienia

Idzie dobrze, skoro już po roku Ćwiklińskiemu – będącemu w wieku dzisiejszych studentów – powierza się wygłoszenie inauguracyjnego wykładu na lwowskiej uczelni.

Tekst wykładu pt. „Uniwersytet a nauka” to w druku 31 stron, a w środku myśli, których nie powstydziliby się profesor u schyłku kariery. Czytamy o idei „uniwersalności nauki uniwersyteckiej”, „rozkrzewianiu się umiejętności” przynoszącemu zaszczyt naszemu wiekowi i jednocześnie niebezpieczeństwie ich postępującej separacji. Jest o uniwersytecie jako „przybytku nauki idealnej” i są słowa, że to „instytucja stara, ale tylko w fundamencie”. Jest pochwała lingwistyki porównawczej (nie zapomina o swojej dziedzinie) i wykopalisk archeologicznych (niebawem z urzędu będzie ich opiekunem). Jest też piękny apel do „młodzieży uniwersyteckiej”, wzywający do pielęgnowania wolności. I dłuższy wywód, że po studiach można zostać liberałem albo konserwatystą, wstecznikiem albo postępowcem, prawowiernym albo heretykiem – istotne tylko jest, aby nie być nim „z przyzwyczajenia młodego wieku, z niejasnych pojęć, z tradycyjnego posłuszeństwa, lecz (...) z samodzielnego postanowienia”.

Na koniec kilka zdań skrzydlatych: „Kto szczegółem pogardza, całości nie zrozumie”. Bądźmy skromni – prawda „zupełna nie przypada nam w udziale”. Bądźmy odważni – przygotowanie do światła i dążenie do światła jest „istotą życia ludzkiego” (zachowało się nagranie jednego z jego późniejszych wystąpień:

Po prawej: uroczystość jubileuszu 60-lecia profesury Ludwika Ćwiklińskiego (siedzi na honorowym miejscu), zorganizowana na Uniwersytecie Poznańskim 6 czerwca 1936 r.; przemawia rektor Stanisław Runge. Ćwikliński został profesorem w 1876 r., gdy objął katedrę filologii klasycznej we Lwowie, mając wtedy 23 lata. Siedziba Uniwersytetu Lwowskiego w latach 1851–1920 (dawne kolegium jezuickie przy kościele św. Mikołaja). W latach 1893–94 Ćwikliński był rektorem tej uczelni.

mówił wolno, dobitnie, głos miał wysoki i niezbyt mocny).

W tym samym roku 1877 publikuje kolejny artykuł o wojnie peloponeskiej, potem na ten sam temat jeszcze dwa. Równocześnie pisze studia z renesansu, wydaje źródła ze średniowiecza, przekłada na polski antycznych poetów, publikuje w gazetach, pisze – wielokrotnie wznawiany – podręcznik gramatyki greckiej, zakłada „Gabinet dla archeologii klasycznej”, staje się jednym z pionierów archeologii klasycznej w kraju. Z jego inicjatywy wychodzi pierwszy zeszyt pisma „Eos”, ukazującego się do dziś. W 1894 r. zostaje prezesem świeżo utworzonego Towarzystwa Filologicznego. Piśsze setki listów (ich lektura to dla badacza istna golgota, bazgrze bowiem jak kura pazurem).

W 1883 r. po raz pierwszy, a w 1890 r. po raz drugi zostaje dziekanem Wydziału Filozoficznego. W 1893 r. jest już – w wieku 40 lat – rektorem lwowskiego c.k. Uniwersytetu imienia Cesarza Franciszka I. Po roku zasiada w radzie miasta Lwowa, a w 1899 r. zostaje posłem do austriackiej Rady Państwa (izby niższej austriackiego parlamentu) i niebawem drugim wiceprezesem Koła Polskiego w tymże parlamencie.

Spóźniony minister

Niespełna pięćdziesięcioletni, w 1902 r. przenosi się do Wiednia – powołany na szefa sekcji i referenta spraw uniwersyteckich austriackiego Ministerstwa Wyznań i Oświaty. Szef sekcji – wobec szybko zmieniających się ministrów – to nieraz prawdziwy kierownik resortu.

Choć Ludwik Ćwikliński nie jest w tej roli na pierwszej linii politycznego frontu, nie może już abstrahować od polityki. Od 1908 r. namiestnikiem Galicji jest Michał Bobrzyński, a ministrem skarbu w Wiedniu kolejny Wielkopolanin – Witold Korytowski. Poprzez żonę,



NAC x2

Zofię z domu Cegielską, Bobrzyński jest wżeniony w kraj nad Wartą.

Zrazu ta mała konstelacja działa zgodnie. Pęknie, gdy Bobrzyński – popierający polityczną emancypację galicyjskich Ukraińców (nie z miłości do nich, lecz aby wygrać konflikt o ich serca i umysły z ukraińskimi moskalofilami) – popadnie na tle reformy wyborczej w konflikt z biskupami. Nazwą go liberałem i masonem. Syn gnieźnieńskiego organisty staje po stronie namiestnika. Korytowski, który w 1913 r. zostanie następcą Bobrzyńskiego w pałacu namiestnika, po stronie przeciwnej.

Ćwikliński radzi sobie w ministerstwie nie gorzej niż na uniwersytecie. Z uznaniem – rzecz to rzadka – wyraża się o nim Szymon Askenazy (historyk i znajomy z lwowskiej uczelni), dla którego koledzy-profesorowie to przeważnie albo „dupy wołowe”, albo „nie bardzo mocni na głowie”. „Eksceleńcja jednak pocziwa” – pisze natomiast o Ćwiklińskim i nie szczędzi mu pochwał.

Gdy podczas I wojny światowej w Galicji wybucha „wojna domowa o Bobrzyńskiego” – głównego architekta linii politycznej, która w Austrii widzi oparcie dla sprawy polskiej – Ćwikliński znów stanie po jego stronie. Niektórzy mu tego nie zapomną [o Michale Bobrzyńskim i jego relacji z Józefem Piłsudskim patrz „TP” nr 19/2020 – red.].

Ministrem oświaty zostaje ostatecznie w trzecim od końca gabinecie cesarskiej Austrii, w połowie roku 1917. Choć nadunajaska monarchia tonie, on stara się odzyskać zarekwirowane przez wojsko budynki szkolne, chroni nauczycieli przed pauperyzacją, zatwierdza habilitacje, reformuje studia prawnicze i medyczne oraz – co najbardziej może zaskakuje – otwiera uniwersytety przed kobietami. Za jego urzędowania, w lutym 1918 r., umiera Gustav Klimt, uznany już przez współczesnych za „jeden z czarno-żółtych filarów”,

i wydarzenie to głębiej niejednemu zapadnie w pamięć niż nowe Landesmuseum, które Ćwikliński uroczystie otworzy.

Ministrem jest „spóźnionym”. Część rodaków porzuca już Austrię. O nim kilka gazet pisze: „Oto Polak w służbie obcej karierę robiący...”. Wśród tych gazet jest „Kurier Poznański”.

Bez entuzjazmu

Gdy monarchia leży w gruzach, w Wiedniu spotyka się czterech byłych ministrów: Leon Biliński (były szef cesarskiego resortu skarbu, a wcześniej rektor Uniwersytetu Lwowskiego), Agenor Gołuchowski (były c.k. minister spraw zagranicznych), wspomniany już Korytowski oraz Ćwikliński. Cała czwórka szykuje się do powrotu do domu. Naiwnie wierzą, że odradzająca się Polska na nich czeka. Dyskutują już o urzędach, które obejmą.

Ćwikliński – były rektor i europejska sława filologiczna pierwszej wody – jedzie do Poznania. Liczy na etat profesora na tworzącym się właśnie uniwersytecie. Publikuje w lokalnej prasie kilka tekstów. Składa kurtuazyjną wizytę rektorowi Wszechnicy Piastowskiej. Ofiarowuje ściągnięty z Austrii bogaty księgozbiór filologiczny po jednym ze zmarłych tam profesorów. Ale ani darowizna, ani on sam nie budzą entuzjazmu. Rozmowy trudno uznać za udane. Rektor sprawę odsyła do Senatu, Senat do rady wydziału, a rada wydziału po jakiejś niestosownej zwłoce postanawia, że kandydaturą Ludwika Ćwiklińskiego nie jest zainteresowana. Jednocześnie dokoła słyszy o sobie wiele pochlebnych opinii.

O powodach niechęci do Ćwiklińskiego wszyscy wiedzą, ale nikt głośno nie mówi. To zresztą zaledwie odprysk tego, co po 1918 r. dzieje się na uniwersytecie w Krakowie. Walczą tam „Francuzi” z „Austriakami”. Kto „za Austrii” był wysoko w hierarchii, miał austriackie posady i order, teraz jest obiektem ataków zwolenników

zwycięskiej ententy. Dostaje się Stanisławowi Estreicherowi (mimo to ten historyk prawa będzie w latach 1919-21 rektorem UJ; zginie w 1939 r. w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen). Od Stanisława Kota, zrezygnowanego i wybierającego się już do Poznania historyka kultury i wychowania, jako warunku habilitacji żąda się, aby się swoich niesłusznych poglądów wyrzekł... (ostatecznie Kot zostanie na UJ, będzie profesorem).

Ćwiklińskiego po upadku Austrii straciłszy – napisano po latach – „zatroskani o to, czy Francja nie pomówi nas o germanofilie”. Udawano, że przeszkodą był jego wiek. On sam najpierw próbuje przeczekać zły okres na uniwersytecie w Wilnie, ale po roku wraca do Poznania. Ostatecznie po siedmiu latach i wielu staraniach zostaje profesorem honorowym Uniwersytetu Poznańskiego. Decyzję o tym podejmuje Rada Wydziału Humanistycznego, a rozkład głosów jest zaskakujący: siedmiu jej członków jest „za”, ale aż pięciu „przeciw”.

Przytulisko

Schorowany Ćwikliński przeżywa połowę swoich uczniów. Gdy w 1939 r. do Poznania wkroczą Niemcy, wiedząc, kim jest, proponują mu podpisanie volkslisty. Odmawia i zostaje uwięziony (zapewne w słynnym Forcie VII). Zwolnią go, prawdopodobnie ze względu na stan zdrowia. Jak wielu Polaków, którzy nie chcą zapisać się do narodu niemieckiego, musi opuścić ziemię wcieloną teraz do III Rzeszy. Osamotniony, trafia ostatecznie do klasztoru kapucynów w Krakowie, który w tym czasie służy jako szpital i przytulisko dla ludzi starych. Tu umiera 3 października 1942 r., w wieku 89 lat.

Pochowają go na cmentarzu Rakowickim. Na wyraźne żądanie niemieckich władz okupacyjnych nad grobem nie będzie żadnych mów. Nie ukażą się też żadne nekrologi. © WALDEMAR ŁAZUGA

AGATA BUZEK

(ur. 1976 r. w Pyskowicach)
dzieciństwo i młodość
spędziła w Gliwicach.

W 1999 r. ukończyła
warszawską Akademię
Teatralną. Aktorka Teatru
Ateneum w Warszawie
(1999–2003).

Współpracowała
z warszawskimi teatrami:
Powszechnym, Montownią,
Polonią, Przestrzenią
Wymiany Działań „Arteria”,
Studium Teatralnym KOŁO,
Narodowym, Nowym
Teatrem, Rozmaitościami
oraz paryskim
Odeonem. Wystąpiła
w przedstawieniach
reżyserowanych m.in. przez
Tomasza Zygadłę, Andrzeja
Domalika, Krystynę Jandę,
Igora Gorzkowskiego,
Iwana Wyrypajewa,
Krzysztofa Warlikowskiego.
Zagrała w wielu filmach,
m.in. w „Zemście” Andrzeja

Wajdy, „Straży nocnej”
Petera Greenawaya,
„Valerie” Birgit Möller,
„Paparazzo” Stephana
Wagnera, „Niewinnych”
Anne Fontaine,
„11 minutach” Jerzego
Skolimowskiego,
„Córce trenera” Łukasza
Grzegorzka. Za rolę w filmie
„Rewers” Borysa Lankosza
otrzymała wiele nagród,
w tym za najlepszą rolę
kobietą na Festiwalu
Polskich Filmów
Fabularnych w Gdyni.
Niedawno na portalu
Netflix miał premierę film
z jej udziałem
pt. „Erotica 2022”.

Wspiera Polską Akcję
Humanitarną, działa na
rzecz ochrony zwierząt,
angażuje się w akcje
polityczne, m.in. Wolna
Białoruś, działała
w Fundacji Arteria,
która zorganizowała
w Warszawie Tydzień
Wietnamski.

CAŁA TA JASNOŚĆ

AGATA BUZEK, AKTORKA:

W chorobie doświadczałam momentów załamania,
a mimo tego widzę tam światło.
Rodzice nie karmili mnie lękiem, karmili mnie nadzieją.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Opowiesz
o krawacie?

AGATA BUZEK: To najpierw przyniosę
skrzynki. W jednej jest krawat, w drugiej – cer-
tyfikaty.

Skrzynki są drewniane, jakby od górali.

Mariusz Benoit poprosił o ich wykonanie
swojego znajomego z Zakopanego.

Certyfikat pierwszy: „Krawat Jaracza
– nagroda przechodzi na Mariusza

Benoit, zobowiązuje obecnego po-
siadacza do przekazania po 25 latach
młodemu, utalentowanemu aktorowi
polskiemu. Nagroda ta wręczona zostaje
dzisiaj przez Tadeusza Łomnickiego,
pierwszego aktora wyróżnionego tą
nagrodą w roku 1961 przez Stanisła-
wę Perzanowską. Ten aktorski krawat
był noszony przez Stefana Jaracza pod
koniec lat 30. Zobowiązuje się obecnego
posiadacza nagrody do pieczołowitego
przechowywania tej pamiątki oraz do
przekazania jej w dobrym stanie nie-
znanemu jeszcze następcy. Gratuluję Ci,
Mariuszu, jesteś dziś wspaniały, bądź
wielki. Warszawa. Listopad 1984, Teatr
Studio, Malarnia”.

I drugi: „Z wielką satysfakcją składam
w ręce Agaty Buzek nagrodę ustanowio-
ną przez Tadeusza Łomnickiego i proszę
o przekazanie jej w stosownym czasie
wskazanej przez siebie osobie z aktor-
skiego grona, Mariusz Benoit, Warszawa
30 października 2019 r.”.

Zobacz jeszcze ten krawat.

**Z grubego materiału, w kratkę, dominują
zieleń i granat. Założyłaś go kiedyś?**

Nie. Poza tym ta elegancka szpilka z zieloną
główką go przyspila, nie chcę tego naruszyć.
Jestem pierwszą kobietą, która dostała ten kra-
wat.

Jakie to uczucie?

Zaszczyt. W Polsce jest trochę aktorów do
wyboru. Próbowałam dopytać pana Mariusza,
dlaczego ja, ale nie umiem streścić, co mi od-
powiedział.

Spróbuj.

Wywnioskowałam, że ma poczucie mojej
bezkompromisowości i że się do tej pory ja-
koś znacząco nie zbliżniłam. I że na pewnym
etapie wystarczającym osiągnięciem jest brak
dużej zawodowej wtopy. Myślę, że docenił też
różne moje pozazawodowe działania.

To, że otrzymałam krawat, jest bardzo miłe
i jednocześnie bardzo zobowiązujące.

**Zobowiązujące do utrzymania poprzecz-
ki?**

Mam w sobie nadodpowiedzialność za
uczucia publiczności, za trudne emocje, które
może wywołać film lub spektakl. Ale właści-
wie powinnam mówić o tym w czasie prze-
szłym, włożyłam sporo pracy w uwolnie-
nie się od zbyt dużej odpowiedzialności. Już
wiem, że to, jak widz zinterpretuje postać,
jest nie do przewidzenia. Dlatego robię rze-
czy w zgodzie ze sobą; z tym, co myślę i jak się
czuję. Resztę trzeba puścić.

W sensie?





→ To jak z planami podczas pandemii: nagle okazało się, że są nic nie warte. W pewien sposób wspaniałe doświadczenie, bo pokazujące, że tylko nam się wydaje, że sprawujemy pełną kontrolę nad swoim życiem, że trzymamy za wszystkie sznurki, że wiemy, gdzie spędzimy przyszłe wakacje.

Niektórzy się wściekli, że nie mogą trzymać tych sznurków.

Ja się nie wściekałam. Co więcej: sporo moich znajomych też czuje wdzięczność za tę trudną, lecz dobrą lekcję przewartościowania niektórych rzeczy, a nawet całego życia.

Hm.

Wiem, że wielu ludzi nie miało szans na refleksję, bo musieli skupić się na przezwyciężeniu trudnego czasu, rozwiązywaniu kłopotów finansowych, walce z chorobą. Pandemia potrafiła zniszczyć dorobek życiowy; plajtują przedsiębiorcy, którzy zaciągnęli kredyt, zamykane są restauracje i hotele. Nie da się tych wartości łatwo generalizować.

A Ty co przewartościowałaś?

Zrobiłam coś, na co zawsze brakowało mi czasu. Zobacz, tam pod stołem leży hang drum – instrument, o którym marzyłam pewnie ze dwa lata. I gdyby nie pandemia, nie miałabym go tutaj.

Wygląda jak latający spodek.

Nazywam go UFO. Dwa lata temu byłam z moją przyjaciółką Izą Gwizdak w Portugalii na wymianie artystycznej. Mieszkaliśmy w Águeda, niedaleko Porto. I tam spotkałam człowieka, który grał na hang drumie. Trochę mnie uczył: pokazywał, jak wydobywa się dźwięki. Chodzi o to, że trzeba uderzyć bardzo krótko luźną dłoń, bo gdy przytrzyma się ją trochę dłużej, tłumi się wibrację. Posłuchaj...

Koi.

Trzy miesiące zajęło mi szukanie w internecie odpowiedniego egzemplarza – hang drumów jest dużo i o różnych tonacjach. Wykuwa się go ze stali, szlifuje, spawa, nacina, samo strojenie zajmuje nawet tydzień. Uczę się teraz na nim grać z niemieckich filmików na YouTube.

W ogóle w pandemii odkryłam, że ciągnie mnie w stronę dźwięków. Nie chodzi mi o muzykę, tylko w ogóle o dźwięki płynące ze świata. Zobacz, jak wpływa na



Peter Greenaway i Agata Buzek na planie filmu „Straż nocna”, 2006 r.

człowieka hałas na ulicy, a jak śpiew ptaków w lesie, szum fal. Polubiłam gongi, misy, dzwony, dzwonki, dzwoneczki – subtelne i nienachalne. Niosą spokój, wytchnienie, łagodność. Nie zmienia to faktu, że lubię muzykę z lat 80. i 90., do której można potańczyć.

Więc podkreślam z całą mocą: pandemia ofiarowała czas, który pozwolił mi usłyszeć rzeczywistość.

A gdybyś miała wrócić do czasu minionego i przypomnieć sobie moment, w którym zachwyciłaś się aktorstwem?

Zaczęło się od przebieranek. Jestem dziewczynką, mam wór maminych ciuchów i długie włosy robione z rajstop wypchanych innymi rajtami, skarpetami, chustkami, do tego siedem spódnic warstwowo nałożonych, bo chcę wyglądać jak królowa. Więc kostium był pierwszym bodźcem do tego, by zostać aktorką. Choć na co dzień moda mnie nie pasjonuje.

Naprawdę? Przecież byłaś modelką, w Paryżu chodziłaś po wybiegach.

Tyle że ja na tych wybiegach byłam absolutną dyletantką, nic mi nie mówiły nazwiska projektantów. Szłam na próbki, zakładałam, co miałam założyć, i pojąć nie mogłam, dlaczego ten, kto to uszył, jest taki sławny i wszyscy wkoło wzdychają z zachwytem. Najbardziej fascynowały mnie pokazy mody jako rodzaj spektaklu: scena, widownia, światła, muzyka. Na wybiegu dawałam sobie zadania aktorskie. Raz byłam królową, kiedy indziej detektywem szukającym pośród publiczności groźnego przestępcy.

Ale po co był ten wybieg? Kiedy podejmowałaś decyzję, byłaś już zawodową aktorką.

Spełniłam marzenie. Pomyślałam: mam 24 lata, za chwilę będzie za późno. A potem przyjaciel powiedział, że jego brat pracuje w tej branży i powinnam spróbować. Pomogły sploty okoliczności.

I co Ci z tego zostało?

Luz w sprawie castingów. Castingi aktorskie odbywają się raczej rzadko, np. raz na dwa miesiące – w związku z tym obarczone są dużym stresem. Najpierw trzeba się do nich starannie przygotować, potem czekać na odpowiedź. Wtedy wracam pamięcią do castingów, w których uczestniczyłam jako modelka. W ciągu dnia miałam ich siedem. Z chwilą ukończenia castingu zapomniałam o nim, nie zastanawiając się nawet, czy chcę go wygrać. Wiedziałam, że muszę teraz wsiąść w metro i mam 40 minut, by zdążyć na następny. Słowem, zajmowałam się tym, co mam teraz do zrobienia, a nie oczekiwaniami.

W pokoju, w którym siedzimy, wczoraj pół dnia nagrywałam casting w języku niemieckim. Pomogły mi przyjaciółki, jedna mówi po niemiecku i partnerowała mi w dialogu, druga filmowała. Wysłałam nagrania i gdyby nie to, że teraz o tym opowiadam, już bym o nim nie pamiętała.

To takie proste?

Nie, to nie proste. Ale dzielenie włosa na czworo nie prowadzi do niczego dobrego. Zastanawianie się, czy powinnam się inaczej uczyć o drugiej sceny albo czy na pewno światło było odpowiednie,

mielenie w głowie czegoś już zrobionego i wysłanie, jedynie zabiera czas i siły.

A to nie jest odpuszczanie?

Czym innym jest płynące z serca pragnienie, by coś się spełniło, a czym innym moment, kiedy przeradza się to w kompulsywną gonitwę myśli, zapiekłość i chęć dojścia do celu po trupach.

Nigdy nie miałas w sobie tej zapiekłości?

Miałam. Tak wspominam casting do filmu „Troja”. Czekając na werdykt nie mogłam myśleć o niczym innym. A po przegranej długo nie mogłam odpuścić pretensji do siebie i lekkiej niechęci do Diane Kruger, która ostatecznie zagrała Helenę. Aż śmieszne, jak teraz to wspominam. Już się nauczyłam, żeby moje marzenia mnie nie zjadały. To nie znaczy, że marzę, leżąc w domu na kanapie z przekonaniem, że super, jeśli marzenia się same zrealizują, a jeśli nie – trudno. Czasami trzeba pomóc sprawie, powiadomić człowieka, z którym by się chciało pracować, a nie wymagać od niego, że będzie duchem świętym i sam się domysli.

Ty tak zrobiłaś?

Napisałam list do reżysera castingu „Quo vadis”, bo bardzo chciałam zagrać Ligię... Tu akurat też się nie udało.

Poza tym słucham intuicji, która podpowiada, co mnie uskrzydli i rozwinie, a co umęczy i nie pozwoli zmrużyć oka. Ta granica jest indywidualna, mocno uwewnętrzniona, można ją wyczuć tylko w sobie, dlatego trudno ją definiować.

Choroba nowotworowa nauczyła Cię strzec tej granicy?

Nie rozbieram tego na czynniki pierwsze, ale mam jeden bardzo konkretny wniosek, który dziś mogę wyciągnąć z tamtego czasu, a minęło przecież trzydzieści lat. Sprowadza się on do nieskończonej ilości nadziei, wiary i miłości ze strony rodziców. W chorobie doświadczałam momentów załamania, a mimo tego widzę tam jasność. Mama i tata nie karmili mnie lękiem, karmili mnie nadzieją. Nigdy nie doświadczyłam zakazów, nakazów, kar. Pewnie dlatego jest mi dziś łatwiej przekabacać się na tę stronę ufną i marzeniową, niż tkwić w ciemnościach, które przecież też dobrze znam.

Jak to robisz?

Czym innym jest płynące z serca pragnienie,

by coś się spełniło,
a czym innym moment,
kiedy przeradza się to
w kompulsywną
gonitwę myśli,
zapiekłość i chęć dojścia
do celu po trupach.

Staram się odciąć od myśli i emocji, stanąć obok, zobaczyć siebie z dystansu, jakbym patrzyła na innego człowieka.

To dopiero sztuka!

Gdyby moja przyjaciółka przegrała casting, na którym bardzo jej zależało, powiedziałabym jej, że zrobiła wszystko, co w jej mocy i jak najlepiej, a skoro nie wygrała, najwyraźniej tak miało być, pojawi się coś innego i lepiej się nie zadreć.

A sobie co byś powiedziała w tej samej sytuacji?

To samo. Tylko jest to trudniejsze. Dla siebie częściej bywam surowa. Łatwiej uspokoić innych niż siebie.

Ale mam swoje metody. Nie oglądam wiadomości, nie zaglądam do internetu, nie mam konta na Facebooku. Mam konto na Instagramie – i to wystarczy. Zaglądam raz na dwa miesiące i widzę wtedy, ile wszyscy odbyli egzotycznych podróży, co wykwinętnego jedli, z kim ważnym się spotkali, czego właśnie się nauczyli, jak zdrowo wyglądają i jakie sobie kupili piękne ciuchy. To nadmucha do granic absurdu bańka, która nic nie mówi o życiu innych. Rzadko pokazywana jest druga strona medalu, czyli to, że ci ludzie w bańkach mają trudne życie, niezależnie od tego, w jak bajecznie urządzonej domu mieszkają. Gdy ulegnę pokusie przejrzenia Instagrama, trudno potem powstrzymać się od porównywania do innych. Łapię się na myśli: ojej, może powinnam kupić sobie nowe auto albo pojechać na Zanzibar? A potem przychodzi myśl druga: ani auta nie potrzebuję, ani nie chcę nigdzie jechać.

No a te Twoje prawdziwe porażki?

Gdy robię teraz w pamięci ich szybki przegląd, to widzę całkiem sporo.

I?

Polaryzacja pomiędzy sukcesem a porażką to jest prawdziwa porażka. To jedynie dwa różne doświadczenia – łatwiejsze i trudniejsze. A nazywanie tych trudniejszych porażką powoduje, że człowiek ma poczucie bycia gorszym i woli na ich temat milczeć.

Sama nie jestem od tego wolna. Czuję, co się ze mną dzieje na samo wspomnienie wysiłku włożonego w to, by psychicznie i fizycznie wygrzebać się z fatalnego stanu, by nie nałykać się pigułek, zacząć z powrotem jeść i nie bać następnego dnia, tylko czekać na niego z nadzieją. Nie chcę wracać w te rejony.

To wróćmy do rejonów Twojego aktorskiego początku, który nam ciągle umyka.

Jako dziewczynka zachwycalam się Romy Schneider w roli Sissi, która co scena zmieniała suknie.

Czyli ponownie przebieranki.

Dopiero wiele lat później dowiedziałam się o trudnym życiu Romy Schneider. W ogóle jak pomyśleć o tych wspańniętych, pięknych, które osiągnęły sukces, to znakomita większość z nich była prywatnie nieszczęśliwa i fatalnie skończyła.

Tu lista jest długa, a na niej m.in. Marlene Dietrich, Marilyn Monroe, Maria Schneider.

Patrząc na Meg Ryan, myślę o końcu świata. Kiedyś piękna i zdolna, dziś nie do poznania po operacjach plastycznych. Na twarzy ma wypisane zaszczucie, jest chodzącym nieszczęściem ukrytym za teoretycznym sukcesem – pieniędzmi, sławą, mężczyznami.

A oszukiwanie czasu operacjami plastycznymi nie wiąże się z tym, że najatrakcyjniejsze role są dla aktorek młodych?

Ale czy to są te role, o które warto się tak desperacko ścigać? Czy za rolę warto płacić taką cenę? Warto dla niej pozbyć się twarzy?

Myślę jednak, że to bardziej kwestia presji lansowanego ideału piękna, który sprowadza się do tego, by za wszelką cenę zachować młodość. Problem nie dotyczy →

→ tylko aktorek, ale wszystkich kobiet, tyle że nie widać ich w filmach.

No, a Ty?

Dla mnie smutna jest perspektywa coraz większej niechęci do pokazania swojej twarzy i strachu przed tym, czy nadejdzie dzień, w którym będę się jej wstydić. Pomimo całej mojej pracy, by tak się nie stało, być może będę musiała się z tym zmierzyć. Gdy jestem zmęczona, zdarza mi się dostrzec, że jestem starsza o dwadzieścia lat od swoich mentalnych wyobrażeń.

Boli?

Rozczarowuje. To najbardziej namacalna inkarnacja nieustających zmian. Jedynie, co można robić, to oswajać się z tym i wierzyć, że najbardziej interesujące są twarze starców, na których widać przeżytą prawdę. Przecież w lesie uwagę przykuwa buk, który był dwa razy złamany, ma dziwne konary i odgałęzienia, a nie sto pięćdziesiąt drzewek prościusienkich, młodziesienkich i nie do odróżnienia.

Sama sobie powtarzam, że przemijania nie warto oszukiwać.

Można też spotkać mądre kobiety, które to potwierdzą swoją postawą.

Jestem szczęściarą, bo mam wspaniałą mamę. Esencją naszej relacji jest to, że od mamy nieustająco się uczę. Nie w taki sposób, że ona przekazuje wiedzę, prawdy, morały, sypie złotymi radami, ale przez jej postawę wobec życia. I przez to, jak patrzy na ludzi.

Jak?

Z otwartością i zaciekawieniem. Uprzejmie i bez osądzania. Dla niej właściwie zawsze wszystko jest dobrze. Niedawno odbywały się przymiarki kostiumów u mnie w domu. Mama akurat mnie odwiedziła, siedziała w fotelu, z nami, zainteresowana. Potem ktoś z ekipy powiedział, że biła od niej jasność. Właśnie – jasność, to słowo najtrafniej oddaje moją mamę.

Jednocześnie przy całej swojej wrażliwości mama jest osobą niewiarygodnie stabilną. I nawet jak zrywa się potężna wichura, mama stoi niczym potężne drzewo, którym wichura szarpie, może połamie mu małe gałązki, ale go nie przewróci.

Mama jest przykładem człowieka, z którym się po prostu łatwo i dobrze przebywa. A wcale nie jesteśmy iden-

tyczne. Mama jest bardziej poukładana, zostawia po sobie porządek, a moja zdolność do robienia bałaganu jest niebywała. Jednak te różnice nie przeszkadzają nam razem funkcjonować. Mama po prostu nie jest małostkowa.

To teraz robię trzecie podejście, by dowiedzieć się o Twoich aktorskich początkach.

Zaczęło się od estrady. Rodzice opowiadali, że ktoś ich wtedy zapytał, ile mam lat, odpowiedzieli, że trzy i dwie trzecie, a ja to sobie zapamiętałam. W Sianożętach, gdzie byliśmy na wakacjach, odbywał się konkurs recytatorski dla dzieci. Wzięłam w nim udział, wyszłam na scenę i zrobiłam furorę, gdyż na pytanie: „Dziewczynko, ile ty masz lat?”, odpowiedziałam, że trzy i dwie trzecie. A potem zaśpiewałam: „Za górami jest Babilon”. Wkrótce nauczyłam się też na pamięć „Słonia Trąbalskiego”. Gdy rodzice zabierali mnie do kawiarni na ciastko, wychodziłam na środek, kłaniałam się, recytowałam „Słonia Trąbalskiego” i dopiero potem siadałam do stolika.

„Słoń Trąbalski” ma siedem zwrotek!

Teraz wyobraź sobie tych biednych ludzi, którzy chcieli w spokoju zjeść ciastko.

A później?

A później miałam pięć lat i oznajmiałam rodzicom, że zostanę aktorką. I bardzo konsekwentnie, aż do zdania egzaminów do szkoły aktorskiej, tego się trzymałam. Brałam udział we wszelkich konkursach: recytatorskich i piosenki. W moim liceum w Gliwicach odbywał się przegląd Małych Form Teatralnych – zawsze w nim uczestniczyłam. Później poszłam do studium aktorskiego Doroty Pomykały i jednocześnie w domu przygotowywałam przedstawienia, często zbierając przy okazji pieniądze na rzecz zwierząt. Granie było integralną częścią mojego życia, wynikającą z głębokiej potrzeby wyrażania emocji, przemyśleń, wzruszania i zabawiania ludzi.

Ale na krakowską PWST się nie dostałaś.

Zdawałam naraz do wszystkich czterech szkół aktorskich w Polsce. Pierwszego etapu nie przeszłam tylko w Krakowie. Udało się w trzech pozostałych: w Łodzi, we Wrocławiu i w Warszawie. I musiałam zdecydować, gdzie jęść na

etap drugi, bo odbywał się wszędzie tego samego dnia. Wybrałam Warszawę. I tu nastąpił szereg potyczek.

Zabezpieczając się przed tym, że mogę nie zdać, złożyłam jeszcze dokumenty na germanistykę w Krakowie. I napisałam podanie o przesunięcie egzaminów – istniała taka możliwość dla tych, którzy jednocześnie zdawali na uczelnię artystyczną. W dniu ogłoszenia wyników na Akademii Teatralnej zadzwoniłam do Warszawy z budki telefonicznej nieopodal Uniwersytetu Jagiellońskiego, by dowiedzieć, czy zostałam przyjęta. Pani z sekretariatu poszła sprawdzić i po chwili powiedziała: „Bardzo mi przykro, dziecko, ale się nie dostałaś”. Z tej samej budki zadzwoniłam do mamy i powiedziałam, że nie przyjęli mnie do Akademii i że w związku z tym idę zdawać na UJ. Jak powiedziałam, tak zrobiłam, ale w sekretariacie germanistyki usłyszałam: „Rzeczywiście, dzisiaj są dodatkowe egzaminy, problem w tym, że pani papiery przyszły o dzień za późno i my już nie mogliśmy wpisać pani nazwiska na listę. Nie może pani podejść do egzaminu”. W drodze z UJ do mieszkania na Karmelickiej – bo tam zatrzymałam się u cioci – zdążyłam przemyśleć całe swoje życie.

Piechotą to góra dziesięć minut.

Ja w tym krótkim czasie wymyśliłam, że pójdę do studium taneczno-wokalnego w Operetce Śląskiej w Gliwicach, że wykorzystam ten rok twórczo, będę jeszcze robić to i to, spróbuję zdawać w przyszłym roku i przygotuję się lepiej do egzaminów. Tymczasem moja mama zadzwoniła do babci, a babcia zadzwoniła do rektora Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, która mieści się naprzeciwko Akademii Teatralnej, i poprosiła, żeby wysłał kogoś, kto sprawdzi, czy jej wnuczka rzeczywiście się nie dostała, bo to niemożliwe. Prośbę spełniono i okazało się, że się jednak dostałam. Rektor zadzwonił do babci do Katowic, babcia zadzwoniła do mamy do Gliwic, mama z Gliwic zadzwoniła do cioci do Krakowa. Wchodziłam po drewnianych schodach starej kamienicy, a ciocia krzyknęła z góry: „Dzwoniła twoja mama, to jest pomyłka, jednak się dostałaś do tej Akademii Teatralnej”. Wtedy dopiero puściły mi wszystkie nerwy, usiadłam na schodach i się rozbeczałam – nie wiadomo, czy ze szczęścia, czy ze stresu, w każdym razie z natłoku emocji.

Z perspektywy dwudziestu lat w aktorstwie co jest Twoim największym spełnieniem zawodowym?

Rola w „Rewersie” Borysa Lankosza.

Bo deszcz nagród?

W świecie sukcesu, kariery i produktywności nie da się uciec od nagród. Trudno też udawać, że nie są ważne. Dają poczucie docenienia i informację zwrotną, że trud i praca się opłaciły, że się jest dobrym w czymś, co się robi. Jasne, równie istotne jest usłyszeć od zwykłego widza, że jest przejęty filmem, że znalazł w nim coś ważnego dla siebie.

Ale „Rewers” był wielkim przeżyciem z zupełnie innych powodów. Przed spotkaniem z Borysem Lankoszem marzyłam, żeby pracować z braćmi Coen. Gdy dostałam scenariusz „Rewersu”, stało się jasne, że już nie muszę tego robić. W „Rewersie” jest coenowski rodzaj widzenia świata: i groteska, i realizm, i komedia, i powaga. A w miarę tworzenia filmu było tylko coraz lepiej, wszystko było spełnieniem marzeń.

A rola Titii Uylenburgh, siostry Saskii, żony Rembrandta, w „Straży nocnej” Petera Greenawaya?

Ważny dla mnie reżyser! Kiedy byłam na planie, nie mogłam uwierzyć, że ta sama Agata Buzek pod koniec lat 90., jeszcze jako licealistka, uczestniczyła w przeglądzie filmów Greenawaya w Gliwicach. Byłam nimi oszołomiona: malarskością, wizyjnością, sposobem filmowania i prowadzenia aktorów. Wcześniej czegoś takiego nie widziałam – kino Greenawaya otworzyło mi szerzej oczy na myślenie o sztuce.

Miałam wtedy kilkanaście lat, marzyłam o tym, by zostać aktorką, ale do głowy mi nie przyszło, że kiedyś zagram u Greenawaya – to było zbyt abstrakcyjne. A kilkanaście lat później grałam Titię w „Straży nocnej”. Absolutne spełnienie.

Życiowe spełnienie?

Chwilowe spełnienie zawodowe. A o życiowe – zapytaj mnie, jak będę na łożu śmierci.

© Rozmawiała

KATARZYNA KUBISIOWSKA



BARTŁĘK BARCZYK / MATERIAŁY PRASOWE

Marta Gardolińska

Czas marzycieli

DOROTA KOZIŃSKA

Marta Gardolińska została pierwszą kobietą u muzycznego steru jednej z najstarszych instytucji operowych we Francji.

HENRICH HEINE, SYN ŻYDOWSKIEGO kupca z Düsseldorfu, niedoszły prawnik i przyszły poeta, uciekał od szatańskich ciemnych młynów rewolucji przemysłowej w świat marzeń i snów na jawie. Jako nastolatek zakochał się w kuzynce, która zlekceważyła jego młodzieńcze uczucie. Swoje ówczesne doświadczenia opisał m.in. w romansie „Der arme Peter” – o biednym Piotrze,

który snuł się ukradkiem po mieście, trupioblady, jakby powstał z grobu. Tymczasem Piotr dopiero wybierał się na tamten świat po stracie ukochanej. Robert Schumann ujął ten wiersz w kształt pieśni – trzeciej części tryptyku op. 52, skomponowanego wkrótce po ukończeniu „Dichterliebe” („Miłość poety”), słynnego cyklu do poezji Heinego ze zbioru „Lyrisches Intermezzo”. ➔

→ Richard, syn wybitnego anatoma i fizjologa Alfreda Wilhelma von Volkmana, został profesorem chirurgii na uniwersytecie w Halle przeszło dekadę po śmierci Heinego i Schumanna, którzy zrządzeniem losu zmarli w tym samym 1856 r. Pionier antyseptyki i onkologii w Niemczech, odkrywca tzw. przykurczu Volkmana, czyli martwicy mięśni i nerwów w następstwie niedokrwienia kończyny po urazie, uciekał w świat marzeń z cuchnących ropą i chloroformem XIX-wiecznych sal operacyjnych.

Zanim sam zmarł przedwcześnie – zapewne w następstwie powikłań kiły trzeciorzędowej – zdążył opublikować zbiór baśni dla młodzieży pod pseudonimem Richard Leander. Wśród nich znalazła się opowieść „Vom unsichtbaren Königreiche” („Z niewidzialnego królestwa”) – o młodym wieśniaku imieniem Jörg, z którego wszyscy się śmiali, bo rzadko się odzywał i po pracy w polu całymi godzinami przesiadywał z głową opartą na dłoniach, aż kiedyś zapadł w sen i obudził się przy kamieniu młyńskim, na którym leżał bukiet róż. Dalsze losy chłopaka potoczyły się całkiem niespodzianie.

W 1904 r. Alexander von Zemlinsky, austriacki wnuk sefardyjskiego Żyda i bośniackiej muzułmanki z Sarajewa, syn zrodzonej z ich związku Klary Semo, dla której jego ojciec Anton porzucił wiarę chrześcijańską, postanowił napisać „baśniową operę” „Der Traumgöрге” („Göрге Marzyciel”), opartą na wątkach zaczerpniętych z romansu Heinego i baśni Volkmana. Uciekał w świat marzeń przed narastającą po sprawie Dreyfusa falą antysemityzmu w Wiedniu oraz przed wspomnieniem osobistego nieszczęścia: niespełnionego uczucia do swojej uczennicy Almy Schindler, która dwa lata wcześniej, w 1902 r., została żoną jego mistrza i mentora Gustava Mahlera.

Partyturę opery ukończył w roku 1906. Prapremiera „Der Traumgöрге” miała się odbyć w wiedeńskiej Staatsoper, pod batutą samego Mahlera, który tuż przed planowanym spektaklem zrezygnował ze stanowiska dyrektora muzycznego teatru. Jego następca Felix Weingartner odłożył inscenizację na bliżej nieokreśloną przyszłość. Zemlinsky w odruchu protestu wycofał partyturę. Pierwsze wykonanie, na podstawie zrekonstruowanych materiałów z archiwum Staatsoper, nastąpiło prawie 40 lat po śmierci kompozytora, w 1980 r., w Staatstheater Nürn-

berg. W następnych latach „Der Traumgöрге” doczekał się zaledwie dwóch wystawień, w Berlinie i w Hanowerze.

Kolejne inscenizacje zapowiedziano w samym środku pandemii, najpierw, w ramach koprodukcji, w Opéra national de Lorraine w Nancy i Opéra de Dijon, niedługo później w operze we Frankfurcie (ta ostatnia nie doszła do skutku).

Na francuską premierę w reżyserii Laurenta Delverta, scenografii Philippine Ordinaire i kostiumach Petry Reinhardt – wybierałam się jesienią ubiegłego roku. Z kilku powodów: ze względu na sam utwór i jego literackie konotacje, ze względu na wykonawcę roli tytułowej, który ostatecznie wycofał się z udziału w przedstawieniu, wreszcie z uwagi na kierownictwo muzyczne spektaklu, sprawowane przez młodą dyrygentkę Martę Gardolińską, która w minionych sezonach m.in. asystowała Tadeuszowi Kozłowskiemu w poznańskich spektaklach „Legenda Bałtyku” Nowowiejskiego i „Manru” Paderewskiego. Niebagatelną rolę w moich planach odegrała też miłość do Nancy, dokąd od trzech lat z okładem wracałam jak bumerang, nie mogąc oprzeć się wyjątkowej atmosferze i powikłanej historii miasta, które obecnie jest głównym ośrodkiem administracyjnym departamentu Meurthe-et-Moselle.

Nieprzebrane historie

Dawna stolica Lotaryngii okazała się jednym z piękniejszych przystanków na trasie moich muzycznych podróży. Fundatorem pierwszego teatru w Nancy – w 1758 r., pod nazwą Théâtre de la Comédie – był Stanisław Leszczyński, ówczesny książę Lotaryngii i Baru, poprzednio zaś król Polski, którego krótkie rządy hrabia Stanisław Plater podsumował w swej „Małej Encyklopedyi” jako „mnie-mane panowanie (...), ciągnął tylko wojnę, w której ścigający się wzajemnie Szwedzi z Polakami Stanisławowskimi, i Polacy Augustowscy z Sasami i Rossyanami, wszystkie części Polski kolejno pustoszyli, bez żadnego stanowczego rozwiązania i z żadnej strony korzyścią”.

W Polsce nikt po nim nie płakał. W Lotaryngii poszło mu znacznie lepiej. Kult „księcia dobrodzieja” panuje w Nancy do dziś. I trudno się dziwić: ten światły wolnomularz, mecenas sztuk, filozof, pisarz polityczny i tłumacz postawił po sobie nie tylko teatr, ale i niekwestionowaną perłę

klasycyzmu w postaci całosciowego założenia Place Stanislas, uchodzącego do dziś za jeden z najpiękniejszych placów w Europie – nie wspominając już o inicjatywie wzniesienia wspaniałego barokowego kościoła Notre-Dame de Bon Secours.

Théâtre de la Comédie, ulokowany niegdyś na tyłach Musée des beaux-arts w zachodniej pierzei Placu Stanisława, spłonął doszczętnie w nocy z 4 na 5 października 1906 r., po próbie opery „Mignon” Ambroise’a Thomasa. Decyzję o odbudowie podjęto natychmiast po pożarze. Konkurs na projekt wygrał miejscowy architekt Joseph Hornecker, który zaproponował pastisz budowli XVIII-wiecznej z elementami secesji, wpisujący się doskonale w historyczny klimat miejsca. Gmach stanął ostatecznie we wschodniej pierzei, za zachowaną fasadą dawnego pałacu biskupiego.

Uroczyste otwarcie odbyło się w październiku 1919 r., po zakończeniu Wielkiej Wojny – działalność teatru zainaugurowano czteroaktową operą „Sigurd” Ernesta Reyera, nazywaną tyleż uparcie, ile niesprawiedliwie francuską odpowiedzią na Wagnerowski „Pierścień Nibelunga”.

Zanim jednak odwiedziłam operę w Nancy w jubileuszowym roku 2019 – zainaugurowanym, rzecz jasna, wykonaniem opery Reyera – zdążyłam już wcześniej zakochać się w tutejszym teatrze i jego zespole. Pierwszego zachwytu doświadczyłam przy okazji premiery „Katii Kabanowej”, kiedy dyrygent Mark Shanan wydobyl z partytury całą esencję późnego stylu Janačka: kontrasty faktur i motywów; wykorzystanie instrumentów w nietypowych rejestrach, a co za tym idzie, zaskakujące efekty barwowe; polirytmiczne łączenie taktów; raptowne zmiany tempa. Gdzie było trzeba, kazał instrumentom krzyczeć, gdzie indziej szlochać, jeszcze gdzie indziej – przelewać się falą jak wezbrana rzeka. A gdy narracja wymagała milczenia, po mistrzowsku grał ciszą w orkiestrze.

Drugie uniesienie przyszło kilka miesięcy później, kiedy w Nancy wystawiono zdecydowanie lepiej pasujący do tego miejsca Verdiowski „Bal maskowy” – bo przecież schowany za rokokową fasadą budynek, z bogatym, historyzującym wystrojem żelbetowych ścian wewnętrznych, sam jest przebiegającym i przewrotnie udaje coś całkiem innego. Hornecker, projektant wnętrza opery, był członkiem założonego w 1901 r. sto-

warzyszenia École de Nancy, forpocztę francuskiego stylu *art nouveau*, reprezentowanej przede wszystkim przez Emile'a Gallégo, twórcę wizjonerskich prac ze szkła, niezwyklej mebli i zapierającej dech w piersiach secesyjnej biżuterii.

Gallé, syn właściciela pracowni szklarskiej i ceramicznej, a zarazem wykształcony botanik i znawca flory Lotaryngii, tworzył dekoracje oparte na motywach roślinnych i zwierzęcych, stosując własne, często nowatorskie techniki obróbki: szlifował kolorowe szkło i trawił je kwasem, pokrywał je warstwą innej barwy, po czym nacinał, żeby odsłonić fragmenty spodniej warstwy, stosował własne metody barwienia surowca, nadawał swoim pracom wymyślne kształty morskich stworów i otwierających się w promieniach słońca kielichów kwiatowych. Kto tutaj dotrze, powinien koniecznie wstąpić do muzeum secesji w willi Eugène'a Corbina przy Rue du Sergent Blandan i oprócz szklanych cacek Gallégo obejrzeć meble jego projektu: misternie zdobione drewnianymi intarsjami, rzeźbione w lotaryńskie osty i japońskie żurawie, przęca listwy i poręcze niczym grzbiety obudzonych z leniwego snu kotów.

Zjechałam do Nancy po raz pierwszy pod koniec kadencji Laurenta Spielmana, dyrektora generalnego miejscowej opery od roku 2001. Siedem lat wcześniej, za rządów jego poprzednika Jean-Marie Blancharda, gmach został poddany gruntownej renowacji. W styczniu roku 2006, decyzją ministra kultury Francji, zyskał status regionalnej opery narodowej i do dziś działa pod nazwą Opéra national de Lorraine.

Przez 18 lat Spielmann zrealizował ponad sto nowych przedsięwzięć – często przełomowych, wzbogacających repertuar teatru o dzieła niszowe, zapomniane bądź nigdy niewystawiane w Lotaryngii – dbając jednak o kontynuację tradycji zapoczątkowanej co najmniej stulecie wcześniej. Tę samą misję powierzył swojemu następcy, który przejął teatr niespełna półtora roku temu. Za ledwie 34-letni Matthieu Dussouillez był wówczas najmłodszym spośród dyrektorów francuskich oper. Absolwent tutejszej ICN Business School, a przy tym gruntownie wykształcony muzyk, w pełni zdawał sobie sprawę, że zarządzanie instytucją kulturalną tej miary wymaga nie lada wycucia i umiejętności – zwłaszcza że opera w Nancy dysponuje wyjątkowo

Polka chce otworzyć słuchaczom uszy na muzykę

współczesną i zapomnianą awangardę połowy ubiegłego stulecia.

skromnym budżetem w wysokości około 15 milionów euro rocznie.

Zaczął bardzo rozsądnie: od zrealizowania emblematycznego „Sigurda” w wykonaniu koncertowym, za to z udziałem najwybitniejszych specjalistów od romantycznej opery francuskiej. Przed pierwszym lockdownem udało się dopiąć jeszcze trzy premiery: „Kopciuszka” Masseneta, „Wesela Figara” Mozarta i Händlowskiej „Alciny”. Po blisko półrocznej przerwie zapowiedziano uroczyste otwarcie nowego sezonu: na poły legendarną, wyczekiwaną przez znawców i miłośników operą Zemlinsky'ego.

Otwórzcie uszy

Dla mnie był to smutny początek drugiego kulturalnego lockdownu: odwołane loty, pozamykane hotele i obostrzenia na granicach skutecznie zatrzymały mnie w kraju.

Skreślałam się później z żalu, oglądając zdjęcia ze zjawiskowo pięknej inscenizacji „Der Traumgöрге”, przede wszystkim zaś czytając entuzjastyczne recenzje, w których zachwalano kunszt polskiej dyrygentki, wystawionej przez pandemię na próbę dojrzałości i profesjonalizmu. Gardolińska musiała się zmierzyć z nagłą zmianą obsadą w pierwszorzędnej partii solowej, koniecznością zredukowania składu orkiestry o połowę, przygotowania całości w rekordowo krótkim czasie i poprowadzenia wszystkich prób w ścisłym reżimie sanitarnym.

Na szczęście, mimo młodego wieku, nie jest nowicjuską. Po studiach dyrygentkich w Warszawie kontynuowała naukę m.in. w Universität für Musik und darstellende Kunst w Wiedniu, w przerwach między zajęciami na uczelni zbierała doświadczenia chóralskie w Wiener Singverein i Chórze Arnolda Schönberga, uczestniczyła w kursach mistrzowskich u Marin Alsop, Petera Eötvösa i Bernarda Haitinka. W 2018 r., w wieku za ledwie 30 lat, złapała wiatr w żagle na Wyspach Brytyjskich:

wystąpiła ze Scottish Chamber Orchestra na Festiwalu w Edynburgu, przez dwa sezony ściśle współpracowała z Orkiestrą Symfoniczną w Bournemouth. W ostatnim „normalnym” sezonie przed pandemią zdążyła stanąć na podium Los Angeles Philharmonic Orchestra, w ramach Dudamel Fellowship Program.

W minionych sezonach kilkakrotnie obserwowałam podobne „intronizacje” nowych kierowników muzycznych oper. Za każdym razem kamieniem probierczym było przygotowanie trudnego i mało znanego utworu. Gardolińska i Dussouillez z miejsca odkryli wspólną płaszczyznę porozumienia: oboje są młodzi i ambitni, oboje szanują trwałość muzycznej wspólnoty, oboje mają realne plany na przyszłość, obejmujące nie tylko kolejne produkcje sceniczne, lecz i działalność koncertową oraz edukacyjną „pracę u podstaw” z udziałem mieszkańców miasta.

I tak Marta Gardolińska została pierwszą kobietą u steru muzycznego jednej z najstarszych instytucji operowych we Francji. Początki będą niełatwe: wraz z drugą falą pandemii życie teatralne w kraju zamarło, muzycy wypatrują jutra z obawą walczącą o lepsze z nadzieją. Oby wszystko ruszyło na wiosnę. Nie chodzi przecież o to, by ku ucieście najmniej wybrednych melomanów wystawić kolejną „Traviatę”.

Już wkrótce Polka stanie na podium orkiestry Opéra national de Lorraine i poprowadzi z nią koncert transmitowany przez Radio France, z utworami Szostakowicza, Schuberta i Respighiego. Planując przyszłe sezony, chce położyć nacisk na twórczość epoki, w której teatr w Nancy odrodził się jak feniks z popiołów – na muzykę przełomu wieków, odpowiednik tutejszej secesji, której idee promieniowały na resztę Europy, chłonąc w zamian inspiracje z innych ośrodków myśli artystycznej. Chce otworzyć słuchaczom uszy na muzykę współczesną i zapomnianą awangardę połowy ubiegłego stulecia.

„Der Traumgöрге” Zemlinsky'ego – opera, której powodzenie zaważyło na nominacji Marty Gardolińskiej – to opowieść o marzycielu, który szuka drogi do szczęścia i spokoju w burzliwej epoce rozpadu więzi społecznych. I ją znajduje. Nadchodzą czasy niepoprawnych marzycieli. Szkoda, że nie w Polsce. Dobrze, że z udziałem Polaków.

© DOROTA KOZIŃSKA

Detektyw w ogniu kontrowersji

JAKUB MAJMUREK

J.K. Rowling rozminęła się ze swoimi czytelnikami w politycznie zapalnej kwestii. Tak się dzieje, gdy spory eskalują do rozmiarów totalnych wojen kulturowych i nie sposób wypracować wspólnego stanowiska.

HARRY POTTER PRZYNIÓSŁ JEJ SŁAWĘ i pieniądze. Seria siedmiu powieści ukazywała się w latach 1997–2007. Stworzone przez Joanne K. Rowling fantastyczne uniwersum było przy tym na tyle bogate, że mogłaby do końca życia wydawać kolejne osadzone w nim książki. Rowling szukała jednak dla siebie nowych literackich przestrzeni. W 2012 r. ukazuje się jej pierwsza współczesna powieść „Trafny wybór” – portret podmiejskiego osiedla, którego spokój burzy śmierć lokalnego radnego. Rok później publikuje „Wołanie kukułki”.

Na okładce widnieje nazwisko Robert Galbraith. Książka nie sprzedaje się rewelacyjnie. Do czasu, aż „Sunday Times” ujawnia, że pod męskim pseudonimem kryje się Rowling. „Wołanie” rozpoczyna liczącą do tej pory pięć tomów serię kryminałów, przedstawiających kolejne sprawy detektywa Cormorana Strike’a i jego współpracownicy Robin El-lacott. Parą od razu zainteresowała się telewizja, z powieści powstały kilkuodcinkowe miniseriale. W Polsce na platformie HBO Go pojawił się najnowszy: „Zabójcza biel”.

Detektyw z XXI wieku

Rowling nie tylko odnalazła się w kryminalnej konwencji, ale także zbudowała nowe, „Strike’owe” uniwersum. Choć powieści można czytać – a ich telewizyjne adaptacje oglądać – osobno, bez znajomości poprzednich części, to zebrane razem tworzą bogaty, przemyślany świat przedstawiony, pełen powracających drugo- i trzecioplanowych postaci, do których tworzenia Rowling zawsze miała talent.

Kluczową postacią jest Cormoran Strike. Syn gwiazdy rocka i jednej z wielu

jego partnerek – modelki, hipiski, kobiety z tysiącami pomysłów na życie, niezdolnej zagwarantować dzieciom stabilności. Tym bardziej nie jest jej w stanie dać ojciec, niezainteresowany wychowaniem syna. Jedyną bezpieczną przestrzeń zapewnia przyszłemu detektywowi dom kochającej ciotki w Kornwalii (imię Cormoran pochodzi od olbrzyma z kornwalijskiego folkloru). Sam detektyw też jest potężnie zbudowany, trochę niedźwiedziowaty. Jako żołnierz w Afganistanie stracił część nogi, porusza się dzięki protezie – choć nie może biegać, to jako były bokser w sytuacji fizycznej konfrontacji ciągle potrafi solidnie przyłożyć.

Największą jednak jego siłę stanowi to, że jest naprawdę detektywem z XXI wieku, a nie uroczą skamieliną wyjętą z prozy Agathy Christie. Kolejne części powieści osadzone są we współczesnym Londynie: z jego nierównościami społecznymi, szalejącymi cenami nieruchomości, postępującą gentryfikacją, sprekaryzowaną pracą i wielokulturowym społeczeństwem.

Gdy poznajemy Cormorana w „Wołaniu kukułki”, ledwo wiąże koniec z końcem. Pożyczki na rozkręcenie prywatnego biznesu detektywistycznego udzielił mu ojciec, którego prawnicy coraz bardziej natarczywie naciskają na spłatę. Przyszła współpracownica Cormorana, Robin, trafia do jego agencji przez agencję pracy tymczasowej – młoda kobieta nie zna innej niż prekarna formy pracy. Choć w kolejnych powieściach agencji zaczyna powodzić się coraz lepiej, to finansowe troski nie opuszczają bohaterów ani na chwilę.

Strike, tak jak Sherlock Holmes czy Herkules Poirot, pracuje dla i wśród społecznej elity. Jednak dziś elita niekoniecz-

nie posiada posiadłości ziemskie, tytuł szlachecki czy fortunę zbudowaną w fabrykach Manchesteru. W „Wołaniu kukułki” Strike prowadzi śledztwo w sprawie samobójstwa sławnej czarnoskórej modelki Luli Landry – adoptowanej przez rodzinę, która dorobiła się fortuny na elektronice. Sława jest też jednym z podstawowych kapitałów prywatnego śledczego na silnie konkurencyjnym londyńskim rynku – dopiero gdy tabloidy zaczynają pisać o detektywie, który rozwiązał zagadkę śmierci Luli, do agencji Cormorana trafiają klienci.

Siła geniuszu Holmesa czy Poirota była tak obywatelska, że policja właściwie sama usuwała się im z drogi, by nie przeszkadzać w śledztwie. Strike w XXI w. nie może liczyć na podobną uprzejmość. Policja zazdrośnie strzeże swoich śledztw, jeśli przyjmuje pomoc prywatnego detektywa, to z oporami, jeżeli w ogóle dopuszcza go do swoich informacji, to za określoną cenę. Przeważająca część spraw, którymi zajmują się Strike i Robin, to nudne rutynowe zlecenia, nie wielkie kryminalne zagadki – najczęściej chodzi o zdobycie dowodów na niewierność małżeńską.

Punk i chemia

Zdjęcia do większości odcinków serialu robili polscy operatorzy: Tomasz Namiuk, Hubert Taczanowski, Maja Żamojda. W ich kadrach jest ciasno, brudno, zgrzebnie, „punkowo”. Publiczne przestrzenie Londynu wyglądają, jakby od lat dusił je ekonomiczny i społeczny kryzys. Na tym tle wyspy luksusu: apartament Luli, hotel, gdzie odbywa się ekskluzywne literackie przyjęcie, czy miejski dom torysowskiego ministra, sprawiają wręcz nieprzyzwoite wrażenie.

Twórcom serialu udało się też genialnie trafić z obsadą, zwłaszcza pary głównych bohaterów. Tom Burke jako Strike wygląda, jakby wyszedł wprost z kart powieści. Co ciekawe, aktor prywatnie jest synem odtwórcy roli doktora Watsona w wyprodukowanej w latach 80. dla Granada Television serii przygód Sherlocka Holmesa, cenionej przez fanów jako jedna z najlepszych, najbardziej wiernych i dokładnych adaptacji prozy Arthura Conan Doyle’a. Tom Burke odtwarza Strike’a na wyciszeniu i spowolnieniu, wydobywa wszystkie dwuznaczności, ukryte słabości, rany i dziwactwa tej postaci, a przy tym od pierwszych scen daje jej wielką ekranową charyzmę.



MATERIAŁY PRASOWE

Holliday Grainger i Tom Burke w serialu „Cormoran Strike”

Równie trafny wybór to Holliday Grainger jako Robin. To jej bohaterka przechodzi największą przemianę na przestrzeni kolejnych odsłon cyklu. Odnajduje się w nowej pracy, zaczyna w końcu przejmować kontrolę nad swoim dorosłym życiem, staje twarzą w twarz z traumami z przeszłości. Zarówno w detektywistycznej pracy, jak i w życiu osobistym przechodzi przez graniczne, zmieniające wszystko sytuacje. Grainger przekonująco pokazuje te przemiany na przestrzeni kolejnych odcinków, trudno nie polubić jej bohaterki i nie kibicować jej walkom.

Od samego początku książki, a jeszcze bardziej serialu, narracja sugeruje erotyczne napięcie między Robin i Cormoranem. Grainger i Burke doskonale oddają na ekranie specyficzną chemię relacji łączącej ich bohaterów: mieszaninę przyjaźni, wzajemnego zawodowego szacunku i koleżeństwa, wreszcie ukrytych romantycznych pragnień.

Zdradzeni czytelnicy i cancel culture

Czytając kolejne odsłony „Harry’ego Pottera” nietrudno było zgadnąć, jakie są polityczne sympatie autorki. Dursleyowie – straszna rodzina mugoli, w której przed przyjęciem do Hogwartu wychowuje się Harry – wyglądają jak karykatura wyborców torysów. Zły czarnoksiężnik Voldemort głosi faszystowską ideologię, której szacowny świat czarodziejów poddaje się zaskakująco łatwo.

W ostatnich latach Rowling zaczęła się jednak rozmiąć z zakochanymi w jej powieściach czytelnikami. Najpierw doszło do sporu o Jeremy’ego Corbyna, po-

lityka z lewego skrzydła laburzystów, który objął kontrolę nad partią w 2015 r. Corbyn wywołał wielki entuzjazm pokolenia, którego nie było jeszcze na świecie, gdy po raz pierwszy obejmował mandat posła w 1983 r. Rowling od dawna popierała laburzystów. Szczególną sympatią darzyła premiera Gordona Browna (2007-10). Hojnie wspierała partię, przekazała jej co najmniej milion funtów. Wyraziście lewicowa polityka Corbyna nigdy jej jednak nie przekonała, czemu od początku dawała wyraz w mediach społecznościowych. Krytykując Corbyna wpisy Rowling wywołały gwałtowne reakcje młodych fanów polityki. Te zaś prowokowały pisarkę do jeszcze złośliwszych tweetów.

Echa tego sporu Rowling z lewicą porbrzmiewają w „Zabójczej bieli”. Najbardziej niesympatycznym bohaterem powieści jest torysowski polityk Jasper Chiswell. Gdyby był bohaterem „Harry’ego Pottera”, z pewnością sympatyzowałby z Voldemortem. Chiswell gardzi każdym, kto z urodzenia nie należy do jego świata, jest niezdolny do empatii, a swoją młodszą żonę i dzieci traktuje z bezmyślnym okrucieństwem. Równie nieprzyjemna okazuje się jednak postać z drugiego krańca politycznego spektrum: lewicowy aktywista Jimmy Knight. Ciągłe mówi o sprawiedliwości społecznej, przywileju, niedoli Palestyńczyków i innych szlachetnych sprawach, ale w rzeczywistości nie robi niczego pożytecznego, a swoją dziewczynę i niestabilnego psychicznie brata traktuje nie lepiej niż Chiswell swoich bliskich.

Spór z corbynistami był jednak niczym wobec tego, który wybuchł w kwe-

stii osób trans. W czerwcu zeszłego roku Rowling publicznie wyraziła swój sceptycyzm wobec coraz częściej używanego określenia „osoby, które menstruują” – w założeniu ma ono być maksymalnie inkluzywne, obejmując także osoby niebinarne i transpłciowe. Zanim spór uciął, pisarka opublikowała esej, gdzie zaznaczając empatię dla problemów osób trans, wyraziła jednocześnie sprzeciw wobec niektórych postulatów zgłaszanych przez reprezentujące je ruchy – np. obecności osób trans, które nie rozpoczęły procesu uzgodnienia płci, w przeznaczonych wyłącznie dla kobiet przestrzeniach. Osobisty tekst, w którym Rowling mówiła o swoich doświadczeniach przemocy domowej i seksualnej, powtarzał jeden, główny argument: jeśli całkowicie zrezygnujemy z kategorii płci, mającej podstawę w biologii, to wymazujemy kobiety jako posiadający własne doświadczenie społeczny podmiot.

Na Rowling wylała się fala krytyki. Młode gwiazdy filmowych adaptacji Harry’ego Pottera zapewniały o swoim wsparciu dla osób trans. Rozczarowani fani pisali, że transfobiczne wypowiedzi Rowling odebrały im możliwość cieszenia się ulubionymi książkami z dzieciństwa. Czwooro autorów zrezygnowało z usług agencji literackiej reprezentującej pisarkę.

Spór zaogniła wrześnie premiera nowej powieści o Strike’u, „Niespokojnej krwi”. Zanim ktokolwiek zdążył ją przeczytać, nagłówki już krzyczały o wątku mordercy przebiegającego się za kobietę – co miało być kolejnym dowodem →

→ na transfobię autorki. Księgarnie na kilku kontynentach zapowiedziały, że ze względu na swoich transklientów nie będą tej książki sprzedawać.

„Niespokojna krew” nie jest jednak transfobiczna – wątek przestępcy w kobiecym stroju jest marginalny i w ogóle nie dotyczy osoby trans. Gdyby nie polityczne kontrowersje, w jakie uwikłała się pisarka, kolejne powieści z cyklu o Strike’u pewnie byłyby czytane jako przykład zaangażowanej feministycznie popkultury: cała fabuła „Kłopotliwej krwi” krąży wokół wysiłków Cormorana i Robin na rzecz odkrycia prawdy o wyemancypowanej, wyprzedzającej swoje czasy kobiecie, która zginęła 40 lat temu.

Rowling rozminęła się jednak ze swoimi czytelnikami w politycznie zapalnej kwestii w epoce, gdy nie tylko za sprawą mediów społecznościowych podobne spory łatwo eskalują do rozmiarów totalnych kulturowych wojen i nie sposób wypracować wspólnego stanowiska. Jedna strona uważa, że Rowling – nawet jeśli nie ma otwarcie złych intencji – wzmacnia język legitymizujący realną krzywdę osób transpłciowych. Druga, że pisarka padła ofiarą tego, co nazywa się *cancel culture* – „kulturą unieważnienia”, charakteryzującą się tym, że wystarczy jeden tweet wzbudzający drażliwość jakiejś grupy, by stać się wrogiem publicznym, którego cały dorobek powinien zostać wymazany.

Jakkolwiek realny jest hejt spotykający ostatnio Rowling, trudno powiedzieć, by pisarka o globalnych zasięgach została „wymazana” czy pozbawiona głosu. Jednak zupełnie niezwiązane z samymi kryminałami kontrowersje kładą się cieniem na tym, jak odbierane są „Niespokojna krew” czy telewizyjna wersja „Zabójczej bieli”. Dlatego radziłbym uprzedzonym, by przed czytelnictwem lub filmowym spotkaniem z Cormoranem przynajmniej spróbowali zapomnieć, kto kryje się pod pseudonimem Robert Galbraith. Nieważne, jak ocenilibyśmy ostatnie zaangażowania Rowling, jej kryminały i ich telewizyjne wersje bronią się jako solidne rzemiosło, mądra, empatyczna i stojąca ogólnie po słusznej stronie popkultura, do której warto podejść z minimum uprzedzeń.

© JAKUB MAJMUREK



MATERIAŁY PRASOWE

Ralph Fiennes w filmie „Wykopaliska”

Uroda zmierzchu

ANITA PIOTROWSKA

W „Wykopaliskach”, traktujących o anglosaskim dziedzictwie, unosi się charakterystyczny lawendowo-naftalinowy zapasek. Dla niektórych będzie on miał swój urok.

WDOBIE BREXITU POWIELANIE klasycznych wzorów brytyjskiego „kina dziedzictwa” (*heritage films*) mogłoby mieć polityczną wymowę. Adaptacja powieści „Wykopaliska” Johna Prestona z 2007 r., wydanej niedawno także w Polsce, trzyma się pierwowzoru i próbuje nadać opowieści z przeszłości możliwie neutralny ton. Reżyser Simon Stone raz jeszcze przypomina autentyczną postać Basila Browna, skromnego archeologa samouka z hrabstwa Suffolk, który w przededniu II wojny światowej dokonał epokowego odkrycia, znanego jako skarb z Sutton Hoo.

Eleganckie widowisko uderza jednak w pewne tęsknoty za „dobrą starą Anglią” – otuloną w tweedy, zakochaną w swoich pejzażach, dumnie pielęgnującą własną przeszłość i jakże powściągliwą w poruszaniu drażliwych kwestii. Choć niekoniecznie zapatrzoną ślepo w tradycyjne hierarchie społeczne.

Już sukces książki przekonał, że istnieje zapotrzebowanie na tego typu historie. Oto grany przez Ralphi Fiennesa plebejski kopacz amator, człowiek bez szkół i dyplomów, zostaje najety przez lady Edith Pretty (Carey Mulligan) do przekopania historycznych kopców znajdujących się na terenie jej posiadłości. Bezcenne znalezisko z „wieków ciemnych” staje się obiektem pożądania zarówno lokalnego muzeum w Ipswich, jak i Muzeum Brytyjskiego. Tymczasem prace wydobywcze i bukoliczne widoki raz po raz zostają zakłócone przez tnące niebo eskadry RAF-u.

Konflikt zbrojny z Hitlerem dosłownie wisi w powietrzu, przypisywane zaś Churchillowi słowa o konieczności ratowania kultury w obliczu wojny przybierają konkretny kształt. Dlatego bezwzględnie trzeba się przekonać, czy głęboko pod ziemią nie drzemie skarb będący narodowym DNA. Trzeba ratować

róże, zanim zapłoną lasy. W epizodzie nakręconym w Londynie 1939 roku oglądamy, jak z wielką pieczołowitością zabezpiecza się tam nie tylko życie ludzi, lecz również pomników – choć na szczęście akurat nie tych, które 80 lat później trzeba będzie zburzyć.

I widać gołym okiem, że twórcy filmu też wzięli sobie te legendarne słowa do serca, a stojący za kamerą australijski reżyser naoglądał się wcześniej brytyjskiego kina z lat 80. Podówczas to, na fali rządów Margaret Thatcher, „kino dziedzictwa” zaczęło święcić swoje największe triumfy, by przypomnieć tylko filmy Jamesa Ivory’ego. Niektóre kadry z „Wykopalsk” wyglądają bowiem dziwnie znajomo, wręcz ikonicznie: te wszystkie monumentalne ujęcia rezydencji, pocztówkowe obrazy surowej natury, skupienie na szczególe scenografii czy kostiumu, o rozlewnie „epickiej” muzyce nie wspominając. Jesteśmy w świecie spowitym nostalgiczną mgiełką.

Podczas gdy lekceważony przez profesjonalnych muzealników Basil przetrzuca w zapale tony gleby, między ludźmi dzieją się rzeczy trochę tylko lepszej wagi, jakkolwiek przedstawione z niemal wiktoriańską dyskrecją. W przypadku archeologa i podupadającej na zdrowiu dziedziczki melodramat jako gatunek filmowy nie miał szans się ziścić, choć temat dzielącej kochanków różnicy klasowej przewija się często w tego typu opowieściach. Żonatego Basila i przedwcześnie owdowiałą Edith połączyła co prawda nic porozumienia (mają wspólną pasję archeologiczną, obojgu też, z różnych powodów, odmówiono kiedyś dostępu do wyższej edukacji), a nawet pojawiła się damsko-męska sympatia, jednakże w tym przypadku nieubłagane rządy fakty. Dlatego Preston i za nim scenarzystka Moira Buffini prawem fikcji literackiej przenoszą wątek romansego na zupełnie inną parę: młodą archeologkę Peggy (Lily James) i kuzyna dziedziczki (Johnny Flynn), który dokumentuje wykopaliska w oczekiwaniu na mobilizację.

W tym miejscu ujawnia się „angielska” zachowawczość tej historii. Świeżo poślubiony mąż Peggy (gra go Ben Chaplin) zaniedbuje ją z powodu swego homoseksualizmu, lecz sprawa

pozostaje ukryta nie tylko przed żoną i światem (co mogłoby być zrozumiałe, zwłaszcza w ówczesnych realiach Wielkiej Brytanii), ale również przed kamerą i skazanym na domysły widzem. Pod tym względem o ileż bardziej bezpośredni był „Maurice” Ivory’ego z 1987 roku...

Coraz częściej zresztą zauważa się, że kostium retro bywał w „kinie dziedzictwa” tamtego okresu nie tylko pociągającym, romantyzującym przeszłość fetyszem – czasem także przykrywką dla bardziej wywrotowych treści. Dziś, z różnym skutkiem, kontynuują tę pracę niektóre serie kostiumowe na czele z „Downton Abbey”.

W filmie Stone’a, traktującym wprost o anglosaskim dziedzictwie, z rozmysłem i konsekwencją rozpylany jest charakterystyczny lawendowo-naftalinowy zapasek. Dla niektórych z pewnością będzie on miał swój urok – filmowego wykopaliska właśnie, a raczej wykopanego z przeszłości artefaktu, starannie oczyszczonego z ziemi i śniedzi. Gorzej z prawdziwymi emocjami: wyłaniający się z błota zarys statku-grobowca sprzed 1300 lat wzbudza znacznie mniejszy dreszczyk niż poboczny i zastępczy wątek miłości niemożliwej.

Wygląda na to, że twórcy próbowali rozmaitymi środkami tę opartą na faktach historię jakoś podnieść, dowartościować, uniwersalizować. Chociażby zamieniając ją w solenny dyskurs o czasie, w którym trwanie zapisane w prastarych znaleziskach przeciwstawione zostaje powszechnemu rozpadowi i umieraniu. Film celebrytuje więc urodę zmierzchu, po którym nastanie zapewne całkiem inny dzień, a główni aktorzy, Mulligan zwłaszcza, przykładnie odgrywają tę schyłkową melancholię. Jeśli jednak ktoś oczekiwałby po „Wykopalskach” głębszej „archeologii duszy” czy gruntownego przekopania panujących wówczas relacji społecznych, będzie musiał zadowolić się sentymentalną nutą i czysto estetyczną powierzchnią. Ale nawet jeśli to trochę mało, któż z nas nie zasłużył dziś na krótki odpoczynek w przeszłości. ©

WYKOPALISKA (*The Dig*) – reż. Simon Stone. Prod. Wielka Brytania 2021. Dostępny na Netflixie.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Słudzy



Dramat, reż. Ivan Ostrochovský, Czechy/Irlandia/Słowacja/Rumunia 2020, mojeekino.pl, 11 II, 20.00 – 12 II, 20.00,

liczba biletów ograniczona

Na związki tronu z ołtarzem w komunistycznej Czechosłowacji lat 80. patrzymy oczami dwóch seminarzystów, którzy u progu życia duchownego zostają wpłątani w sieć intryg. Słowacki reżyser opowiada o tym w konwencji mrocznego kryminału, czego efektem jest czarno-biały film, w którym nic nie jest czarno-białe.

2. Kapitał w XXI wieku



Dokumentalny, reż. Justin Pemberton, Nowa Zelandia/Francja 2019, Canal+ Dokument, 13 II, 18.00, vod.mdag.pl

Najpierw była głośna książka Thomasa Piketty’ego, a film jest jej skondensowaną ilustracją. O tym, jak na przestrzeni wieków zmieniała się dynamika kapitalizmu, aż do jego współczesnych wynaturzeń, opowiadają m.in. Francis Fukuyama i Joseph Stiglitz, a całość uzupełniają popularne wideoklipy, kreskówki i filmy.

3. Szarlatan



Dramat, reż. Agnieszka Holland, Czechy/Słowacja 2020, Cineman.vod.pl, e-kinopodbaranami.pl

Kim naprawdę był Jan Mikolášek, który przez kilka dekad za pomocą ziołowych mieszanek własnej receptury „uzdrowiał” naszych południowych sąsiadów? Geniuszem czy hochsztaplerem? Czołwiekiem bezgranicznie oddanym swojej pracy czy konformistą? Holland mierzy się z jego tragiczną biografią, ale i z barwną legendą, osadzając je na mocnym historycznym tle.

4. Kajillionaire



Komediodramat, reż. Miranda July, USA 2020, Chili, Rakuten, Premiera Canal+, Player

Autorka „Ty i ja, i wszyscy, których znamy” wyspecjalizowała się (również jako pisarka) w portretowaniu życiowych i uczuciowych „przegrywów”. Tym razem tropi zwariowaną rodzinę drobnych naciągaczy, granych przez Debrę Winger, Richarda Jenkinsa i Evan Rachel Wood. W oparach absurdu i różowej pianie kryje się historia o gładkiej bliskości.

JAN

Klata:

Nadwiślańskie K2



FATALIZM SŁOWIAŃSKI NAS PĘDZI W WYROZUMIAŁOŚĆ dla szeregu opresji, które powinny być nie do zniesienia na zdrowy chłopski rozum. Nibyśmy chłop w chłopa wszyscy z chłopa, ale zdrowy chłopski rozum w narodzie chyba poszedł w las gremialnie, i to dawno temu, runo leśne przeczesywać, zamiast się puknąć w głowę i zadać sobie pytanie: za jakie grzechy oddychamy tym, czym oddychamy. A właściwie: czy my oddychamy, co my wdychamy – konkretnie – przez sześć miesięcy w roku co najmniej?

Przepraszam, że temat banalny, przecie tam na dachu świata nasi (nie) wchodzi na K2 bez tlenu – tym żyją Polki i Polacy – ale pozwolę sobie zauważyć, że żyjąc tym-tam, tutaj Polki i Polacy wszędzie wchodzi, chodzą i schodzą bez tlenu.

Zwłaszcza schodzą, bo prędzej czy później syf się na nas niekorzystnie odciska piętnem chorób ciężkich i śmierci, zgodnie z myślą, że oddychając tracimy oddech... ujmę to nieco bardziej dosadnie: oddychając – zdychamy.

Wszystkie miasta i miasteczka na południe od Sopotu to trupiarnie, zwłaszcza te występujące jako „Zdrój”. Dlaczego mieszkańcy, dajmy na to, Rabki-Zdroju nie wylegają masowo na ulice w proteście przeciw morderczej „jakości powietrza”? Żeby nie płoszyć urlopników z sanatorium, żeby nie martwić dzieci, co to przyjechały do – było nie było – uzdrowiska. Każdy w Polsce ma jakiś piec, co go grzeje, jak mu się dorzuca, każdy lubi ciepło ognia, co to pełga w kominku, każdy po coś ważnego jeździ czymś z wyciętym katalizatorem... i odwieczne „jest jak jest” się samo przez się tłumaczy. Regularne 30 procent Top Ten najbardziej zanieczyszczonych miast na planecie plasuje się w naszej ojczyźnie – wow!

Gdyby na zimowym koncercie w Polsce Phil Collins wykonał „In The Air Tonight”, musiałby przerwać jeszcze przed słynnym wejściem perkusyjnym – inaczej zemdlełby wskutek duszności. Żart nie żart, faktem jest, że Collins mieszka w Szwajcarii, więc byłby w stanie zdzierżyć jeden zaszyfiony wieczór w Polsce, na naszym swojskim K2 à la szczyt wszyściego. ©

Lektor:

Kronika odchodzenia



■ SÁNDOR MÁRAI
DZIENNIK 1977–1989

Wybór, przekład (wspomniały),
opracowanie, przypisy i posłowie
Teresy Worowskiej. Czytelnik,
Warszawa 2020, ss. 408.

NA LIŚCIE NAJWAŻNIEJSZYCH wydarzeń minionego roku powinno się znaleźć zakończenie pięciotomowej edycji „Dziennika” Sándora Máraiego. „Dziennik” jest wielkim dziełem, którego lektura uzależnia, a kronika odchodzenia, wypełniająca znaczną część tomu ostatniego, nie ma sobie równych w literaturze. Márai zaczął pisać dziennik podczas II wojny. Był już wtedy czterdziestokilkuletnim autorem m.in. „Wyznać patrycjusza”, „Żaru”

i powieści „Sindbad powraca do domu” – hołdu dla Gyuli Krúdyego, mistrza, do którego prozy wracał do końca („Każdej nocy Krúdy” – notuje tuż przed śmiercią). W 1948 r. wraz z żoną Lolą (Iloną Matzner) i adoptowanym synkiem opuścił Węgry na zawsze. W 1977 r. Máraiowie mieszkają od kilkunastu lat we Włoszech, w Salerno, wkrótce jednak zdecydowali się osiedzić w Kalifornii, w San Diego. Tonacja zapisków stopniowo mrocznieje.

Márai odwraca się od świata, dokonujące się w nim przemiany napawają go odrazą. Współczesna kultura wydaje mu się miałąką podróbką, wraca do klasyków i do ukochanych poetów węgierskich. Jego uwagi na temat kwestii rasowych czy homoseksualizmu są dosyć bulwersujące. Nie wierzy w koniec komunizmu, wątpi w szczerość dysydentów. A politycy Zachodu? – ostatnim prezydentem USA godnym tego miana był jego zdaniem Truman.

Wszystko to równoważy niesłychana siła osobistego świadectwa. Najpierw – świadectwa przeżywania własnej starości, której postępy Márai obserwuje z precyzją przyrodnika. Dalej zaś – świadectwa miłości. Sándor i Lola byli razem ponad sześćdziesiąt lat, marzyli o jednoczesnej śmierci,

co się jednak nie spełniło. Lola zaczyna chorować, dziennik staje się kroniką jej cierpienia, bezsilną skargą, że ktoś ukochany po prostu stopniowo znika, zredukowany do pojedynczych słów i gestów. Umiera Lola, umiera w niewielkich odstępach czasu rodzeństwo Máraiego, a potem jego niespełna pięćdziesięcioletni przybrany syn. Pisarz postanawia się zabić, wcześniej jednak zapisuje się na kurs strzelecki, by słabnąca ręka nie zawiodła... 21 lat temu nie znaliśmy jeszcze Máraiego, „Żar” miał się dopiero ukazać. Józefa Hannelowa wręczyła mi gruby maszynopis przysłany przez Feliksa Netza, przekład zapisków Máraiego z czterech ostatnich lat życia: „To wspaniałe, ale i straszne”. Byliśmy chyba pierwszym polskim pismem, które drukowało „Dziennik”. ©©

PAWEŁ

Bravo:

Słodycz dla podgardla



A CZY TY JUŻ WIESZ, KTÓRY SKLEP W TWOJEJ okolicy sprzedaje guanciale? Radzę się pospieszyć. Wszak luty już na dobre rozpędzony ze wszystkimi przynależnymi mu atrakcjami, takimi jak zaskoczeni drogowcy, odmrożone nosy, Popielec

i Walentynki, a suszone podgardle wieprzowe stoi wysoko na liście tegorocznych trendów jedzeniowych. Tak przynajmniej głoszą branżowe serwisy monitorujące najdrobniejsze drgania na zachodzących na siebie płytach tektonicznych foodowego Instagrama i działów marketingu koncernów spożywczych.

Ostatnio dużo złego pisze się o Big Pharmii – słusznie, w swoim prostym kucharskim umyśle nie widzę powodów, by szczególnie litować się nad krociowymi zyskami paru firm, kiedy chodzi o bezpieczeństwo całych narodów. Tymczasem Big Food, powiadam wam, bo śledzę to uważnie, wcale im nie ustępuje w bezwzględności, jeśli chodzi o pompowanie mód, potrzeb i moralnych panik.

Pół biedy, kiedy dotyczy to czegoś, co jest smaczne i zdrowe – jak awokado, które weszło w horyzont naszej codzienności dzięki temu, że stowarzyszenie branżowe plantatorów z RPA wyłożyło w sumie 2,5 mld funtów na trwające bez mała 20 lat działania PR-owe na brytyjskim rynku. Ale kiedy podobni magicy zabierają się np. za kreowanie przekonań że hard seltzery czyli gazowane wody aromatyzowane owocowo i podkreślone spirytusem kukurydzianym to zdrowsza i lepsza moralnie wersja piwa, bo niskokaloryczna i wolna od seksistowskich skojarzeń piwnych („pierwszy genderowo obojętny napój alkoholowy”), to jednak mnie szlag trafia i muszę z nerwów zakąsić ptasim mleczkiem w gorzkiej czekoladzie.

Robię tu wyjątek i wspominam o konkretnej marce, bo ta nowa wersja ptasiego mleczka to jednak ważny fakt w życiu polskiego łasucha. Zaznałem rzadkiej chwili wewnętrznej równowagi, moje wewnętrzne dziecko zasiadło w pełnej harmonii do stołu z dorosłą częścią osoby, która około 20. urodzin rozstała się na zawsze z „mleczną” czekoladą jako niegodną tej nazwy.

Spokój psuje mi tylko świadomość, że wpadam w sidła dużego koncernu. Ale zaraz wrócę do zwyczajowego powtarzania, że tylko małe jest dobre i np. będę namawiał, byście w tłusty czwartek nadrobili drogi, postali dłużej, ale wybrali zwyczajne rodzinne cukiernie, a nie sieciówki duże i średnie. Jeśli chodzi o Warszawę, to sprawa jest prosta – widzimy się przy Górczewskiej, prawda?

Dla umilenia czasu można by się w tym rytualnym rocznym ogonku pobawić w głuchy telefon. Pierwsza osoba

przy drzwiach cukierni mówi np.: „Pączek bez smalcu to jak randka na zoomie” – ciekawe, co dojdzie do osoby dziewięćdziesiątej dziewiątej, marzącej już godzinę na dalekim rogu Płockiej.

To tylko głupie żarty, w dodatku niewskazane w czas epidemii. A świński tłuszcz od dawna w cukiernictwie zastępuje się tłuszczem palmowym – czego jednak się nie da powiedzieć o roli, jaką w dobrej carbonarze pełni wspomniane guanciale. Danie to, przy całej swojej prostocie, zawiera potrójną pułapkę, w którą można łapać kuchennych ideologów „prawdziwości” przepisów. Mam skłonność stawiania na luz kosztem reguł, więc choć przyjaciele z mojej dawnej knajpy są carbona-purystami, nie wdaję się w dywagacje, dlaczego mają być żółtka, a nie jajka, i czemu pecorino, a nie żaden parmezan. Ale wybór wędliny nawet dla mnie ma pewne znaczenie. A właściwie nie wędliny, lecz – jak to nazwać? Suszyny? Bo rzecz w tym, że o żadnym wędzeniu mowy być nie może.

Włoskie boczeki, zarówno te prasowane, jak i rolowane, a także pokrewne wyroby, są suszone. Brak aromatów dymnych działa tu zdecydowanie na korzyść i tego będę zawsze bronił publicznie. A podobno wokół carbonary najczęściej wybuchają w facebookowych grupach awantury. Mówię „podobno”, bo w naszej tygodnikowej grupie Smaki jesteśmy sobie życzliwi. Poza nią właściwie w ogóle nie czytam opinii w sieci. W polskiej przestrzeni nie znam dużych stron jedzeniowych, które nie zalatywałyby kryptoreklamą. Mam czasem frajdę z dyskusji pod przepisami w serwisie kuchennym „Guardiana”. Trochę praktycznych uwag, trochę przekomaranek, trochę życiowych wyznań. Tam sprawdza się zasada, w którą próbuję usilnie wierzyć, że jedzenie pomaga łączyć, nie dzielić. Tych, którzy pod kolejnym wielostopniowym przepisem Ottolenghiego marudzą: „Komu będzie się chciało zrobić coś tak trudnego”, z tym, kto komentując *virz'e rise*, czyli prościutką ubogą michę duszonej kapusty zmieszanej z ryżem, napisał: „Mam doła na myśl, że potrzebujecie wskazówek, jak sklecić takie proste danie”.

No cóż, nawet dorosły człowiek, który jada tylko gorzką czekoladę, lubi, żeby go ktoś poprowadził. Wyciągnął do niego rękę – byleby to nie była niewidzialna ręka rynku. © P



Sprawdziłem w archiwum – minęło już pięć srogich zim, jak nie powracamy do przepisu na carbonarę. Czas to nadrobić. Oto, czegom nauczył się lata temu od przyjaciół z Kuchni Dantego i czego się do dziś trzymam: w dużej szklanej lub metalowej misce (musi wchłonąć część ciepła z klusek) mieszamy po jednym żółtku na osobę plus jedno „dla miski” z równą liczbą kopiających żyłek tartego sera. Nie będę się mądrzył, jakiego, ale za to zabronię wam nawet myśleć o śmietanie! Powinniśmy uzyskać mieszaninę o gęstości pitnego jogurtu. Wrzucamy w to spaghetti prosto z wrzątku, bardzo szybko mieszamy ruchem od dołu ku górze, dzięki temu nie zrobi nam się jajecznic. Gdyby wyszło za sucho, dodajemy ciut wody z gotowania makaronu. Potem dorzucamy podgardle lub boczek pokrojone w cieniutkie paseczki i podsmażone na chrupko, razem z tłuszczem, jaki został na patelni. Na wydaniu sypiemy świeżo zmielony pieprz i ewentualnie dodatkowy ser.

ZBIERA MI SIĘ

EDWARD BROOKE-HITCHING, PISARZ I KOLEKCJONER:

Za popęd do kolekcjonerstwa odpowiada określona część mózgu, której nie da się wyłączyć. Po interwencji rodziny może uda się przestawić na coś tańszego. Torebki po cukrze wydają mi się sensownym wyborem.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Jak mógłbym zostać kolekcjonerem? Proszę o krótką instrukcję.

EDWARD BROOKE-HITCHING: Jeśli zadajesz to pytanie, w głębi serca już znasz odpowiedź. Szukasz tylko potwierdzenia – kogoś, kto poklepie cię po ramieniu i powie: „Pewnie, wydaj absurdalnie duże pieniądze na tę zupełnie bezużyteczną rzecz. A potem na następne”. Zgadzasz się i dalej już leci.

Mimo wszystko domagam się szczegółów.

Zawsze zaczyna się niewinnie. Na przykład – masz na półce pierwsze wydanie jednej z powieści o Jamesie Bondzie. Długo stoi sobie samotnie, aż pewnego dnia pojawia się myśl – a może by kupić kolejny tom? Szukasz w internecie, zagładasz do antykwariatów, i w końcu jest! Drogo, ale warto.

Co dalej?

Szybko pojawia się pierwszy symptom – przestajesz czuć wartość pieniędzy. O ile wcześniej myślałeś „50 funtów to sporo, ale raz mogę zaszaleć”, teraz wchodzisz w tryb „100 to chyba przesada, ale wcześniej dałem 50, a ta obok kosztuje 200, więc to w sumie okazja”. Chyba domyślasz się, co jest dalej.

Nie ma odwrotu?

Nie ma. Bo wracasz do domu, stawiasz nową książkę obok pierwszej i od razu

czujesz, że fajnie byłoby mieć kolejną. A najlepiej wszystkie. I już głęboko w trzewiach czujesz, że to absolutnie konieczne, że inaczej się nie da. Bo przecież nieskończona rozkosz i niewypowiedziana satysfakcja są na wyciągnięcie ręki!

Ale zawsze brakuje tych jeszcze paru centymetrów...

...a te parę centymetrów to otchłań, z której rodzi się obsesja. Kolekcjoner zawsze pozna innego kolekcjonera. Jest coś w spojrzeniu, w pozornie swobodnej pozie i wymuszonej powściągliwości gestu, która jednak zdradza czujność.

Myśliwy na polowaniu?

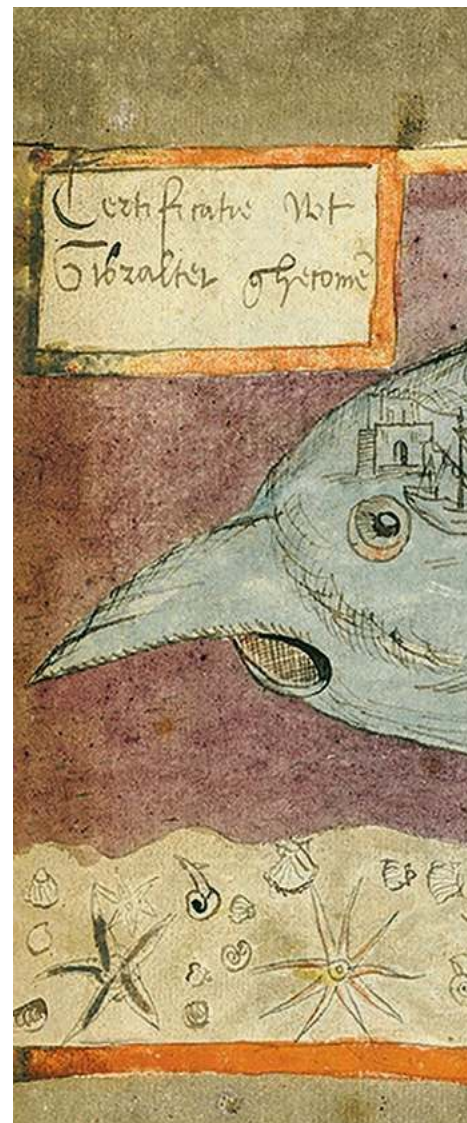
Nie do końca, trudno to opisać. Byłeś kiedyś na targach, gdzie sprzedaje się stare książki? Ludzie – przeważnie starsi mężczyźni – krążą niespiesznie po stoiskach, oglądają, rozmawiają, aż wzrok w końcu pada na ten jeden egzemplarz.

Wybuchają bójk?

Nie, bo rzadko chodzi o cenne białe kruki, jeśli to w ogóle da się zmierzyć obiektywnie. Każdy zbiera co innego. Pewien mój znajomy musiał mieć każdą książkę, która w jakikolwiek sposób była oznaczona liczbą 87.

Dlaczego?

Nie mam pojęcia. Pytałem go o to parę razy, ale tylko wzruszał ramionami z tajemniczym uśmiechem.

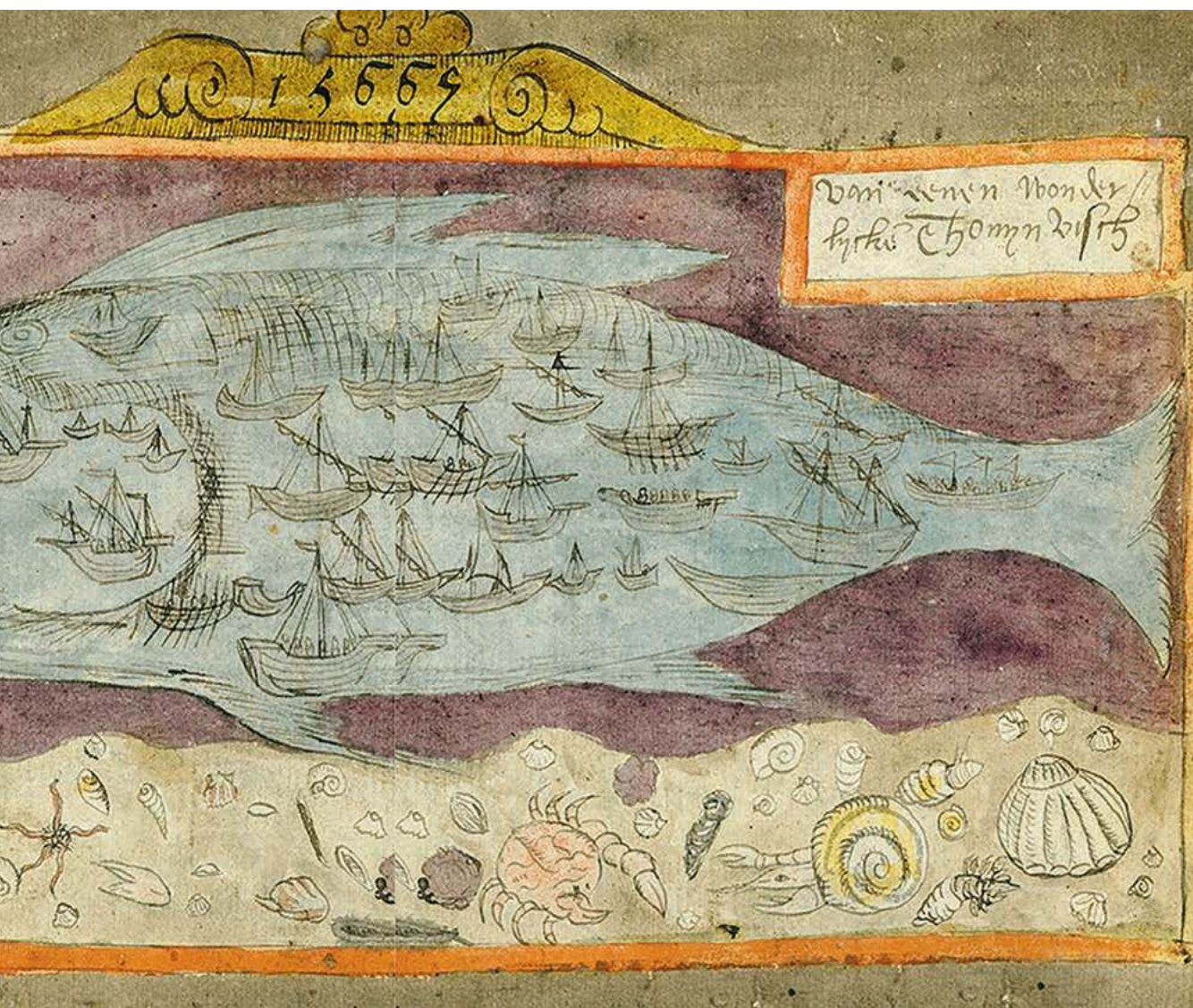


Czyli żywot kolekcjonera nie jest łatwy.

To jak uzależnienie. Żeby w miarę normalnie funkcjonować, trzeba umieć je kontrolować. Na przykład wcześniej odłożyć nieco pieniędzy na jedzenie i czynsz. Dobrze też na samym początku możliwie precyzyjnie określić, co właściwie chce się zbierać. Inaczej zachłanność może być zgubna. Jak u psa, który nie może przestać jeść.

Twój motyw przewodni to...?

Szczerze mówiąc długo nie wiedziałem. Olsnienie przyszło dopiero, gdy zacząłem pisać „Bibliotekę szaleńca”, czyli autorski katalog największych kuriozów wydawniczych w dziejach ludzkości. Przez lata zbierałem rzadkie książki, które łączyło jedno – były dziwaczne, nie-



Wytatuowany tuńczyk z wielkiej „Księgi ryb” Adriaena Coenensa, 1580 r.
Ilustracja z książki „Biblioteka szaleńca” Edwarda Brooke-Hitchinga.

typowe, zrodzone gdzieś na granicy szaleństwa.

Przykłady?

Dostałem od ojca, który całe życie handlował starymi książkami, specjalny kufer (otwiera pokątny, skórzany kufer). Zabieram go zawsze na takie okazje jak nasza rozmowa. Mam tu np. najmniejszą książkę, jaka kiedykolwiek została wydana (wyciąga pudełko, faktycznie bardzo małe). Albo XVIII-wieczny leksykon najgorszych londyńskich wulgaryzmów autorstwa Francisa Grose’a.

Czyli „Biblioteka szaleńca”, która właśnie wyszła po polsku, to podsumowanie wieloletnich poszukiwań wydawniczych dziwactw?

Niestety, jak tylko skończyłem pisać, wpadły mi w ręce kolejne rzeczy. Obawiam się, że to nigdy się nie skończy.

Czym dla Ciebie jest kolekcja?

Każdy pewnie ma swoją definicję. Poza oczywistą rozkoszą, jaką sprawia zdobywanie nowych rzeczy, to także sposób na radzenie sobie z chaosem rzeczywistości. Kolekcja porządkuje mały wycinek świata, daje minimalne poczucie kontroli. Budujesz ją na własnych zasadach, bez pośpiechu i presji z zewnątrz. Trochę jak ogród, który przez lata pielęgnujesz i patrzysz, jak się rozrasta.

Zapraszasz do niego innych ludzi?

Na początku wszyscy kiwają głowami z uznaniem, ale szybko orientujesz się, że tak naprawdę nikogo poza tobą to nie in-

teresuje. Mój ojciec miał na ścianie oryginalne ogłoszenie rządu brytyjskiego z 1849 r., w którym szukano chętnych na wyprawę ratunkową marynarzy, zaginionych podczas poszukiwania Przejścia Północno-Zachodniego. Niesamowicie rzadka rzecz, ulubiony eksponat w jego kolekcji poświęconej brytyjskim odkrywcom. Niestety, nikt ze znajomych ani członków rodziny nigdy nie zwrócił na niego uwagi. Dlatego trzeba się pogodzić z faktem, że budujesz – za ciężkie pieniądze – prywatne uniwersum. Obojętne dla innych.

Miałem kiedyś kolegę, który kolekcjonował kawiarniane torebki z cukrem...

Kolekcjonerzy nie znają granic, potrafią zbierać wszystko. Poza dziwacznymi →

→ książkami mam jeszcze kilka pomniejszych kolekcji. Ostatnio zacząłem zbierać złote monety, które były wypuszczane przy okazji programu telewizyjnego z lat 70. Jego bohaterowie robili dziwne i niebezpieczne rzeczy – np. skakali samochodami z mostów (*wyciąga z innego pudełka złotą monetę*). Zobacz, na awersie jest wygrawerowany samochód w locie, a na rewersie modlitwa „Ojcze nasz”. Taki talizman na szczęście. Mam już ich kilkanaście, a bardzo ciężko je zdobyć.

Planujesz kolejne kolekcje?

Trudno powiedzieć. Czasami wpadam przypadkiem na jakiś temat, od którego nie mogę się oderwać. Zupełnie nowy, fascynujący świat, który chcę w całości poznać. Wtedy nie mogę się powstrzymać i zaczynam zbierać nowe rzeczy. Mam nadzieję, że nigdy nie odwali mi na punkcie biżuterii, bo wtedy po mnie.

Czytałem, że Twój ojciec postanowił sprzedać swoją niezwykle cenną kolekcję książek.

Tak, ale to zdarza się niezwykle rzadko. Szczególnie wśród handlarzy antykami. Jego koledzy wciąż nie rozumieją, jak to było możliwe. Dla nich utrata kolekcji jest gorsza od amputacji. Ale mój ojciec stwierdził, że nadszedł czas, aby inni także mogli doświadczyć tej przyjemności, której on zaznał przez lata. Do tego coraz więcej książek na rynku ma już status nieosiągalnych. Utknęły na zawsze w bibliotekach, do których nikt nie ma dostępu. Albo trafiły w ręce szejków i zniknęły bez śladu. Dlatego postanowił je uwolnić, a przy okazji zgarnąć niezły bonus do emerytury.

Czyli kolekcja może stać się kompletna?

Nie sądzę, ja przynajmniej nie słyszałem, żeby komuś udało się osiągnąć ten punkt. Nawet mój emerytowany ojciec wciąż znajduje nowe, nieznane mu wcześniej rzeczy. Zdarza mu się nawet coś kupić. Inna sprawa, że niektórzy chcą mieć kolekcję wyłącznie po to, żeby pokazywać ją innym. W tym celu wynajmują specjalistów, którzy szukają rzeczy za nich. Rozumiem tę motywację i nie oceniam, jednak będę się upierał, że to nie są prawdziwi kolekcjonerzy.

Dlaczego?

Coraz więcej książek ma już status nieosiągalnych.

Utknęły w bibliotekach, do których nikt nie ma dostępu. Albo trafiły w ręce szejków i zniknęły bez śladu. Dlatego ojciec postanowił je uwolnić, a przy okazji zgarnąć niezły bonus do emerytury.

Za popęd do kolekcjonerstwa odpowiada określona część mózgu, której nie da się wyłączyć. Pozostaje aktywna aż do śmierci. Ewentualnie po interwencji rodziny albo przyjaciół możesz przestawić się na coś tańszego, co nie będzie rujnowało domowego budżetu. Torebki po cukrze wydają mi się sensownym wyborem.

Pieniądze to jedno, ale czy obsesja nie staje się z czasem uciążliwa? Nie odbiera przyjemności kolekcjonowania?

Bywa, że tak. Niestety, nie ma tu miejsca na kompromisy. Jeśli raz znajdziesz książkę z XVII wieku i czujesz, że musisz ją mieć, to nie ma szans, żeby zadowolić się czymś innym. Na przykład jej dużo tańszym przedrukiem z XVIII wieku. Tak jak pisał Walter Benjamin – albo jest aura, albo jej nie ma. Czytałem kiedyś, że Bill Gates posiada olbrzymią kolekcję bardzo cennych obrazów, ale nie ma wystarczająco dużo miejsca na ścianach, żeby ją w całości powiesić, trzyma więc sporo z nich w schowku. Ma za to olbrzymi ekran, na którym je wyświetla. Dla mnie to zgroza. To tak, jakbyś był głodny, a ktoś pokazuje ci zdjęcie kanapki. Dla mnie nie liczy się abstrakcyjna treść czy sens, tylko konkretny przedmiot. Rodzaj promieniowania, które tylko ty wyczuwasz.

Czyli nie przeczytałeś wszystkich swoich książek?

Często słyszę to pytanie, ale jest ono źle postawione. Oczywiście, że czytam, ale przyjemność czerpię w inny sposób, zapewne niezgodny z pierwotną intencją autora.

W „Bibliotece szaleńca” pojawia się wiele książek, których czytać się nie da.

„Literatura” czy „książka” w ogóle to pojęcia nieostre, a ludzie, których opisuję, próbowali jeszcze rozciągać ich definicję, często poza granice szaleństwa. Weźmy choćby „Krwawy Koran” w całości napisany krwią Saddama Husajna, znanego skądinąd autora, którą w tym celu upuszczał sobie przez wiele lat. Kiedy indziej kluczowy okazuje się kontekst historyczny. Dziś pod pojęciem „książki” rozumiemy jedną z jej odmian, czyli książkę kodeksową, z okładką, grzbietem i osobnymi stronami, a przecież nie zawsze tak było.

Weźmy na przykład to (z jeszcze innego pudełka wyciąga niewielki biały stożek z drobnymi inskrypcjami). To zapis babilońskiej modlitwy sprzed 4000 lat. Wbijano go niczym gwóźdź w każdy budynek. Miał zapewniać opiekę bogów przed żywiołami i innymi katastrofami. Często znajduje się je na całym Bliskim Wschodzie. Niesamowita rzecz, ale przecież nie chodzi tu o samą lekturę. Podobnie z popularnymi niegdyś spiralnymi inskrypcjami w języku aramejskim (albo czymś, co go przypominało), które pełniły funkcję wnyków na diabła, trochę na zasadzie pułapki na myszy. A bardziej współcześnie – jeden z nowojorskich artystów wydrukował książkę na kawałkach sera. Choć ona akurat, o ile odpowiednio przechowywana, da się czytać.

A co, gdy czytasz zwykłą, współczesną książkę. Da się?

Nawyki bibliofila zostają. Zawsze zwracam uwagę na stan grzbietu, bo to najważniejszy element przy ocenie starych książek. Tak samo okładka, którą odruchowo gładzę, bo w przypadku skóry faktura mówi wiele. Oczywiście kupuję dużo nowych książek, ale poza treścią są dla mnie nijakie. Dopiero zagięcia, plamy i inne niedoskonałości pobudzają moją wyobraźnię.

Notatki i podkreślenia?

Wielu bibliofilów ich nienawidzi, ale ja uwielbiam, bo dzięki nim egzemplarz staje się niepowtarzalny, a przy okazji podczas lektury można śledzić proces myślowy innego czytelnika.

Wąchasz książki? To część nałogu?

Nieustannie. Zapach jest chyba najważniejszy, bo to najbardziej niepowtarzalna

cecha każdej książki – inherentna, wynikająca bezpośrednio z samej materii. Nie da się go opisać ani sfotografować. Każda książka pachnie inaczej, bo to olfaktoryczny zapis wyjątkowej historii. Mój ojciec potrafi po samym zapachu określić miejsce powstania danego egzemplarza, czasem nawet jego wiek.

Jako fetyszysta książkowej materii zapewne nie jesteś fanem cyfrowej epoki literatury?

Jedno nie wyklucza drugiego. Projekty digitalizacji rzadkich zbiorów bibliotek na całym świecie budzą mój szczerzy zachwyt. Zaledwie w ciągu dekady niemalże cały dorobek pisarski ludzkości stał się powszechnie dostępny. Moje pokolenie i wszystkie późniejsze nie potrafią docenić wagi tego zjawiska. Jeszcze niedawno bez tytułu profesora i potężnego dorobku naukowego nie było nawet co marzyć o dostępie do większości zbiorów The British Library.

Trzeba było internetu, żeby w końcu zobaczyć druki sprzed stuleci.

A także gigantycznej, nieocenionej pracy setek tysięcy bibliotekarzy, którzy postanowili podzielić się tym, co mają najcenniejszego. W swoim założeniu internet nie miał służyć rozpowszechnianiu pornografii i śmiesznych zdjęć, tylko demokratyzacji dostępu do dziedzictwa kulturowego całej ludzkości. I chyba się to udało, a dzięki pandemii coraz więcej ludzi to docenia.

Co z końcem papierowej książki, wieszczonym już od kilku dekad?

E-book jest takim samym zagrożeniem dla tradycyjnej książki, jak winda dla schodów. To zupełnie różne rzeczy, które się uzupełniają, a nie wykluczają.

Paradoksalnie pliki z książkami gubią częściej niż wydania w papierze, nawet biorąc pod uwagę niestównych przyjaciół przetrzebających moje półki. Do tego na czytniku zawsze mam bałagan i szybko zapominam, co już przeczytałem.

Mam podobnie. Fizyczna przestrzeń zajmowana na półce przez konkretny obiekt jakoś lepiej rezonuje z moim mózgiem. Z drugiej strony fajnie wziąć ze sobą na wakacje 50 tomów, które nie nie ważą. Wbrew pozorom nie jestem nostalgiczny.



ALEX ANSTAY / MATERIAŁY PRASOWE

EDWARD BROOKE-HITCHING jest brytyjskim pisarzem i kolekcjonerem, miłośnikiem starych map i dziwacznych książek. W Polsce nakładem wydawnictwa Rebis ukazały się trzy jego książki poświęcone kartografii, a ostatnio „Biblioteka szaleńca” (przetł. Janusz Szczepański), opowieść o największych kuriozach wydawniczych w dziejach.

gikiem i nie sprzeciwiam się niczemu dla zasady. Niech każdy czyta, co i jak chce.

Cyfrowy, sprofesjonalizowany świat wydawniczy nie ogranicza kreatywności, którą opisujesz w swojej książce?

Oczywiście, pojawiły się precyzyjne standardy wydawnicze, ale epoka cyfrowa, w której już od pewnego czasu żyjemy, daje nam nowe możliwości. To rzeczywiście narzędzia zupełnie innego typu, ale wciąż tylko narzędzia – możemy je wykorzystywać w dowolny sposób. Co więcej, wyraźnie widać, że kreatywność, jakkolwiek by ją definiować, uległa demokratyzacji. W poprzednich stuleciach, żeby pozwolić sobie na różne dziwactwa, trzeba było mieć ku temu spore środki. Dziś łatwiej tworzyć sztukę osobliwą, wymykającą się standardom głównego nurtu.

A „szaleństwo” w tytule Twojej książki?

To skomplikowane pojęcie, chyba dziś już przestarzałe, bo coraz rzadziej używane jako kategoria opisu dzieła sztuki. Może to kwestia przesunięcia estetycznych naszej epoki, może zmiana myślenia o kondycji ludzkiej psychiki. W książce mówię o szaleństwie w historycznym kontekście, czyli tak, jak w nowożytnej historii Zachodu określano pewien typ ludzkiej działalności. Miało to wtedy ambiwalentne znaczenie – z jednej strony lęk przed zaburzeniem ustalonego porządku świata, z drugiej rodzaj podziwu dla kreatywności i odwagi, ale jednak rozumianej inaczej niż w języku współczesnego marketingu.

Chyba wciąż można znaleźć wyjątki?

Owszem, ale dzisiejsze szaleństwo tego typu nie ma już subwersyjnego ładunku. Wystarczy wejść na YouTube’a, gdzie pierwszy lepszy nastolatek robi rzeczy, które zawstydziłyby większość bohaterów mojej książki. Jednak nie o to mi chodziło. Kreatywność, pomysłowość czy odwaga to jedno, ale mnie zależało na odnalezieniu ludzi, którzy mieli to „coś”, trudno uchwytny pierwiastek, tajemnicę.

Czyli?

Słowo „ekscentryk” wydaje mi się najbardziej adekwatne. Chodzi o ludzi, którzy swoje niecodzienne talenty i intuicje wykorzystywali w spektakularny, ale jednocześnie nikomu nieprzydatny sposób. Weźmy choćby twórcę książki tak wielkiej, że do przewracania jej stron potrzebny był silnik. To rodzaj dziwaczności wynikającej z samego człowieka – jego historii, którą w ten nietuzinkowy i trudno zrozumiały sposób próbuje opowiedzieć.

Widzę, że tacy ludzie są Ci bardzo bliscy.

To prawda. W badaniach często odkrywam postaci, które całe życie poświęciły projektom totalnym, a przez to niewykonanym. Trafiłem kiedyś na XIX-wieczny leksykon ryb, który w zamierzeniu miał opisać każdy gatunek oraz wszystko, co z nimi związane. W takich momentach przechodzi mnie dreszcz, bo czuję ponadczasową łączność z tymi szaleńcami. Dodatkowo badanie przeszłości daje niepowtarzalną możliwość spojrzenia na świat oczami kogoś zupełnie obcego. Owszem, mamy zaskakująco wiele wspólnego z naszymi przodkami, ale jednocześnie dzielą nas przepastne różnice w postrzeganiu rzeczywistości. Na przykład żeglarze z XVI wieku, którymi zajmowałem się przy okazji badania starych map – dla nas świat jest już zamknięty i opisany, dla nich za horyzontem rozciągała się wielka tajemnica. Spróbuj sobie to wyobrazić.

Czyli co właściwie łączy tych wszystkich dziwaków i ich szalone projekty?

Ich wspólnym mianownikiem jest właśnie dziwaczność i w zasadzie nic więcej. Możemy postawić ich na jednej półce i podziwiać bezgraniczne piękno ludzkiej wyobraźni, która od tysiącleci pcha nas coraz dalej, aż do granic tego, co jest do pomysłowania. A czasem nawet jeszcze dalej.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz:

Nasz atom



KTO CZYTAŁ (KTO CZYTAŁ?) „ŻYWOТЫ CEZARÓW” napisane jakieś dwadzieścia wieków temu przez p. Swetoniusza, ten być może zwrócił uwagę na mnogość wniosków, które autor wywodził ze zdarzeń symbolicznych. Oto komuś usiadł orzeł

na głowie albo zrzucił porwane cięło do ogródka – tenże musiał zostać cezarem. Albo – weźmy – ktoś, chodząc ongiś po lesie, napotkał lwicę, która na jego widok powabnie mruczała i ufnie wręczyła mu cały miot swych ślepych kociąt, tenże rychło i ani chybi – a była to dla Swetoniusza konsekwencja oczywista i wynik ciągu logicznego – obejmował zaszczytne dowództwo legionu rzymskiego. Albo – weźmy – kogoś w dzieciństwie pogryzł koń. Była to z kolei zapowiedź bardzo smutnego losu, którego wypełnieniem musiało być wygnanie z Rzymu poza *limes* oliwy i wina, do Krakowa dajmy na to. To oczywiste, że ów banita już do końca dni swoich pił przemysławkę, zagryzając każdą setuchną chlebem ze smalcem, ogórkiem kiszonym i śpiewał bynajmniej nie włoskie pieśni, ale wiązanki w typie „Krakowiaczek ci ja”.

Tak oto pisał Swetoniusz, zawsze *a posteriori*, dzięki czemu jego opisy historyczne znakomicie trzymały się kupy. Owszem, trochę tu popłynęliśmy, jeśli idzie o dokładność przytaczania przykładów z pism owego przemilego, zorientowanego i usadowionego na stałe w literaturze Rzymianina, ale naszym celem było przygotowanie gruntu, uformowanie klimatu i znakomite wprowadzenie do tematu naszych rozważań.

Chodzi nam dzisiaj mianowicie o to, by z rozmachem godnym wielkich ilustratorów historii naszkicować, ale i dać odpowiedź na pytanie: skąd się bierze i jaki jest wzór na opowieść o polskiej energii atomowej, a ściślej rzecz biorąc, jakie są powody i podglebie budowania tu elektrowni jądrowych.

Temat pojawia się sezonowo od ponad półwiecza i – popatrzmy – zjawia się zawsze nie od parady. Jeśli teraz ktoś by tu chciał z nami ekspercko pogwarzyć o tym, jak rozszczepia się – za przeproszeniem – jądro atomu, jak wyzykskać z tego prąd idący drutem do żarówki, tego tu musimy niestety odesłać do podstawówki, pod warunkiem że tamże jeszcze czegośkolwiek uczą prócz paciorka. Ponieważ jesteśmy nieodrodnym dzieckiem polskiego systemu edukacji, nic nie wiemy ani o fizyce, ani o astronomii, nic o chemii ani o matematyce, znakomicie sobie jednak radzimy z dziwnym odczytywaniem dziwnych znaków na niebie i ziemi. Dlatego też ów wspomniany Swetoniusz od dawna jest tak ogromnie bliski naszemu sercu i zwichniętemu umysłowi.

Do rzeczy, jak bowiem powiadają co mędrsi, historia kołem się toczy. Oto pierwszy w historii komunikat o planach budowy elektrowni atomowej pojawił się w Polsce w roku 1971. Było to – przypomnijmy – za wczesnego Gierka, polityka genialnego dla niemałej części dzisiejszej lewicy, człowieka – wedle tej formacji – wielkiej mądrości, przenikliwości, wrażliwości, łaskawości i sprawczości. Nie będziemy się spierać, Gierek był o tyle przenikliwy, że ładnie sformułowane i działające na wyobraźnię pomysły umieszczał co rano w „Trybunie Ludu” i co wieczór w „Dzienniku Telewizyjnym”. Ten koncept, z drobnymi przerwami, sprawdzał się przez niemal dekadę. Potem – popatrzmy – budowa elektrowni jądrowej wróciła na tapetę w pełni kociokwiku stanu wojennego. Czytelnikowi nieobeznanemu z historią własnego kraju dopowiemy, że było wtedy kiepsko z zaopatrzeniem w papier toaletowy. Otóż być może nie radzimy sobie z produkcją tego towaru, ale generalnie – mówiono w „Dzienniku Telewizyjnym” – jesteśmy przygotowani do największych wyzwań technologicznych epoki. Będziemy teraz rozszczepiać jądra atomów hurtowo, na Pomorzu. Znaczna część społeczeństwa zaniepokojonego brakiem środków umożliwiającymi utrzymanie elementarnej higieny przyjęła zapowiedź budowania elektrowni atomowej z ogromną ulgą.

Kolejna odsłona tej opowieści nastąpiła w nowej epoce, w roku 2009, w trakcie kryzysu tym razem światowego, ale i lokalnego. Dziś pomysł znów zaparkował w mediach, oczywiście też publicznych i też wieczorkiem. Swetoniusz by miał odpowiedź dlaczego: to znak, że będzie nowy cesarz albo może – to nasza słowiańska wróżba – kociokwik. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



weź, czytaj!

zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego”, zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: zamowienia@TygodnikPowszechny.pl, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 wybranych wydań piąte dodajemy GRATIS*!

* Cena pojedynczego wydania archiwalnego – 15 zł.



i w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela
Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela
Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101
(w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail:
kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia**	365 zł	
Karta Dużej Rodziny***	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny***		
+ 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	75 zł	

* ważny od 2 grudnia 2020

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze

na warunkach opisanych w regulaminie

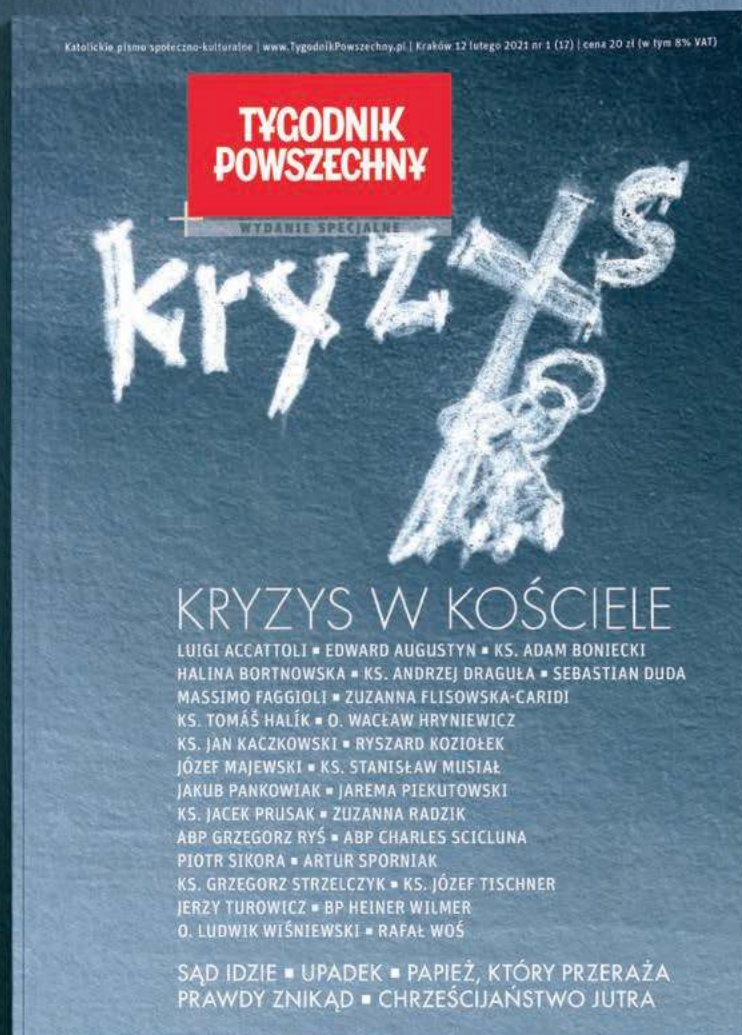
Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

Premiera – już w piątek 12 lutego! wydanie specjalne KRYZYS W KOŚCIELE

Kiedy się wydaje, że pod lawiną ujawnionych skandali Kościół jeśli nie umarł, to właśnie umiera, papież Franciszek, jak Jezus do żałobników w domu Jaira, mówi: „Nie płaczcie, nie umarła dziewczeczka, ale śpi”.

Ks. Adam Boniecki

Skandale obyczajowe i nadużycia związane z systemem władzy w Kościele, flirty z polityką, błyskawicznie przyspieszająca laicyzacja, pełzająca rebelia przeciwko reformującemu Kościół papieżowi Franciszkowi, a także poszukiwanie dróg wyjścia i wizja chrześcijaństwa przyszłości – to tematy kolejnego wydania specjalnego „Tygodnika Powszechnego”. Wśród autorów, ekspertów i rozmówców „TP” – najwybitniejsi komentatorzy życia Kościoła z Polski i ze świata, watykaniści, hierarchowie, teologowie i reporterzy, a bieżące komentarze dopełniają klasyczne teksty autorstwa m.in. Jerzego Turowicza i ks. Józefa Tischnera.



„Kryzys w Kościele” – już od **piątku 12 lutego** w sklepach z dobrą prasą i na powszech.net/kryzyswkosciele

weź, czytaj!